

# GARTH NIX

Filucze do Królestwa

*Dostojna Sobota*



Garth Nix

# Dostojna Sobota

Klucze do królestwa tom 6

Przełożyła Małgorzata Hesko-Kołodzińska

*Wszystkim czytelnikom oraz pracownikom wydawnictwa, którzy cierpliwie czekali, aż zakończę pracę. Rzecz jasna, także Annie, Thomasowi i Edwardowi oraz całej rodzinie i przyjaciołom.*

## Prolog

Sobota, samozwańcza Dostojna Czarnoksiężniczka Wyższego Domu, stała w prywatnej komnacie widokowej w najwyższym punkcie królestwa, czyli na szczycie wieży, która nieustannie rosła od prawie dziesięciu tysięcy lat. Pomieszczenie o ścianach z przezroczystego kryształu znajdowało się na samym wierzchołku konstrukcji, wydłużającej się coraz bardziej dzięki budowniczym dodającym kolejne piętra poniżej.

Sobota wyjrzała przez skropione deszczem szyby i popatrzyła w dół na liczne rozmyte zielone plamki światła. Wyglądało to tak, jakby wysoka na wiele tysięcy metrów wieża oblepiona była milionami zielonych światełek. W rzeczywistości były to lampki o zielonych kloszach, zainstalowane na wszystkich biurkach Wyższego Domu. Biurka te stały idealnie pośrodku otwartych sześcianów z czerwonego kutego żelaza, z kratownicą zamiast podłogi i bez sufitu.

Z owych sześcianów zbudowana była cała wieża Soboty. Kolejne piętra przemieszczały się na pionowych oraz poziomych szynach. Dzięki temu mogły się wznosić, opadać albo przesuwac na boki, w zależności od postępów Rezydentów, pracujących przy biurkach.

Każdy sześcian wciągano na odpowiednie miejsce przy użyciu specjalnych łańcuchów, poruszanych za pomocą potężnych maszyn parowych zainstalowanych głęboko pod wieżą. Prace związane z budowaniem szyn i dostarczaniem paliwa silnikom wykonywały automaty z brązu oraz garstka niefortunnych Rezydentów, którzy w taki czy inny sposób zawiedli Sobotę. Jeszcze niższy status mieli smarowacze, czyli dzieci Szczurołapa odpowiedzialne za oliwienie i konserwację niezliczonych kilometrów niebezpiecznej, ruchliwej maszynerii.

Dostojna Sobota przypatrywała się swym włościom w dole, ale jej serce nie zabiło mocniej na widok potężnej wieży i ukrytych w niej dziesiątków tysięcy czarnoksiężników. Po długich zmaganiach ze sobą Sobota w końcu uległa i spojrzała w górę.

Z początku dostrzegła tylko chmury, lecz po chwili pojawiła się zielonkawa, migotliwa poświata, ciemniejsza i bardziej tajemnicza od blasku lampek w wieży.

Chmury nieco się rozstały, a za nimi ukazało się szmaragdowe sklepienie Wyższego Domu, które jednocześnie pełniło rolę podstawy Niezrównanych Ogrodów.

Sobota skrzywiła się z niechęcią, a paskudny grymas zesześcił jej niezwykle urodziwe oblicze. Od dziesięciu tysięcy lat wznosiła wieżę, aby dotrzeć do Niezrównanych Ogrodów i je najechać. Bez względu na to, jak wysoko sięgała konstrukcja, Ogrody pozostawały niedosiężne, a Lord Niedziela drażnił się z Sobotą, ukazując jej wyłącznie jej oczom. Gdy któryś z podległych jej Rezydentów podnosił wzrok, chmury momentalnie przesłaniały widok.

Sobota oderwała spojrzenie od Ogrodów, lecz krajobraz za oknem ani trochę jej nie pokrzepił. W oddali ciemny pionowy kształt sięgał od ziemi do chmur. Z bliska także rozblęsnąłby zielenią, gdyż było to potężne drzewo, jeden z czterech drazyliowców, podpór Niezrównanych Ogrodów.

Właśnie ze względu na drazyliowce Sobota nie miała szans zbudować dostatecznie wysokiej wieży, bo drzewa rosły szybciej niż konstrukcja i stopniowo unosiły Ogrody coraz wyżej. Próbowwała uśmiercić drazyliowce lub przynajmniej zahamować ich wzrost za pomocą magii, trucizny i brutalnej siły, lecz żadna z tych metod nie zaszkodziła drzewom. Wyekspediowała Przemysłnych Markierantów oraz Czarnoksiężników Nadliczbowych, żeby wspięli się po pniach celem infiltracji włości Lorda Niedzieli, ale nie przebyli nawet połowy drogi – ulegli gigantycznym owadom obronnym, zamieszkującym tunele w korze. Droga powietrzna także odpadała – wysoko nad chmurami rozpościerały się rozłożyste konary drapieżnych, podstępnych i niesłychanie szybkich drazyliowców.

I tak od tysięcy: Sobota budowała, drazyliowce rosły, a Niedziela był ponad wszystko, potężny i bezpieczny w Niezrównanych Ogródach.

Wiele zmieniło się jednak wraz z kichnięciem na powierzchni odległej, martwej gwiazdy. Wola Architektki w końcu została uwolniona i wybrała Prawowitego Dziedzica, który teraz odbierał Klucze nielojalnym Wykonawcom. Nosił on imię Arthur i był śmiertelnikiem, a jego sukcesy wprawiały w zdumienie nie tylko Sobotę.

Inna sprawa, że triumfy Arthura niewiele dla niej znaczyły. Niemal od chwili zniknięcia Architektki planowała zdobycie wszystkich fragmentów Woli i przewidziała przybycie Dziedzica. Nie była jedynie Wykonawczynią, której moc zależała od Klucza

ofiarowanego przez Architektkę, ale też niebywale potężną i uczoną czarnoksiężniczką. Nie licząc Starucha oraz Architektki, była najstarszą istotą we Wszechświecie i właśnie to jej ciążyło. Jako pierwsza Rezydentka stworzona przez Architektkę uważała, że powinna sprawować władzę nad wszystkimi, w tym nad dziećmi Architektki (swego czasu wyraziła dezaprobatę dla tego eksperymentu). Jej zdaniem w Niezrównanych Ogradach nie powinien zamieszkiwać Niedziela, lecz ona, więc się całkowicie skupiła na naprawie tej krzywdy.

Usłyszała za plecami stłumiony kaszel. Odwróciła się, a peleryna z gwiezdneho blasku i cienia księżycy zafalowała wokół jej zgrabnych nóg. Poza peleryną, wytworem dawnej magii, Sobota miała na sobie szatę z tkanego złota ozdobioną tu i tam drobnymi szafirami oraz stalowe buty na wysokich obcasach, zakończone złowrogimi noskami. Długie, elektryzująco błękitne włosy czarnoksiężniczki luźno opadały na ramiona, a jej czoło zdobiła złota obręcz, na której wyginały się i kręciły spisane ruchomymi brylantami magiczne słowa.

– Za pozwoleniem, Wasza Wysokość – odezwał się postawny, ubrany jak z żurnala Rezydent. Ukląkł, a jego frak załopotał przy obcasach niewiarygodnie lśniących butów.

– Jesteś kandydatem na mojego nowego Zmierzchnika? – odezwała się Sobota.

Na potwierdzenie Rezydent jeszcze niżej skłonił głowę.

– Poprzedni Zmierzchnik był twoim bratem? Ulepionym z tej samej gliny?

– Tak, Wasza Wysokość, był ode mnie moment starszy.

– To dobrze. – Nieźle mi służył i odniósł połowiczny sukces podczas wykonywania ostatniego zlecenia, choć przypłacił to życiem. Czy Południk wprowadził cię w bieżące zagadnienia?

– Tak sędzę, Wasza Wysokość – odparł świeżo upieczony sobotni Zmierzchnik.

Sobota skinęła palcem, na co Zmierzchnik wstał. Choć liczył sobie ponad dwa metry, jego pani była o co najmniej trzydzieści centymetrów wyższa od niego, nawet bez stalowych obcasów. Zmierzchnik zastygł w ukłonie, nie śmiejąc spojrzeć jej w oczy.

– Powiedz mi zatem, czy wszystkie moje przedsięwzięcia prowadzą do ostatecznego zwycięstwa?

– Tak uważamy – przytaknął Zmierzchnik. – Chociaż Dom nie wali się w gruzy

tak szybko, jak zakładaliśmy, upadek postępuje, a nasza nowa ofensywa powinna przyspieszyć proces. Wedle najświeższych doniesień, Nicość wdarła się głęboko na teren Odległych Rubieży i zajęła znaczne obszary Morza Granicznego. Choć nie jest to związane z naszymi poczynaniami, doszło do istotnego uszkodzenia górskich umocnień Wielkiego Labiryntu. Pierwsza Dama, jak nazywa samą siebie Wola, oraz jej marionetka Arthur z pewnością nie zdołają powstrzymać katastrofy.

– To dobrze – przyznała Sobota. – A co z wpływem Nicości na drzewa?

– W miarę jej rozprzestrzeniania się głębsze warstwy korzeniowe drazyliowców są stopniowo niszczone. Spadek tempa wzrostu roślin sięga już sześciu procent, co jednak nie wystarcza, byśmy nadążyli z budową za oddalającymi się Ogradami. Prognozy wskazują, że kiedy Nicość pochłonie całe Odległe Rubieże oraz Niższy Dom, wieża będzie wzrastała szybciej niż drzewa, więc osiągniemy cel w kilka dni. Upadek większych partii Domu skróci ten proces do kilku godzin.

– Doskonale! – krzyknęła Sobota, a jej lśniąco niebieskie usta wykrzywiły się w uśmiechu. – Mniemam, że Frontowe Drzwi pozostają zamknięte, a windy są zabezpieczone? Nie życzę sobie ingerencji Pierwszej Damy ani Szczurołapa.

– Frontowe Drzwi są zablokowane, chociaż Strażnik Porucznik złożył w Sądzie Dziennym petycję, domagając się ich ponownego otwarcia. Jeżeli zatem Lord Niedziela...

– Niedziela zabarykadował się w Ogradach – przerwała mu Sobota. – Tylko one go obchodzą. Nie będzie się wtrącał, a gdyby nawet, nie zdąży już pokrzyżować nam planów.

– Skoro Wasza Wysokość tak uważa... – powiedział grzecznym tonem Zmierchnik. – Wszystkie wejścia do wind do Wyższego Domu zostały zapieczętowane i pilnują ich strażnicy, niemniej podejrzewamy, że zdrazieccy operatorzy uruchomili kilka urządzeń w innych częściach Domu.

– Czy magia przeciwko Niebywałym Schodom oraz Piątemu Kluczowi pozostaje stabilna?

– Cztery zmiany, każda złożona z dziewięciuset czarnoksiężników, na bieżąco trzymają straż. Dwa tysiące ośmiuset czarnoksiężników wyższego stopnia czuwa przy biurkach na wypadek konieczności przeciwdziałania magicznemu atakowi Szczurołapa

oraz mocy Kluczy, które pozostają w rękach Pretendenta.

– Szczurołap! – prychnęła Sobota. – Żałuję, że nie udało mi się wykończyć go wieki temu. Dobrze przynajmniej, że obarcza winą swojego brata. Jakie są najnowsze wieści o Szczurołapie? Czy pozbyliśmy się jego przeklętych Szczurów?

– Nie mamy całkowitej pewności, co teraz porabia Szczurołap – podjął Zmierchnik ostrożnie. – Jego siły wycofały się z Wielkiego Labiryntu, zapewne do światka, który stworzył dla swoich Neoniconi. Jeszcze nie zlokalizowaliśmy tego miejsca i nie wiemy, czy gromadzi tam swoje siły przeciwko nam czy Pierwszej Damie.

– Nasza obrona skutecznie przeciwstawi się zarówno Szczurołapowi, jak i Pretendentowi – oświadczyła z przekonaniem Sobota. – Nie przedostaną się windami, Schodami, Frontowymi Drzwiami ani za pomocą Piątego Klucza. A innej drogi nie ma.

Sobotni Zmierchnik milczał. Na jego czole pojawiła się ledwie widoczna zmarszczka, która niemal natychmiast znikła.

– A Szczury? – podsunęła mu Sobota.

– Od pięciu dni nie widziano ani jednego. W wyniku działalności automatów do wychwytywania Szczurów straciliśmy czternastu niższych rangą Urzędników oraz kilkoro dzieci Szczurołapa. Pojawiły się prośby o wycofanie maszyn.

– Nie wycofamy – zdecydowała Sobota. – Pozostaną. Nie życzę sobie, żeby te stwory kręciły mi się po okolicy.

– Skoro mowa o dzieciach Szczurołapa – zaczął niepewnie Zmierchnik – zatrudniamy sporą ich liczbę w charakterze smarowaczy i pomocników łańcuchowych, lecz pojawiły się doniesienia, że część dzieci Szczurołapa podległych Księciu Czwartkowi zbuntowała się. Nie chcielibyśmy, żeby nasze dzieci Szczurołapa obróciły się przeciwko nam.

– Tak, masz rację – zgodziła się Sobota. – Szczurołap ma władzę nad swoimi stworami, muszą reagować na dźwięk jego fletu. Nic jednak nie wskóra, jeżeli będziemy go trzymali poza obszarem Wyższego Domu. Tymczasem dzieci są nam potrzebne do konserwacji wieży i utrzymywania tempa budowy. Musimy jednak być gotowi na wszystko, więc powiedz Południkowi, żeby wyznaczył odpowiednią liczbę Czarnoksiężników Nadliczbowych do śledzenia dzieci Szczurołapa. Na mój rozkaz przeprowadzą na nich egzekucję.



– Doskonale, Wasza Wysokość – przytaknął Zmierzchnik. – Pozostaje jeszcze jedna sprawa...

– Tak?

– Chodzi o Pretendenta, Arthura Penhaligona. Właśnie otrzymaliśmy doniesienie, że powrócił do Poślednich Królestw. Czy przystępujemy do realizacji planu B?

Sobota się uśmiechnęła.

– Tak, niezwłocznie. Czy ma przy sobie któryś z Kluczy?

– Nic nam o tym nie wiadomo, Wasza Wysokość, ale okoliczności wskazują, że dysponuje przynajmniej jednym, Piątym Kluczem.

– Ciekawe, czy to go ochroni. Zapowiada się interesujący spektakl. Powiedz Pravuilowi, żeby natychmiast brał się do roboty.

– Ehm... – odchrząknął Zmierzchnik. – Z przykrością zauważam, Wasza Wysokość, że na Ziemi jeszcze nie nastąpiła sobota. Do piątkowej północy brakuje około czterdziestu minut, a w Domu oraz we wspomnianym Poślednim Królestwie czas płynie w podobnym tempie.

Sobota się zawahała. Rozważyła sytuację: „co prawda zasady traktatu między Wykonawcami zostały złamane, ale umowa nadal obowiązywała. Gdyby Sobota lub jej przedstawiciele użyli swych mocy poza przyznanymi ramami czasowymi w Poślednich Królestwach, w grę wchodziłyby istotne konsekwencje natury magicznej”.

– Zatem Pravuil musi zaatakować, gdy tylko przebrzmi dwunaste uderzenie zegara – postanowiła. – W pierwszej sekundzie soboty, nie później. Dopilnuj tego niezwłocznie.

– Tak jest, Wasza Wysokość – odparł Zmierzchnik. Ukłonił się i wycofał na srebrne spiralne schody, które prowadziły do sześcianu biurowego bezpośrednio pod komnatą widokową.

Gdy tylko odszedł, Dostojna Sobota ponownie skierowała wzrok ku niebu, rozstępującym się chmurom i irytującemu, a jednocześnie hipnotyzującemu widokowi spodniej strony Niezrównanych Ogrodów.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przed małym, prywatnym szpitalem niewiele dało się zobaczyć. Uliczne latarnie były wygaszone, a domy po drugiej stronie jezdni zamknięte na cztery spusty, i tylko poświata w oknach świadczyła o tym, że w środku prawdopodobnie przebywają ludzie, a w mieście nie odcięto dostaw prądu. Po niebie przesuwwały się jeszcze inne światła, ale były to nawigacyjne światła helikopterów: maleńkie czerwone kropki zataczające koła pod chmurami. Od czasu do czasu z którejś z maszyn wystrzelał snop światła punktowego reflektora, a zaraz potem rozbrzmiewał chrapliwy terkot karabinu maszynowego.

W szpitalu nieoczekiwanie zabłysło światło, rozjaśniając pusty basen, i jednocześnie rozległ się grzmot, od którego zadrżały szyby. Hałas był tak donośny, że zagłuszył warkot helikopterów i strzelaninę, a gdy jasność powoli przygasła, w salach rozbił się echem rytmiczny, powolny łomot uderzeń bębna.

W recepcji przed telewizorem siedziała zmęczona kobieta w niebieskim, wymiętym szpitalnym uniformie i oglądała najświeższe złe informacje. Słyszając łoskot, zerwała się na równe nogi. Grzmot i bębnienie zwiastowały przybycie doktor Piątek, która oczekiwała, że podłogi będą umyte tak starannie, że zdoła ujrzeć własne odbicie w nieskazitelnie czystym linoleum.

Sprzątaczką pędziła przez oddziały, zapalając po drodze wszystkie światła. Tuż przed salą z basenem zerknęła na zegarek, który wskazywał kwadrans po jedenastej. Był piątkowy wieczór. Doktor Piątek nigdy dotąd nie przychodziła o tak późnej porze, ale zdarzało się to jej podwładnym. Tak czy owak, sprzątaczką miała obowiązek pozostać w szpitalu do samego końca dnia pracy. Zresztą i tak nie miałyby dokąd pójść. Obowiązywała kwarantanna i każdy, kto przebywał na ulicach, musiał się liczyć z tym, że zostanie postrzelony. W wiadomościach ciągle mówiono o „rozwiązaniu ostatniej szansy” i „serii epidemii”, które nawiedzały miasto.

Przed wejściem do sali z basenem sprzątaczką zatrzymała się i głęboko odetchnęła, po czym wstawiła mop do wiadra i otworzyła wózkami drzwi. Nie podnosząc wzroku, zapaliła światło, jak to wielokrotnie robiła. Już dawno temu przekonała się, że

nie należy spoglądać na doktor Piątek, bo można napotkać jej spojrzenie albo chwilowo oślepnąć od blasku jej zwierciadła.

Jednak z ciemnego przejścia w pustym basenie nie wyłoniła się ani doktor Piątek, ani jej pomocnicy. Za to po pochylni wdrapywali się ludzie.

Sprzątaczką przez chwilę wpatrywała się w ich białe stopy oraz niebieskie szpitalne koszule nocne. Nagle puściła mopa i wrzasnęła:

– Wracają! Ale przecież oni nigdy nie wracają!

Śpiący, którzy rankiem na jej oczach wchodził do basenu, prowadzeni przez doktor Piątek, teraz chwiejnie powracali z wyciągniętymi przed siebie rękami, w klasycznej pozycji filmowych lunatyków. Tym razem nie wiodła ich doktor Piątek ani też żaden z jej absurdalnie wysokich i przystojnych asystentów.

W pewnej chwili sprzątaczką dostrzegła znajomą dziewczynę, która prowadziła pierwszego śpiącego, kobietę, kierując ją na sam środek pochylni. Ludzie nie byli tak posłuszni jak wtedy, gdy wchodził do basenu, ich sen wydawał się znacznie płytszy.

– Hej! – zawołała dziewczyna. – Pamiętasz mnie?

Oszłomiona sprzątaczką skinęła głową.

– Mam na imię Liść. A ty?

– Vess – wyszeptała sprzątaczką.

– Vess, musisz nam pomóc. Wszyscy powinni trafić do łóżek, przynajmniej na tę noc.

– Ale... co z doktor Piątek?

– Już po niej! – oświadczyła Liść. – Arthur ją pokonał.

Wskazała za siebie, a sprzątaczką ujrzała przystojnego chłopca mniej więcej w wieku Liść, o lśniących włosach i nieskazitelnie białych zębach. Najbardziej uderzające było jednak to, że w dłoni trzymał błyszczącą gwiazdę, którą sprzątaczką rozpoznała jako zwierciadło doktor Piątek.

– Jaśnie panie! – przyklękła i pochyliła głowę. Liść zmarszczyła czoło, po czym znowu przyjrzała się Arthurowi. Tym razem natychmiast dostrzegła zmianę.

– Co jest? – zdziwił się Arthur. – No, prowadź ich dalej, bo zrobi się zator.

– Przepraszam – wykrztusiła Liść i pośpiesznie pociągnęła pierwszą śpiącą, czyli swoją ciotkę Mango. Na wszelki wypadek wzięła ją pod rękę. – Widzisz... właśnie sobie

uświadomiłam, że wyglądasz... że nie wyglądasz tak, jak kiedyś.

Zaskoczony Arthur opuścił wzrok, przyjrzał się swoim dłoniom i nogom i znów podniósł głowę.

– Dawniej byłeś ode mnie trochę niższy – zauważyła Liść. – Urosłeś co najmniej siedem, może nawet dziesięć centymetrów. Poza tym... hm... wyprzystojniałeś.

– Poważnie? – zdziwił się Arthur. Zaledwie kilka tygodni temu nie posiadałby się z zachwytem, że rośnie, teraz jednak przeszył go nieprzyjemny dreszcz. Zerknął na pierścień w kształcie krokodyla, który oplatał mu palec i wskazywał, w jakim stopniu magia skaziła krew i kości Arthura. Zanim zdołał oszacować, jaka część pierścienia zmieniła się ze srebra w złoto, oderwał wzrok od krokodyla. Nie chciał akurat w tej chwili i w tym miejscu przekonać się, czy proces jego przemiany w Rezydenta był zakończony. W głębi serca i tak znał prawdę.

– Mniejsza z tym – mruknął. – Lepiej położmy wszystkich do łóżek. Zaraz, jak masz na imię? Vess, tak? Posłuchaj, będziemy potrzebowali twojej pomocy przy odprowadzaniu śpiących. Jest ich tu około dwóch tysięcy, a mamy do pomocy tylko Martine i Harrisona.

– Martine i Harrisona? – wykrztusiła Vess. – Nie widziałam ich od... Sądziłam, że nie żyją!

– Martine i Harrison zajmowali się... opieką nad śpiącymi w kryjówce Pani Piątek – wyjaśnił jej Arthur. – Liść! Biegną do drzwi!

Liść łagodnie obróciła ciotkę twarzą do ściany i pobiegła przeprowadzić śpiących przez drzwi, które zablokowała, żeby się nie zamknęły. Następnie sięgnęła do paska po mały srebrny rożek, jedno z narzędzi, które słudzy Pani Piątek wykorzystywali do kierowania śpiącymi, po czym przyłożyła go do ust. Vess zadrżała, usłyszawszy echo głosu doktor Piątek.

– Niech każdy podejdzie do wolnego łóżka i stanie obok niego – rozkazała Liść.

Śpiący posłusznie wykonali polecenie, chociaż długo tłoczyli się po kilku przy tym samym łóżku i przepychali, zanim w końcu jeden z nich zajął miejsce u wezglowia. Dopiero wtedy pozostali odchodzili chwiejnym krokiem. Liść pędem wróciła do ciotki, która kręciła się w kółko, usiłując znaleźć łóżko.

Arthur pozostał przy basenie i powtarzał polecenie Liści śpiącym, którzy przez

cały czas wmaszerowywali do szpitala. Nie potrzebował srebrnego rożka, ludzie i tak go słuchali, zapewne dlatego, że dzierżył Piąty Klucz – choć być może reagowali na moc jego władczego tonu, godnego Prawowitego Dziedzica Architektki.

Na pierwszy rzut oka wyglądał jak zwykły chłopiec, lecz udało mu się odebrać pięć Kluczy pięciorgu niewiernym Wykonawcom Woli. Teraz sprawował władzę nad większością Domu, epicentrum Wszechświata. Pobyt w Domu sprawił, że Arthur wydorósł, choć w gruncie rzeczy minęło bardzo niewiele czasu. Uświadamiał też sobie, że coraz mniej w nim jest z człowieka.

Śpiący snuli się dalej, wyłaniali się spod ciemnego dna basenu, który stanowił przejście do innego Pośledniego Królestwa, tajnej kryjówki Pani Piątek, gdzie kradła ludzkie wspomnienia, pozostawiając jedynie pozbawione umysłu ludzkie skorupy. Niewiele brakowało, a i ci ludzie podzieliby los swoich poprzedników. Dopisało im szczęście: w odpowiednim czasie mieli obudzić się bez żadnej wiedzy o tym, przez co przeszli.

Zjawiła się Martine, jedna z pracownic Pani Piątek. Skinęła Arthurowi głową, zanim ruszyła w górę pochylni. Miała przy tym minę, która zdaniem Arthura wyrażała zarówno strach, jak i podniecenie. Dotąd Martine była zmuszona przez ponad trzydzieści lat pracować w kryjówce Pani Piątek.

„Martine pewnie uzna świat za niezwykle dziwne miejsce, zwłaszcza że z dnia na dzień stawał się on coraz bardziej osobliwy, głównie za sprawą pojawienia się Rezydentów oraz Niconi. Ich obecność wyjątkowo źle wpływała na Poślednie Królestwa, takie jak Ziemia, gdyż powodowała zaburzenia w naturalnym środowisku, co owocowało między innymi powstawaniem nowych, śmiertelnie niebezpiecznych wirusów” – pomyślał Arthur.

Jednocześnie obserwował śpiących, od czasu do czasu interweniując, żeby przemarsz przebiegał jak najsprawniej.

„Znalazłem się na Ziemi wraz z Piątym Kluczem, co z całą pewnością musiało doprowadzić do takiej czy innej destabilizacji – kto wie, czy nie tak poważnej i dramatycznej jak Senny Pomór. Nie mogę zwlekać z powrotem. Być może należy zrezygnować z odwiedzin w domu rodzinnym i spotkania z bliskimi, ogromnie pragnę jednak sprawdzić, co słyhać u siostry Michaeli i brata Erica. Chcę także poszukać

informacji związanych z ewentualnym miejscem pobytu mamy Emily. Jeżeli Kichol ma słuszość, nie ma jej już na Ziemi i należy dowiedzieć się, kto i dokąd ją porwał”.

W te rozmyślania wdarł się dźwięk dzwonka, coraz bardziej natarczywy. Arthur zmarszczył brwi. Nie miał przy sobie telefonu komórkowego, a staroświeckie dzwonicie dobiegało z jego papierowej marynarki...

Westchnął, wsunął Piąty Klucz do kieszeni i w niej poszperał, żeby sprawdzić, co jeszcze się tam kryje. Po chwili zacisnął palce na małej, zimnej rurce, której z pewnością nie było tam wcześniej, i wyciągnął duży staroświecki telefon, nieco przypominający świecznik, z oddzielnym głośniczkiem przykładanym do ucha. Całość żadną miarą nie mogła się zmieścić w kieszeni ani tym bardziej z niej się wydostać. Innymi słowy, był to całkowicie typowy dla Domu telefon, działający według własnych magicznych zasad.

– Tak? – odezwał się Arthur.

– Proszę czekać, będzie rozmowa – przemówił głos, który brzmiał tak, jakby należał do ziemskiej telefonistki, a nie do Rezydentki.

– Kto mówi? – spytał inny, tym razem znajomy męski głos, również nie pasujący do Rezydenta.

– Erazmuz? – zdumiał się Arthur. Erazmuz był jego najstarszym bratem i pełnił służbę wojskową w randze majora. Jak zatem zdołał zadzwonić na telefon z Domu?

– Arthur? Jak to możliwe, że blokada jest zdjęta? Zresztą, wszystko jedno, Emily w domu?

– Nie – odparł Arthur. – Nie jestem...

– Eric? Michaeli?

Erazmuz wyrzucał z siebie słowa, ani na moment nie dopuszczając Arthura do głosu. Chłopiec nie mógł więc wyjaśnić bratu, że znajduje się poza domem, mimo że Erazmuz dzwonił na ich numer stacjonarny.

– Nie, nie ma ich...

– To...

Erazmuz umilkł na sekundę, a gdy znowu się odezwał, mówił szybciej niż dotąd.

– Dobra, musisz jak najprędzej zanieść do piwnicy wodę w butelkach, żywność w puszkach albo zafoliowaną, otwieracz do konserw i ciepłą odzież. Zamknij się w piwnicy i nie wychodź, masz na to wszystko nie więcej niż dziesięć minut, rozumiesz? Starannie

zamknij drzwi i siedź tam. Wiesz gdzie Emily i pozostali?

– Nie! Co się dzieje?

– Właśnie przyleciał generał Pravuil i wydał rozkaz odpalenia czterech rakiet z ładunkami mikronuklearnymi na pozostałości po Szpitalu Wschodnim. Atak ma nastąpić minutę po północy. Jeżeli zejdiesz do piwnicy, wszystko będzie dobrze, pod warunkiem, że nie wyjdiesz do mojego powrotu. Zjawię się z oddziałem neutralizującym...

– Co!? – wrzasnął Arthur. – Atak nuklearny? Nie wierzę! Ty... wojsko... rozwalicie atomem część miasta? Tutaj są tysiące ludzi!

– Arthur! Nie powinienem nawet z tobą rozmawiać! Nie trać czasu! – W głosie Erazmuza zabrzmiała desperacja. – Nie powstrzymamy tego, generał otrzymał wszystkie zezwolenia. Szpital uznano za ogniwo epidemii wirusowej, podlega ustawie Creightona. Zdobądź wodę, żywność, jakieś koce i natychmiast biegnij do piwnicy!

Połączenie się zerwało. Telefon zaczął znikać w dłoni Arthura, zupełnie jakby rozpływał się w powietrzu. Jego krawędzie stawały się mgliste i chłodne.

– Chwila! – warknął Arthur i zacisnął dłonie na aparacie. – Chcę zadzwonić!

Telefon momentalnie zmaterializował się ponownie i Arthur usłyszał jakby cichy śpiew chóru, a po nim niewyraźne krzyki. W końcu łagodny, dźwięczny głos oznajmił:

– Och, daj mi wreszcie spokój, to nasza centrala, nie obchodzi nas, co mówi Sobota. Tutaj centrala, słucham.

– Lord Arthur z tej strony. Muszę pilnie rozmawiać z doktorem Scamandrosem, proszę połączyć mnie z nim jak najszybciej. Rzecz w tym, że nie wiem, gdzie teraz jest, zapewne w Niższym Domu.

– Och, lord Arthur. W obecnej chwili może to być trochę skomplikowane, ale zrobię, co w mojej mocy. Proszę poczekać.

Arthur na moment opuścił telefon i powiódł wzrokiem dookoła. Nie widział zegara i nie miał pojęcia, która jest godzina, nie był też w stanie określić, jak blisko wielkiego Szpitala Wschodniego znajduje się ta prywatna klinika. Niewykluczone, że obie placówki pozostawały w bezpośrednim sąsiedztwie. Liść, Martine oraz Vess były w innych pomieszczeniach i układały śpiących na łóżkach, więc nie miał kogo spytać o szczegóły.

Wbiegł po pochylni, z trudem omijając lunatyków. Trzymał głośniczek przy

uchu, ale nic nie słyszał, nawet okrzyków w tle.

– Liść! Liść! Która godzina? – krzyknął mniej więcej w kierunku drzwi, a potem uniósł aparat i prawie nie zniżając głosu, zawołał: – Koniecznie muszę rozmawiać z doktorem Scamandrosem! Proszę o szybkie połączenie!



## ROZDZIAŁ DRUGI

Liść biegła z powrotem, kiedy Arthur gnał w jej stronę, i więc oboje niemal zderzyli się w drzwiach i usiłując I odzyskać równowagę, mimowolnie obrócili kilku śpiących. Ponowne naprowadzenie ich na właściwą drogę zajęło im dłuższą chwilę, zwłaszcza że Arthur uparcie nie wypuszczał z ręki telefonu.

– Która godzina? – powtórzył pytanie.

– Godzina? Nie mam pojęcia – odparła Liść. – Na dworze jest ciemno, więc pewnie już noc.

– Spytaj Vess, natychmiast. Minutę po północy w sobotę wojsko rozwali atomem Szpital Północny!

– Co!? – wychrypiała.

– Chyba mogę coś na to poradzić – dodał Arthur pośpiesznie. – Muszę tylko porozumieć się z doktorem Scamandrosem. Sprawdź, czy jesteśmy blisko Wschodniej Dzielnicy.

Liść odwróciła się i odbiegła, a Arthur mocniej przycisnął głośniczek do ucha. Wydało mu się, że coś słyszy, lecz docierały do niego jedynie odgłosy maszerujących lunatyków. Telefon milczał.

– Szybciej, szybciej – szepnął niespokojnie, nie tyle do aparatu, ile do siebie. Przyszło mu do głowy rozwiązanie problemu, ale wołał je omówić ze Scamandrosem, żeby wiedzieć, co dokładnie należy uczynić i jakie problemy może napotkać.

Telefon milczał, za to Liść szybko wróciła z informacjami.

– Jest za dziesięć dwunasta w nocy z piątku na sobotę! – krzyknęła z oddali. – Znajdujemy się około siedmiuset metrów od Wschodniej Dzielnicy. Przed laty ta klinika była częścią wielkiego szpitala.

Zatrzymała się tuż obok Arthura i spanikowana, odetchnęła głęboko.

– Co zrobisz? Mamy tylko dziesięć minut.

– Halo! – zawołał Arthur do telefonu. – Halo, muszę niezwłocznie mówić z doktorem Scamandrosem!

Aparat milczał jak zaklęty. Arthur zacisnął na nim dłonie, jakby w ten sposób

mógł przyspieszyć połączenie, lecz na próżno.

– Zostało nam pewnie około dziewięciu minut – zauważyła Liść. – Arthur, zrób coś!

Spostrzegła, że pośpiesznie rzucił okiem na pierścień z krokodylem.

– Może Scamandros myli się w sprawie skażenia magią – pocieszyła Arthura. – Niewykluczone, że wskazania pierścienia są niezbyt dokładne.

– Nie ma sprawy, Liść – westchnął Arthur. – Już sobie wszystko przemyślałem. Wiesz, dlaczego Wola wybrała mnie na swojego Prawowitego Diedzica? Miałem umrzeć... ale ocaliło mnie zdobycie Pierwszego Klucza...

– Pewnie, że pamiętam – potwierdziła Liść pośpiesznie. – Teraz wszyscy umrzemy, jeśli czegoś nie wymyślisz!

– Już coś wymyśliłem – oznajmił Arthur. – Właśnie usiłuję ci to wytłumaczyć. Właściwie w każdej chwili mogę umrzeć, więc wszystko, co zrobiłem i co jeszcze uda mi się zrobić, jest darem losu. Z drugiej strony, nawet jeżeli przemienię się w Rezydenta, pozostanę przy życiu i przynajmniej będę mógł pomagać innym...

– Dobra, Arthur, rozumiałam – przerwała mu Liść. – Ale proszę cię, weź się wreszcie do roboty, pogadamy później!

– No dobrze – westchnął Arthur i upuścił telefon. Aparat przeobraził się w deszcz świetlistych drobin, które znikły, nim dotknęły podłogi.

Arthur odetchnął głęboko i na ułamek sekundy zamyślił się nad tym, jak dużo powietrza potrafi teraz nabrać w płuca. Astma znikła wraz z jego ludzką postacią, a nowy, nieśmiertelny organizm był odporny również na wszystkie inne ziemskie dolegliwości. Wyciągnął z kieszeni Piąty Klucz w postaci zwierciadła i uniósł go na wysokość twarzy. Wokół lustra lśniło intensywne światło, tworząc jaskrawą aureolę, lecz Arthur bez trudu patrzył prosto w szklaną taflę i widział własne, zmieniające się oblicze z bardziej proporcjonalnym nosem, bielszymi zębami i nietypowo jedwabistymi włosami.

Liść osłoniła oczy ręką. Nawet śpiący odwracali głowy i mocniej zaciskali powieki, chwytając Arthura.

„Mam nadzieję, że to coś da – pomyślał. – Musi się udać. Szkoda tylko, że nie mogłem spytać o radę doktora Scamandrosa, bo w zasadzie nie wiem, co zrobić... ”

Wykrzywił usta i stłumił wewnętrzny niepokój. Musiał skupić się na tym, czego

oczekiwał od Piątego Klucza. W końcu przemówił do niego na głos, uznawszy, że tak będzie prościej i zarazem bardziej przekonująco.

– Piąty Kluczu Architektki! Ja, Arthur Penhaligon, Prawowity Dziedzic Architektki... ehem... pragnę, żebyś osłonił to miasto kloszem, który oddzieli je od reszty Ziemi i będzie je chronił wraz ze wszystkimi ludźmi przed wszelkim niebezpieczeństwem i... to tyle, dzięki.

Zwierciadło rozbłysło i tym razem Arthur musiał przymknąć oczy. Gdy rozchylił powieki, momentalnie się zachwiał, uniósł ręce niczym linoskoczek, aby odzyskać równowagę. Wtedy zorientował się, że wszyscy dookoła znieruchomieli. Liść stała jak słup soli, razem z kolejką śpiących – wyglądali tak, jakby ktoś uwięził ich w stop-klatce. Wielu śpiących trzymało jedną stopę lekko uniesioną nad ziemią, w pozycji, której nie dałoby się utrzymać w zwykłych okolicznościach.

Do tego wszystkiego zapadła nietypowa cisza. Arthur nie słyszał warkotu helikopterów, huku wystrzałów broni automatycznej ani żadnego innego hałasu. Czuł się tak, jakby trafił do muzeum figur woskowych.

Wsunął zwierciadło do kieszeni i przyczesał palcami włosy, które stały się znacznie dłuższe, niż sobie życzył.

– Liść? – spytał z wahaniem i podszedł do niej, żeby postukać ją w ramię. – Liść? Wszystko w porządku?

Nie poruszyła się, więc Arthur popatrzył na nią uważnie. Miała otwarte oczy, ale jej źrenice nie drgnęły, kiedy pomachał jej palcem przed nosem. Nie potrafił nawet stwierdzić, czy oddycha. Poczuł, że ogarnia go panika.

„Zabiłem ich – pomyślał. – Usiłowałem ich uratować, a tymczasem pozbawiłem ich życia...”

Ponownie dotknął ramienia dziewczyny i choć wokół jego palców pojawiła się łagodna czerwona poświata, Liść nawet nie drgnęła.

Arthur cofnął się i rozejrzał. Wokół każdego ze śpiących jaśniało takie samo, bladoczerwone światło, a gdy do nich podchodził i ich dotykał, blask stawał się przez chwilę intensywniejszy. Arthur nie wiedział, co oznacza ta jasność, lecz jej obecność wpłynęła na niego krzepiąco, gdyż świadczyła o działaniu magii. Innymi słowy, wszyscy ludzie żyli, tylko byli zaczarowani.

„Nawet nie wiem, czy uchroniłem nas przed atakiem jądrowym – zmartwił się. – Ciekawe, która godzina?”

Odwrócił się i pobiegł korytarzem. Minął dwa oddziały i wpadł do holu, po czym błyskawicznie odszukał recepcję oraz zegar, który zatrzymał się dokładnie za trzy dwunasta. Sekundowa wskazówka drżała nerwowo na dwunastce, tarcza jaśniała słabą czerwienią, a za wskazówką sekundową i godzinową zalegały złowrogie, szkarłatne cienie.

Arthur wybiegł na dwór. Drzwi wejściowe zatrzasnęły się za nim ze złowieszczym hukiem. Gwałtownie wyhamował tuż przed pochylnią dla wózków i od razu zauważył, że wszystko dookoła wydaje się pomalowane na czerwono. Czuł się tak, jakby patrzył na świat przez czerwone okulary przeciwsłoneczne w chmurny dzień, gdyż nocne niebo przesłoniła jednolita, przesuwająca się z brzękiem tafla czerwieni.

– Chyba jednak udało mi się coś zrobić – mruknął Arthur do siebie. – Tylko nie za bardzo wiem co...

Wyszedł na parking, a jego wzrok przyciągnął mały obiekt na czerwonym niebie, drobny zarys jakiegoś przedmiotu. Wpatrywał się w niego przez kilka sekund, aż wreszcie uświadomił sobie, że to bojowy śmigłowiec, który zawisł w powietrzu niczym model na drucie w dioramie.

Zawieszony w czasie.

„Właśnie dlatego wszyscy zamarli – doszedł do wniosku Arthur. – Zatrzymałem czas... W taki sposób Klucz zadbał o bezpieczeństwo miasta i ludzi...”

Skoro czas się zatrzymał lub zwolnił wewnątrz klosza, to znaczy że mógł ponownie ruszyć – samodzielnie bądź za sprawą innej siły. Innymi słowy, atak nuklearny na Szpital Wschodni nadal pozostawał realnym zagrożeniem. Arthur nie ocalił miasta, a tylko chwilowo oddalił jego zagładę.

Rozejrzał się po pustej, dziwacznie czerwonej ulicy i zaczął się zastanawiać, czy nie powinien popędzić do domu i sprawdzić, co z rodziną. Może zdołałby przenieść ich do piwnicy... Tyle że gdyby to zrobił, zapewne straciłby sporo cennego czasu.

Udało mu się zapewnić miastu dodatkowy czas przed katastrofą. Mógłby go jeszcze wydłużyć, gdyby teraz wrócił do Domu. Nawet jeśli spędziłby tam dni, czy wręcz tygodnie, na Ziemi zapewne upłynęłaby najwyżej chwila.

„Zapewne nie znaczy na pewno – pomyślał ponuro. – Szkoda, że nie znam się lepiej na teorii względności – westchnął w duchu. – Chciałbym wiedzieć więcej o tym, jak korzystać z Kluczy. Żałuję, że zostałem wciągnięty w tę całą...”

Nagle się pohamował.

– Gdybym nie został wciągnięty w tę historię, już bym nie żył – powiedział głośno. – Zwyczajnie muszę ją doprowadzić do pomyślnego końca.

Unióśł dłoń na wysokość twarzy i popatrzył na pierścień z krokodylem. Nawet w tym niepokojącym, czerwonym świetle wyraźnie widział wszystkie szczegóły. Brylantowe oczy gada spoglądały groźnie – nie były różowe, jak zazwyczaj, lecz ciemne niczym zakrzepła, czarna krew. Dziesięć segmentów na jego ciele oznaczono rzymskimi cyframi, które wskazywały stopień magicznego skażenia krwi i kości Arthura. Gdyby ponad sześć segmentów zmieniło barwę ze srebrnej na złotą, oznaczałoby to, że Arthur na stałe przeniknął magią I nieodwracalnie przemieni się w Rezydenta.

Powoli obracał pierścień, by się przekonać, jak daleko zaszła transformacja, i powoli liczył w myślach segmenty. „Pierwszy, drugi, trzeci, czwarty, piąty...” Już wcześniej wiedział, że osiągnął ten etap. Obrócił pierścień jeszcze trochę i wtedy zorientował się, że złoto przekroczyło piąty segment i zalało niemal cały szósty.

„Zostanę... zostanę Rezydentem”, uświadomił sobie.

Odetchnął głęboko, niespokojnie i znowu spojrzął na pierścień, ale nie dostrzegł żadnej zmiany. Krokodyl był złoty w sześciu częściach. Arthur był nieśmiertelny w sześćdziesięciu procentach.

„Teraz nie ma już odwrotu. Pora wracać do pracy”.

Oderwał wzrok od pierścienia, opuścił dłoń i na moment pochylił głowę, po czym wyjął Piąty Klucz z kieszeni i unióśł go wysoko. Jak utrzymywała Pierwsza Dama, zwierciadło Pani Piątek mogło go zabrać do dowolnego miejsca, które wcześniej widział w Domu, pod warunkiem, że znajdowała się tam lustrzana powierzchnia.

Arthur wyobraził sobie salę tronową w Niższym Domu, wielką komnatę audiencyjną, w której spotykał się z Pierwszą Damą i innymi osobami, zanim wcielono go do armii Architektki. Było to miejsce w Pokoju Dziennym Poniedziałka, które potrafił wyobrazić sobie z największą łatwością, gdyż nie obfitowało w detale. Było niesłychanie wykwintnie umeblowane, z podłogą z gładkiego, błyszczącego marmuru.

– Piąty Kluczu, zabierz mnie do sali tronowej w Pokoju Dziennym Poniedziałka – zażądał.

Magiczne zwierciadło zadrżało w dłoni Arthura, a z jego tafli wystrzelił promień białego światła, który przyćmił wszechobecną czerwień. Światło przybrało kształt pionowego prostokąta przypominającego drzwi o idealnych proporcjach.

Arthur wkroczył w świetliste przejście i opuścił miasto, Ziemię – być może na zawsze.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Sala tronowa była pusta, wyglądała identycznie jak wtedy, gdy Arthur był tu ostatnim razem. Przypominała gigantyczną i pełną przepychu, jednak nie do końca przemyślaną łazienkę hotelową wielkości olbrzymiego teatru. Ściany, podłoga i sufit były wyłożone białym marmurem ze złotymi żyłkami, wypolerowanym na najwyższy połysk.

Ogromny, okrągły stół z czerwonego żelaza nadal stał pośrodku komnaty, otoczony setką białych krzeseł o wysokich oparciach. Po jego drugiej stronie Arthur zauważył własny, pozłacany wysoki tron, a obok tęczowe krzesło Pierwszej Damy.

– Hej! – zawołał. – Jest tam kto?

Jego głos wypełnił pustą przestrzeń, lecz odpowiedziało mu jedynie echo. Arthur westchnął i podszedł do drzwi. Odgłos jego kroków również odbijał się od ścian wielokrotnym echem – Arthur odnosił wrażenie, że wraz z nim po sali wędruje mnóstwo krasnoludków.

Korytarz nadal był zavalony tysiącami paczek papieru, powiązanych czerwonymi wstążkami i ułożonych niczym cegły. Tym razem Komisarze Sierzanci nie stali na baczność między stertami dokumentów.

– Halo! – krzyknął Arthur ponownie i popędził przed siebie, zatrzymując się kilka razy w poszukiwaniu wyjścia. W końcu dotarł do końca korytarza, gdzie ujrzał uchylone, częściowo zasłonięte papierami drzwi. Dostrzegł je tylko dlatego, że zawałiła się jedna ze stert.

Nadal nie widział ani jednego Rezydenta, więc pośpiesznie wyśliznął się przez drzwi i ruszył innym pustym korytarzem. Po drodze zaglądał do różnych pokoi, lecz wszystkie świeciły pustkami.

– Hej! Jest tu kto? – wrzeszczał co kilka metrów, ale odpowiadało mu tylko echo.

W końcu dotarł do dwóch wysokich, łukowato sklepionych drzwi z ciemnego dębu, zamkniętych przy pomocy potężnej kłody, która z pewnością ważyła kilkaset kilo. Podniósł ją bez najmniejszego trudu, nawet nie zastanawiając się nad swoją nadludzką siłą, a wtedy prowadzące na zewnątrz wrota otworzyły się lekko.

Arthur spodziewał się, że ujrzy za nimi jezioro oraz obrzeże krateru otaczającego

Pokój Dzienny, a wysoko w górze sklepienie Niższego Domu. Tymczasem jego oczom ukazała się gigantyczna, wypiętrzona fala Nicości, która pochłonęła już wszystko z wyjątkiem małego pałacyku za jego plecami. Miał wrażenie, że znalazł się na szczycie wzgórza, ostatnim skrawku lądu na obszarze nawiedzonym przez tsunami. Fala nadciągała jednak nieuchronnie, wspinała się coraz wyżej i wkrótce musiała dojść do tego miejsca.

Przerażony, odwrócił się, by uciec, i nagle serce załomotało mu w piersiach, a w ustach poczuł nieprzyjemną suchość. W panice rzucił się z powrotem do budynku, lecz już po jednym kroku znieruchomiał i popatrzył za siebie, na falę Nicości. Nadciągała nieubłaganie – Arthur nie miał czasu na ucieczkę. Wątpił, czy Piąty Klucz ochroni go przed taką nawałą, co najwyżej mógł spróbować samodzielnie ukierunkować jego moc.

„Muszę coś zrobić”, postanowił i błyskawicznie wziął się do roboty. Nicość już, już miała go pochłonąć, gdy uniósł zwierciadło wysoko ku ciemnemu niebu.

– Stać! – krzyknął potężnym głosem, całkowicie skupiony na powstrzymaniu tsunami Nicości. – Stać! Na potęgę Kluczy, które dierzę, rozkazuję Nicości stać! Niech Dom wytrzyma napór Otchłani!

Ze zwierciadła wystrzeliło w górę oślepiające światło. Gorące, białe promienie uderzyły w nacierającą Nicość, rozpryskując się na jej czarnej powierzchni i znacząc Otchłan drobinami jaskrawych iskier.

Arthur poczuł potworny ból w sercu, który po chwili objął resztę jego ciała. Stawy chłopca zatrzeszczały złowieszczo. Zacisnął powieki i wrzasnął, gdy zęby ustawiały się w jeszcze doskonalszym szyku. Po chwili szczęka oraz kości czaszki również się przesunęły, żeby udoskonalić kształt jego głowy.

Pomimo bólu nie upuścił lustra, nawet gdy padł na kolana. Wykorzystał cierpienie, by lepiej się skupić i ukierunkować siłę woli przeciwko zalewowi Nicości. W końcu nie był już w stanie dłużej znieść bólu i wysiłku, więc padł na twarz, a jego wrzaski przerodziły się w głuchoe łkania. Zupełnie opadł z sił, upuścił Piąty Klucz na wąski skrawek trawy – pozostałość po trawnikach, które niegdyś otaczały Pokój Dzienny.

„Zawiodłem, z chwilą mojej śmierci zniknie cały Wszechświat. Zginą wszyscy, których kochałem, zarówno na Ziemi, jak i w Domu, a także w odleglejszych światach” –



pomyślał, gdy tak leżał, częściowo ogłuszony, i oczekiwał dezintegracji.

Minęła minuta, po niej następna, a zagłada nie nadchodziła. Ból w kościach ustąpił, więc Arthur jęknął i obrócił się w kierunku Nicości. Wolał stawić jej czoło, niż dać się zabić bez walki, z twarzą w trawie. Nie zobaczył jednak nadciągającej, śmiertelnej czerni, lecz misterną siatkę jaśniejących, złotych nitek, tworzących pajęczynę, a może drobno tkaną sieć światła na niebie. To ona powstrzymywała mroczne masy, ale Arthur i tak wyczuwał napór Nicości i bliskość bezkresnej Otchłani, która nacierała na tę kruchą zaporę. Było jasne, że świetlna sieć wkrótce ustąpi.

Sięgnął po zwierciadło i wstał z trudem, po czym się zachwiał, ale zdołał utrzymać równowagę. Otrząsnął się, żeby dojść do siebie, i pobiegł z powrotem do otwartych drzwi. Wiedział, że w bibliotece znajduje się telefon, a musiał zadzwonić i sprawdzić, w którym miejscu Domu jest bezpiecznie, żeby nie przenieść się tam, gdzie być może zapanowała już Nicość. Wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby wykorzystał Piąty Klucz do przeniesienia się prosto w Otchłań. Jediną pociechą byłoby to, że koniec nastąpiłby błyskawicznie...

„A może nie? – pomyślał i nagle zebrało mu się na mdłości. – A gdyby Klucz chronił mnie przez krótką chwilę i czułbym, jak Nicość rozpuszcza moje ciało... ?”

Pośpiesznie pobiegł głównym korytarzem i wkrótce znalazł się przed znanymi sobie drzwiami. Przeskoczył próg i pędem wbiegł po schodach, po cztery stopnie naraz, objając się o ściany, gdy zbyt prędko skręcał na półpiętrach.

Na górze pognął długim korytarzem, również zawałonym stertami dokumentów, często spisanych nie na papierze, lecz na papirusie albo pergaminie. Zatrzymał się przed dwumetrowej wysokości kamienną tablicą, która upadła, blokując przejście, i sprawnie ją odsunął. Kopniakiem otworzył ukryte za nią drzwi, nie zawracając sobie głowy naciskaniem klamki, i wparował do biblioteki.

Pomieszczenie świeciło pustkami – brakowało w nim zarówno Rezydentów, jak i książek, a także wygodnych, skórzanych foteli oraz dywanu. Znikł nawet szkarłatny sznur, który Kichol pociągnął, żeby odsłonić siedmioboczny pokój ze stojącymi zegarami i Siedmioma Cyferblatami, choć samo pomieszczenie zapewne znajdowało się tam gdzie poprzednio, czyli za regałem na książki.

Nie było też telefonu, który wcześniej stał na stoliku pod ścianą.

Arthur zwiesił ramiona. Wyczuwał ciśnienie z zewnątrz, które objawiało się u niego bólem zatok – domyślił się, że to napór Nicości, usiłującej zerwać nałożone pęta. Niewyobrażalna masa ciążyła mu na umyśle i wprawiała go w niepokój tak silny, że niemal uniemożliwiający logiczne myślenie.

– Telefon – powiedział i uniósł ręce. W lewej trzymał Piąty Klucz. – Poproszę o telefon, jest mi potrzebny. Natychmiast.

Aparat momentalnie zmaterializował się w jego dłoni. Arthur postawił go na podłodze, po czym usiadł, przycisnął głośniczek do ucha i pochylił się, żeby przemówić do mikrofonu. Usłyszał trzaski i brzęczenie, gdzieś w oddali ktoś śpiewał piosenkę na melodię *Deszczu kropelki roszyć mnie*, lecz ze słowami: „Złącza zrywają ciągle się”.

– Halo, mówi lord Arthur. Muszę rozmawiać z Pierwszą Damą. Albo z Kicholem. Albo z kimkolwiek.

Śpiew raptownie ucichł, zastąpiony przez cienki, cichy głos, który przypominał szelest papieru.

– Och, skąd pan dzwoni? Wygląda na to, że ta linia nie jest do niczego przyłączona.

– Z Niższego Domu – wyjaśnił Arthur. – Bardzo proszę, bo chyba zaraz pochłonie mnie Nicość i muszę się dowiedzieć, dokąd uciekać.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić – westchnął głos. – Próbował pan kiedyś podłączyć nieistniejącą linię do zlikwidowanej łącznicy?

– Nie – przyznał Arthur. Gdzieś w oddali rozległ się przenikliwy brzęk, przypominający odgłos pęknięcia struny w gitarze. Arthur poczuł go także w postaci gwałtownego skurczu w brzuchu. Pękała sieć, jego jedyna ochrona przed Otchłanią. – Proszę się pośpieszyć!

– Mogę połączyć Waszą Lordowską Mość z doktorem Scamandrosem. Wystarczy? – spytała telefonistka. – Widzę, że chciał pan skontaktować się z nim już wcześniej...

– Gdzie on jest? – wykrztusił Arthur.

– W Głębokiej Piwnicy Węglowej. Dziwne, bo zerwały się wszystkie inne połączenia z Niższym Domem... No, ale zmienne metafizyczne nigdy nie były moją mocną stroną. Mam łączyć? Halo? Halo, czy Wasza Lordowska Mość jeszcze tam jest?

Arthur odrzucił słuchawkę. Uniósł Piąty Klucz i ze skupieniem próbował przypomnieć sobie, jak wygląda woda w kałuży w Głębokiej Piwnicy Węglowej – o ile była tam jakaś kałuża, a także źródło światła.

Na chwilę rozproszył go widok własnej twarzy w zwierciadle, zarazem dobrze znanej i obcej. W zasadzie wyglądała tak samo jak zawsze, kiedy zerkał do lustra, zdumiały go jednak liczne drobne zmiany. Kości policzkowe stały się odrobinę bardziej wyraziste, kształt głowy był inny, uszy nieco się zmniejszyły...

– Głęboka Piwnica Węglowa – rzucił do zwierciadła.

Jego odbicie rozmyło się i znikło, a w zwierciadle pojawił się obraz miejsca słabo oświetlonego lampką olejną stojącą na bardzo grubej, oprawionej w skórę księdze. Tomiszcze miało rozmiary kilku cegieł i tkwiło na wierzchołku częściowo zawalonej piramidy ułożonej z drobnych kawałków węgla. W nikłym świetle Arthur dostrzegł sylwetkę na przeciwległym krańcu sterty. Ktoś unosił wędkę nad głowę, żeby ją zarzucić, a wtedy Arthur zobaczył dłonie oraz dwa musztardowożółte mankiety, które momentalnie rozpoznał.

– Piąty Kluczu – odezwał się. – Zabierz mnie do Głębokiej Piwnicy Węglowej, do doktora Scamandrosa.

Podobnie jak wcześniej pojawiły się drzwi z czystego, białego światła. Przekraczając je, Arthur poczuł, że za jego plecami zrywa się ochronna sieć, a gigantyczna fala Nicości pochłania wszystko na swojej drodze.

Kilka sekund po jego ucieczce ostatnie fragmenty Niższego Domu przestały istnieć.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Arthur zmaterializował się obok piramidy węgla i śmiertelnie przeraził niskiego, łysego Rezydenta w żółtym szynelu. Osobnik ten upuścił wędkę, odskoczył i wydobył z jednej z obszernych kieszeni dymiącą kulę z brązu, która wyglądała jak ręczna bomba średniowieczna.

– Doktorze Scamandros! – krzyknął Arthur. – To ja!

– Lord Arthur!

Wytatuowane na czole doktora Scamandrosa trąbki wystrzeliły, zmieniając się w chmury konfetti. Medyk usiłował zdusić płomień na loncie, ale iskry ominęły jego palce i spokojnie zmierzały do celu. Z piekielnego urządzenia buchały coraz większe kłęby dymu.

– Scamand... – zaczął Arthur, ale umilkł, gdy Scamandros cisnął granat za szczególnie wysoką piramidę węgla, oddaloną o jakieś dziesięć metrów.

– Jedną chwilę, lordzie Arthurze.

Ogłuszającemu hukowi towarzyszył silny podmuch powietrza, a zaraz po nim znad ziemi uniosła się wielka chmura dymu i pyłu węglowego. Po chwili z góry spadł grad węgla. Niektóre bryły miały rozmiary pięści i bombardowały ziemię tuż obok czarnoksiężnika oraz chłopca.

– Proszę o wybaczenie. – Posapując cicho, doktor Scamandros przyklęknął, a chmura pyłu sięgnęła niemal do jego ramion. – Witam.

– Wstań, proszę. – Arthur pochylił się i pomógł mu dźwignąć się z ziemi. Doktor Scamandros był zaskakująco ciężki, być może z powodu mnogości przedmiotów, które ukrywał w kieszeniach żółtego szynela. – Co się dzieje? Wróciłem do Pokoju Dziennego Poniedziałka i zobaczyłem... gigantyczną falę Nicości! Ledwie udało mi się uciec.

– Obawiam się, że nie dysponuję szczegółową wiedzą w kwestii tego, co zaszło – westchnął Scamandros. Tatuaze na jego twarzy przybrały formę stada zdezorientowanych, wierzgających i kopiących się nawzajem osłów, które biegały od brody do nasady nosa i z powrotem. – Przebywam tu, odkąd się rozstaliśmy w kryjówce Pani Piątek, czyli od kilku dni. Pierwsza Dama wyraziła życzenie, bym zajął się

obserwacją pewnych niezwykłych zjawisk, między innymi szybkiego wzrostu roślin oraz wszechobecnej woni olejku różanego. Pod pewnymi względami zdołałem tu całkiem przyjemnie wypocząć, choć muszę przyznać, że róże nie pachną już... – Scamandros dostrzegł ponurą minę Arthura i powrócił do tematu. – Ehem, chcę powiedzieć, że niecałą godzinę temu wyczułem drżenie pod stopami, a po chwili doszło do nagłego wypływu Nicości. Pochłonęła co najmniej trzecią część Piwnicy, potem zwolniła. Szczęśliwym trafem nie była to część, na której wówczas przebywałem. Niezwłocznie podjąłem próbę telefonicznego powiadomienia Pierwszej Damy w Cytadeli, ale wszystkie linie były zerwane, z tych samych względów nie udało mi się ściągnąć windy. Przeprowadziłem kilka krótkich eksperymentów, z których wyciągnąłem następujące wnioski: – Uniósł trzy wysmarowane węglem palce i po kolei je zaciskał. – Wniosek pierwszy. System obrony przeciwko Otchłani w Odległych Rubieżach z pewnością nagle się załamał pod naporem gigantycznych mas Nicości. Wniosek drugi. Lordzie Arthurze, skoro napotkałeś falę Nicości wysoko, bo w Pokoju Dziennym Poniedziałka, oznacza to, że całe Odległe Rubieże oraz Niższy Dom zapewne uległy zniszczeniu. Jest jeszcze pogodniejszy aspekt, który nazwę wnioskiem trzecim. Wniosek trzeci. Lordzie Arthurze, rozmawiałaś z telefonistką, zatem umocnienia między Niższym a Środkowym Domem przetrwały i nadal wytrzymują napór Nicości, choć wszystko pod nimi przepadło.

– Wszystko? Przecież tutaj... gdzie teraz jesteśmy... – zdumiał się Arthur. – To przecież część Niższego Domu, więc jak to możliwe, że jeszcze istnieje?

– Więzienie Starucha jest niesłychanie wytrzymałe – objaśnił Scamandros i wyciągnął dłoń, wskazując coś po lewej stronie. Arthur spojrział tam i w oddali zobaczył bladą, niebieskawą poświatę. Wiedział, że emituje ją cyferblat zegara w więzieniu Starucha. – Architektka zadbała o to, żeby takie było, gdyż musiała utrzymać Starucha w ryzach. Ponieważ zbudowano je z odpornego materiału, zdołało oprzeć się pierwszej fali Nicości, teraz jednak to maleńka, zagubiona w otchłani wysepka. Jesteśmy otoczeni ze wszystkich stron i całkowicie odcięci od reszty Domu. To niezwykle interesujące zjawisko, niemniej muszę przyznać, że z ulgą powitałem twoje przybycie, lordzie Arthurze. Obawiam się, że bez ciebie...

Scamandros umilkł. Wytatuowane osły zwiesiły łby i powoli przeobraziły się w zwalone, kamienne kurhany.

– Obawiam się, że obecną sytuację, jakkolwiek interesującą, wkrótce zmuszony będę uznać za śmiertelnie niebezpieczną, zważywszy że Nicość pochłania naszą małą enklawę w tempie około metra na godzinę.

– Co!?! Przed chwilą mówiłeś, że ten obszar jest wytrzymały, odporny i w ogóle!  
– Wzburzony Arthur wbił wzrok w przestrzeń, ale nie potrafił powiedzieć, czy patrzy na nadciągającą Nicość, czy też w bladym świetle lampki olejnej na stercie węgla jest w stanie dojrzeć jedynie najbliższą okolicę.

– Och, obszar bezpośrednio przyległy do zegara jest niewątpliwie odporny na Otchłań – potwierdził Scamandros. – Przed twoim przybyciem, lordzie Arthurze, rozważałem względne... jakby to ująć... korzyści, wynikające z bycia uduszonym przez Starucha, a nie rozpuszczonym przez Nicość.

– Staruch nie udusiłby cię... choć właściwie mógłby – mruknął Arthur. – Fakt, że nienawidzi Rezydentów... – Urwał i popatrzył na niebieską poświatę, przypominając sobie szczegóły pierwszego spotkania ze Staruchem. Doskonale pamiętał, co czuł, kiedy jego szyję otoczył więzienny łańcuch. – Mam nadzieję, że jeszcze będzie chciał ze mną rozmawiać. Skoro tutaj jestem, chętnie zadałbym mu kilka pytań.

Doktor Scamandros spojrział z powagą na Arthura, a szkła półkolistych okularów, dzięki którym mógł wyteżyc trzecie i czwarte niewidzialne oko, błysnęły na jego czole.

– To prawda, że Staruch żywi sympatię do śmiertelników, lecz moim zdaniem nie jesteś już jednym z nich, lordzie Arthurze. Co wskazuje mój... twój pierścień?

Arthur spojrział na krokodyla. Złoto już w znacznym stopniu zajęło siódmy segment.

– Skażenie osiągnęło poziom około siedemdziesięciu pięciu procent – wyznał cicho. – Mam nadzieję, że Staruch dostrzeże we mnie choć odrobinę człowieczeństwa.

– Może najlepiej byłoby po prostu się oddalić – zasugerował Scamandros nerwowo. – Pozwolę sobie jednak zauważyć, że wskazania pierścienia są obarczone marginesem...

– Muszę przynajmniej spróbować wyciągnąć z niego parę odpowiedzi – mruknął Arthur z zadumą. – Może jeśli się będę trzymał na dystans, wszystko będzie w porządku. Potem wybierzemy się do Cytadeli i sprawdzimy, co z Pierwszą Damą. Och, i jeszcze poradzisz mi w sprawie tego, co zrobiłem na Ziemi...

Arthur szybko opisał, co uczynił z Kluczem i jak wyglądało dziwnie czerwone miasto, w którym czas chyba stanął w miejscu.

– Nie mogę mieć absolutnej pewności, lordzie Arthurze, albowiem nie przeprowadziłem stosownego dochodzenia – zauważył Scamandros. – Twoje podejrzania wydają się jednak słuszne. Zapewne wyodrębniłeś cały swój świat z ogólnego procesu upływu czasu w Poślednich Królestwach albo czasowo oddzieliłeś tylko jego część w postaci swojego miasta. Tak czy owak, zawieszenie w czasie będzie powoli ustępowało. W stosownym momencie upływ czasu zostanie przywrócony i stanie się wszystko, co miało się stać, chyba że powrócisz i zapobiegiesz temu przed końcem zawieszenia. Ta sztuka powinna ci się udać, zważywszy na elastyczność czasu między Domem a Poślednimi Królestwami. Jestem pewien, że Kichol udzieli ci dodatkowych wyjaśnień, przy użyciu Siedmiu Cyferblatów.

– Ale przecież Siedem Cyferblatów pewnie jest już /. niszczone – zauważył Arthur. – Razem z Pokojem Dziennym Poniedziałka. – Znieruchomiał i plasnął się w głowę. – Razem z całym archiwum, zgromadzonym w Niższym Domu! Na pewno przepadły także dokumenty, a to oznacza, że wszystko w Poślednich Królestwach, czego dotyczyły te zapisy, również zostanie zniszczone, prawda? Tam były moje teczki!

Scamandros pokręcił głową.

– Siedem Cyferblatów z pewnością samoczynnie przeniosło się w bezpieczne miejsce w Domu – mam nadzieję że takie, które pozostaje pod naszą kontrolą. Co się zaś tyczy archiwów, w Niższym Domu przechowywane są wyłącznie zapisy dotyczące zmarłych. Należy przypuszczać, że zniszczenie dokumentacji doprowadzi do powstania luk w przeszłości, ale tym nie należy się zbytnio przejmować. Poniedziałek na pewno otrzymał czasowo twoją teczkę, jak mniemam za sprawą Woli, lecz w normalnych okolicznościach była ona przechowywana w Wyższym Domu, jako na bieżąco aktualizowany dokument.

– Kichol wręczył mi teczkę po tym, jak pokonałem Poniedziałka, ale ją zostawiłem – przypomniał sobie Arthur. – Pewnie ma ją teraz Pierwsza Dama.

– Chyba że dokument powrócił do Wyższego Domu. Takie papiery nie mogą długo przebywać poza stosownym dla nich miejscem.

– W takim razie Sobota może zmienić moją dokumentację, a wraz z nią mnie! –

zaniepokoił się Arthur. – A jeżeli ją zniszczy? Wtedy i ja będę załatwiony!

Scamandros znowu pokręcił głową. Na jego lewym policzku pojawił się tatuaż przedstawiający orlonosego sędziego w czerwonej czapce, który również pokręcił głową.

– Nie. Nawet jeśli Sobota wie, gdzie są dokumenty, i tak nie będzie mogła ich zmodyfikować ani zniszczyć. Nie zrobi tego, dopóki dysponujesz chociaż jednym Kluczem.

– Pęka mi głowa, zupełnie jakby coś ją rozsadzało. – Arthur rozmasował skronie kostkami palców i westchnął. – Za dużo tego wszystkiego... Co ty wyprawiasz, doktorze?

Scamandros znieruchomiał w trakcie wyciągania wielkiej, ręcznej wiertarki zza pazuchy szynela. Drugą ręką wyjął z kieszeni lśniące wiertło, długie na ćwierć metra.

– Wywiercę ci otwór w czaszce, o tutaj. – Postukał się palcem w skroń. – W ten sposób obniżę ciśnienie w jej wnętrzu. Zakładam, że to skutek uboczny twojej transformacji w wyższego rangą Rezydenta...

– Nie chodziło mi o to, że naprawdę pęka mi głowa – wyjaśnił mu Arthur cierpliwie. – Możesz odłożyć wiertarkę. Po prostu mam za dużo do zrobienia i czuję się przytłoczony nowymi informacjami. Wszystko na mojej głowie!

– Może udzielić ci innej pomocy? – zapytał Scamandros i schował narzędzia.

– Nie – mruknął Arthur. – Zaczekaj tutaj, idę porozmawiać ze Staruchem.

– Hm, lordzie Arthurze, chyba mogę się przesunąć odrobinę, o tam? – Scamandros wskazał oddaloną o kilka metrów stertę węgla. – Zwracam uwagę, że przednia połowa tamtej piramidy w oddali przestała istnieć...

– Oczywiście że możesz się przesunąć! – krzyknął Arthur i poczuł, że narasta w nim dziwny gniew, którego nigdy wcześniej nie odczuwał. Była to irytacja wywołana koniecznością zniżania się do poziomu ostatnich Rezydentów oraz istot niższego rzędu. Przez ułamek sekundy miał ochotę walnąć Scamandrosa albo kazać mu się ukorzyć i błagać o wybaczenie.

Wkrótce jednak przykre wrażenie minęło, pozostał po nim głęboki wstyd i niesmak. Arthur lubił doktora i nie podobało mu się to, co przed chwilą czuł. Stłumił pyszny gniew, który w nim wezbrał i groził wybuchem niczym wstrząśnięty gazowany napój w butelce. Znieruchomiał i odetchnął głęboko. Przypomniawszy sobie, że jest tylko chłopcem i czeka go trudne zadanie, więc będzie potrzebował wszelkiej możliwej



pomocy od wiernych przyjaciół, a nie strachliwej służby. Pomyślał z przekonaniem, że nie stanie się taki jak Wykonawcy Woli. Ani jak Pierwsza Dama.

– Przepraszam, naprawdę przepraszam, doktorze, nie zamierzałem krzyknąć. Po prostu jestem... nieco... tak czy owak, proszę robić to, co pan uzna za stosowne, żeby trzymać się z dala od Nicości. Wkrótce opuścimy to miejsce.

Doktor Scamandros uklonił się nisko. Gdy Arthur odchodził, z wewnętrznej kieszeni szynela czarnoksiężnika wypadła jeszcze jedna bomba wielkości piłki baseballowej, a lont momentalnie się zapalił. Doktor zacmokał niecierpliwie, zduśił palcami płomień i wsunął granat do rękawa. Wydawałoby się, że nie jest to najlepszy schowek dla ładunku wybuchowego, niemniej tym razem bomba nie wypadła.

Arthur szedł przed siebie, lawirując między piramidami węgla i rozchlapując brudną, zmieszaną z pyłem węglowym wodę w kałużach. Przypomniawszy sobie, że drżał z zimna, kiedy ostatnio odwiedzał Głęboką Piwnicę Węglową, ale teraz temperatura wydawała się odpowiednia, wręcz było mu ciepło. To pewnie skutek uboczny przebywania w otoczeniu Nicości.

Dostrzegł także inne zmiany. Zbliżając się do błękitnej poświaty zegara, zauważył, że na wielu piramidach zakwitły kwiaty. Pnące róże wychylały się z węgla, a między kałużami wyrosły kępy niebieskich dzwonków, które gęstniały w miarę wznoszenia się i schnięcia terenu. Kwiaty wyrastały teraz z kamiennych płyt, nie z węglowego pyłu, co było równie absurdalne, ale niespecjalnie dziwiło Arthura, gdyż z biegiem czasu przywykł do dziwactw Domu.

Zatrzymał się przy ostatniej piramidzie, podobnie jak poprzednio, dawno temu, kiedy po raz pierwszy ostrożnie podkładał się do więzienia Starucha. Niebieski blask nie raził go tak bardzo jak wówczas – tym razem Arthur widział wszystko wyraźniej.

Ujrzał krajobraz zupełnie odmienny niż poprzednio. Między nim a zegarowym więzieniem rozpościerał się gęsty dywan dzwonków, upstrzony kępami wysokich, żółtozielonych łodyg, które wystrzeliwały z wierzchołków licznych, białawych kwiatów. Przypominały one wydłużone żonkile, jednocześnie były jednak zbyt dziwne, by pochodzić ze znanego Arthurowi świata.

Uniesiony kamienny krąg, który tworzył cyferblat zegara, wyglądał, jakby się mocno skurczył. Niegdyś miał średnicę co najmniej dwudziestu metrów, mniej więcej

równą długości podjazdu przed domem Arthura. Teraz stał się o połowę mniejszy, a rzymskie cyfry, ustawione w pionie na brzegu tarczy, zmniejszyły się i pociemniały. Niektóre przechyliły się pod kątem co najmniej czterdziestu pięciu stopni, a do tego zarosły pnącymi różami w kolorach czerwonym i różowym. Te same kwiaty zakryły także większość obrzeża zegara.

Metalowe wskazówki skurczyły się proporcjonalnie do cyferblatu. Długie, błyszczące łańcuchy z niebieskiej stali niezmiennie rozciągały się od końców wskazówek przez centralną oś do kajdan na przegubach Starucha, ale on wyglądał inaczej niż przy okazji poprzedniego spotkania z Arthurem. Nadal przypominał niemal dwuipółmetrowego barbarzyńskiego herosa o okazałych mięśniach, lecz jego niegdyś przezroczysta skóra była teraz opalona, a krótki jeź na głowie zmienił się w piękne, ściągnięte na karku śnieżnobiałe włosy. Staruch nie nosił już przepaski biodrowej, lecz kamizelkę ze skóry oraz szkarłatne obcisłe spodnie z nogawkami sięgającymi tuż poniżej kolan. O ile dawniej przypominał upadłego, gasnącego starca po osiemdziesiątce, czy nawet po dziewięćdziesiątce, teraz wydawał się fantastycznie sprawnym, sześćdziesięcioletnim moczarnym, gotowym stanąć przeciwko młodszym wrogom i bez trudu się z nimi rozprawić.

Olbrzym siedział na krawędzi zegara między godziną trzecią a czwartą, bokiem do Arthura, i powoli obrywał płatki róży. Chłopiec nie widział jego oczu, czy raczej pustych, rozjątrzonych oczodołów – pozostałości po gałkach wyrwanych przez zamieszkałe w zegarze lalki. Wyciągnął szyję, aby sprawdzić położenie wskazówek. Godzinowa znajdowała się na dziewiątce, a minutowa na piątce, więc odetchnął z ulgą. Oczy Starucha miały mnóstwo czasu na to, żeby odrosnąć, a łańcuchy zapewne były dość mocno napięte i utrzymywały go blisko zegara. Najważniejsze jednak było to, że sadystyczne lalki nie miały prawa zjawić się tu przez najbliższych kilka godzin.

Arthur ruszył przed siebie i minął pole niebieskich dzwonków. Gdy podchodził bliżej, zabrzęczały łańcuchy, a Staruch wstał i skierował na niego spojrzenie. Arthur znieruchomiał w odległości kilkunastu metrów od zegara. Cyferblat się skurczył, jednak chłopiec nie wiedział, czy łańcuchy również, więc postanowił zachować ostrożność.

– Witaj, Staruchu! – zawołał.

– Witaj, chłopcze – zagrzmiał Staruch. – Hm, może nie powinienem zwać cię

chłopcem. Masz na imię Arthur, czyż nie?

– Tak.

– Podejdz i usiądz obok mnie. Napijemy się wina, porozmawiamy.

– Obiecujesz, że nie zrobisz mi krzywdy? – zaniepokoił się Arthur.

– Pozostaniesz bezpieczny i nic ci nie będzie groziło, ale tylko w ciągu kwadransa, odmierzonego przez ten zegar – postanowił Staruch. – Jesteś w dostatecznym stopniu śmiertelny, żebym nie rozgniółł cię jak zbłąkanego karalucha albo Rezydenta Domu.

– Dzięki – odparł niepewnie Arthur.

Staruch usiadł z powrotem, złożył łańcuch i zmiotł kolczaste róże obok siebie, żeby zrobić miejsce dla gościa. Arthur przycupnął nieśmiało przy Staruchu.

– Wina – zażądał Staruch i wyciągnął rękę.

Kiedy mały, kamionkowy dzbanek uniósł się nad ziemię, Staruch chwycił go, przycisnął do ust i wypił potężny łyk aromatyzowanego żywicą trunku. Arthur poczuł bardzo silny zapach alkoholu i ponownie zrobiło mu się trochę słabo.

– Ostatnim razem zamówiłeś wino wierszem – przypomniał z wahaniem Staruchowi. Zastanawiał się nad pytaniami, które powinien zadać, ale nie bardzo wiedział, od czego zacząć.

– Potęga mojej woli kształtuje Nicość – oznajmił Staruch. – Prawdą jest, że liczne pomniejsze istoty przy zetknięciu z Nicością muszą ostrzyć myśli mową lub pieśnią. Ja tego nie potrzebuję, ale czasem bawi mnie składanie rymów lub poezji.

– Chciałem zadać ci kilka pytań – wyjaśnił Arthur. – I jeszcze mam ci coś do powiedzenia.

– Pytaj śmiało – zachęcił go Staruch. – Odpowiem, jeśli uznam za stosowne. Co do mówienia... Nie odstępę od obietnicy, nawet jeżeli nie spodoba mi się to, co usłyszę. Cokolwiek powiesz, nadal będziesz mógł bezpiecznie odejść, o ile nie przekroczysz wyznaczonego czasu.

Otarł usta wierzchem dłoni i podał dzban Arthurowi, który pośpiesznie pokręcił głową, więc Staruch ponownie wypił kilka łyków.

– Zapewne wiesz o Architektce więcej niż ktokolwiek – zaczął Arthur. – Dlatego chciałbym cię spytać, co się z nią stało. I czym dokładnie jest Wola, i co zamierza

uczynić. Chodzi o to, że mam być Prawowitym Dziedzicem i w ogóle, więc chyba w ostatecznym rozrachunku przejmę odpowiedzialność za wszystko, czy tego chcę, czy nie. Ale teraz nie jestem tego pewien...

– Dawno temu znałem Architektkę – oznajmił Staruch powoli. Wypił kilka łyków wina, nim ponownie przemówił. – Nie tak dobrze jednak, jak sądziłem, gdyż w przeciwnym razie nie cierpiałbym tutaj tak długo. Nie wiem, co się z nią stało, poza tym, że w części sama zadecydowała o swoim losie. Co do Woli, stanowi ona świadectwo potęgi Architektki i powstała w określonym celu. Skoro jesteś Prawowitym Dziedzicem, proponowałbym ci inne pytanie: Co dokładnie masz odziedziczyć i po kim?

Arthur zmarszczył czoło.

– Nie chcę być Dziedzicem – burknął. – Wolałbym wrócić do dawnego życia i upewnić się, że wszyscy są bezpieczni. Chodzi o to, że nie mogę uporządkować spraw bez używania Kluczy, a wtedy staję się Rezydentem. Scamandros stworzył dla mnie pierścień, który wskazuje, że zostałem w sześciu... nawet więcej niż w sześciu częściach na dziesięć... skażony magią, a ten proces jest nieodwracalny. Zatem na pewno stanę się Rezydentem, prawda?

– Twój organizm zyskuje nieśmiertelną postać, to oczywiste – zauważył Staruch. – Ale nie wszystko z nieśmiertelnego ciała jest Rezydentem. Pamiętaj, Architektka nie stworzyła śmiertelników z Ziemi. Przygotowała nasienie życia i rozsiała je wszędzie. Wy, śmiertelnicy, powstałście z wykreowanej przez nią możliwości, i choć zawsze pragnęła wierzyć, że jesteście jej tworem, rzeczywistość wygląda inaczej. I ty, i inni śmiertelnicy jesteście czymś więcej niż tylko ciałem, które zamieszkujecie.

– Ale czy mogę znowu stać się zwykłym chłopcem?

– Tego nie wiem. – Staruch wysączył resztkę wina z dzbana, po czym cisnął go daleko poza zasięg światła zegara. Z odległej ciemności dobiegł brzęk, co dowodziło, że przynajmniej na razie coś tam jeszcze istniało. – Zasadniczo nie ma powrotu, lecz zmierzając naprzód, możesz częściowo osiągnąć to, czego oczekiwałeś od przeszłości. Jeżeli uda ci się przetrwać, może stać się wszystko. – Staruch zerwał następną różę i nie zważając na kolce, przytrzymał ją pod nosem. – Może nawet otrzymasz kwiaty. Czas mija, Arthurze, zostało ci go bardzo niewiele.

– Mam tyle pytań – westchnął Arthur. – Mógłbyś mi poświęcić jeszcze dziesięć...

Staruch odłożył różę i wbił w chłopca surowe spojrzenie niebieskich oczu, pod którym skuliłby się i zadrzał nawet najwyższy rangą Rezydent.

– Mniejsza z tym. – Arthur przełknął ślinę. – Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli w końcu przejmę całkowitą władzę, dołożę wszelkich starań, abyś odzyskał wolność. To niesprawiedliwe, że torturują cię kukielki.

Staruch zamrugął i ponownie podniósł różę.

– Doceniam twój gest, ale te lalki już nie istnieją. Dom osłabł, a ja nabrałem sił. Kiedy godzinę temu zadrzał zegar i poczułem nadciągającą Nicość, kukielki także ją wyczuły i wyłoniły się przed czasem, aby zapobiec mojej ucieczce czy próbie ratunku. Stoczyłem z nimi walkę, zniszczyłem je i usunąłem. Nadal tkwię w łańcuchach, ale w miarę upadania Domu będę rósł w siłę i z czasem odzyskam wolność, co obiecują mi te kwiaty. Zrywałem płatki, żeby cisnąć nimi we wrogów. Lalki tego nie lubią, wiedzą, że kwiaty są zwiastunem zmiany. Idź, ofiarowuję ci czas, żebyś się im przyjrzał.

Arthur wstał i popatrzył na drugą stronę tarczy zegara, ale nie ruszył się z miejsca. Nie chciał podchodzić do drzwi po obu stronach środkowej osi zegara.

– No idź!

Arthur zrobił kilka kroków.

– Szybciej! – popędził go Staruch.

Oba wejścia były roztrzaskane, a resztki połamanego na drzazgi drewna zwisały z grubych, żelaznych zawiasów. W środku coś zaszeleściło. Arthur ostrożnie zbliżył twarz do otworu i zobaczył, że w głębokiej, wąskiej komorze piętrzy się sterta płatków róż. Znajdował się tam również kukielkowy drwal w zielonej czapce, ze zgiętym w połowie piórem. Kończyny miał połamane i mógł tylko wić się na płatkach, zgrzytać zębami oraz syczeć.

Arthur nerwowo wycofał się na krawędź cyferblatu, niemal zderzając się ze Staruchem.

– Mam nadzieję... mam nadzieję, że nie zostaniemy wrogami – wykrztusił.

Staruch pochylił głowę, ale nie powiedział ani słowa. Arthur zeskoczył z tarczy zegara i pośpiesznie odszedł, a w jego głowie kłębiły się różne myśli; fakty i podejrzenia wywoływały wiele obaw. Wcześniej miał nadzieję, że Staruch pomoże mu zrozumieć sytuację, lecz teraz miał wrażenie, że on wszystko skomplikował.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Lordzie Arthurze, witam cię z niewypowiedzianą ulgą! – zawołał Scamandros na widok pośpiesznie I powracającego chłopca. – Tuszę, że Staruch udzielił L odpowiedzi na twoje pytania.

– Niezupełnie – odparł Arthur. – Właściwie nie powiedział nic konkretnego. Czy Nicość nadal się przybliża?

Scamandros w milczeniu zarzucił wędkę z przynętą w postaci podobnego do homara skorupiaka o długości dziesięciu, może dwunastu centymetrów. Zwierzę zniknęło w ciemnościach, a Scamandros po chwili nawinął sznurek, jednocześnie zliczając znaki na jego plecionej powierzchni. Istota z końca wędki znikła.

– Sześć... siedem... osiem. Zwiększa się tempo napływu Nicości, lordzie Arthurze.

– Gdzie się znajdowała Pierwsza Dama, kiedy ostatni raz się kontaktowaliście? I jeszcze Suzy?

– Obie przebywały w Cytadeli – wyjaśnił Scamandros. – To miejsce stało się kwaterą główną twoich sił zbrojnych w całym Domu, lordzie Arthurze.

– Możemy mieć trudności z dostaniem się tam – westchnął Arthur. – Chodzi o to, że muszę skorzystać z Piątego Klucza, a przecież Cytadela została zabezpieczona przed Panią Piątek. Chyba że moglibyśmy skorzystać z Niebywałych Schodów... – Scamandros zaczął kręcić głową, a Arthur natychmiast przypomniał sobie w czym rzecz. – Oczywiście, przecież nie możesz chodzić po Schodach. No tak... W kwaterze Księcia Czwartka... czyli w mojej... znajdowało się lustro. Chyba mogę spróbować tej drogi, a jeśli się nie uda, wyszukam inne miejsce, w Środkowym Domu albo gdziekolwiek, skąd można dalej pojechać windą.

Wyciągnął Piąty Klucz i przez moment trzymał go przed sobą, po czym opuścił rękę.

– Hm, a jeśli uda mi się otworzyć drzwi, to jak zabiorę cię ze sobą?

Doktor Scamandros uniósł dłoń i poruszył palcami.

– Jeżeli pozwolisz mi chwycić się swoich pól, zostanę przeniesiony razem z tobą,

lordzie Arthurze.

– Więc chwyć mnie mocno – zdecydował Arthur. – Próbujemy.

Zerknął do zwierciadła, usiłując przypomnieć sobie, jak wyglądała jego kwatery w Cytadeli Czwartka. Oczywiście wyobraźni ujrzał łożo z czterema słupami, ozdobionymi płaskorzeźbami scen bitewnych, do tego garderobę, krzesło, na którym go ogolono, i, rzecz jasna, wysokie, ustawione w rogu lustro w ramie z brązu. Gdyby pomyślał o nim jak o oknie, wówczas spoglądając przez nie, zobaczyłby łożo, drzwi, obraz na ścianie...

Powoli zaczął dostrzegać pokój. Widok ten był niewyraźny i rozmyty i Arthur szybko się domyślił, że lustro w brązowej ramie częściowo zasłonięto jakąś tkaniną. Na szczęście widział dostatecznie duży fragment pomieszczenia, żeby Klucz otworzył w nim drzwi.

– Piąty Kluczu, zabierz mnie... nas... do mojego pokoju w Cytadeli na terenie Wielkiego Labiryntu!

Tym razem nie było łatwo przejść przez drzwi z białego światła, a transfer nie przebiegł natychmiastowo. Arthur czuł, że powstrzymuje go nie tylko pasażer uczeplony jego pół, lecz również siła, napierająca na niego i próbująca odrzucić go z powrotem. Przeciwwstawił się jej ciałem i duszą, ale czuł się tak, jakby szedł pod bardzo silny wiatr. Nagle, w jednej chwili, opór znikł i Arthur wpadł do pokoju w Cytadeli, a doktor Scamandros potknął się o jego nogi. Obaj runęli na podłogę, Arthur zaś przy okazji rąbnął głową w płaskorzeźbę na lewym słupie łoża.

– Au! – wrzasnął i pomacał się po głowie. Nie wyczuł krwi. Po chwili przenikliwy ból osłabł, teraz był tylko nieprzyjemny.

– Najmocniej przepraszam, lordzie Arthurze – odezwał się doktor Scamandros i wstał. – Straszna ze mnie niezdara. Co za fascynujące przeżycie, zupełnie odmienne od tego, co się czuje na podróży na talerzu. Jestem ci nieopisanie wdzięczny za wyzwolenie mnie z Głębokiej Piwnicy Węglowej.

Arthur chwycił za słup łoża i dźwignął się z podłogi, a rękawy jego płaszcza podjechały do góry. Obciągnął je i wtedy po raz pierwszy zauważył, że kończą się znacznie powyżej nadgarstków. Także spodnie miał niedorzecznie krótkie, wystawały mu spod nich kostki.

– Lepiej się przebiorę – zdecydował i ruszył do garderoby, ale się zawahał.



Podszedł do drzwi, otworzył je gwałtownie i wrzasnął: – Straż!

Do pokoju wbiegł spłoszony Rezydent w stopniu sierżanta, ubrany w mundur Hordy. Stał na baczność, nieco roztrzęsiony, a jego piorunujący talwar rozbłysnął podczas prezentowania broni. Arthur usłyszał dobiegający z głębi korytarza łomot co najmniej tuzina butów i domyślił się, że to większa liczba żołnierzy nagle stanęła na baczność.

– Lordzie Arthurze! Straż obecna!

Arthur zdążył już wejść do garderoby. Tam ściągnął papierowe ubranie i pośpiesznie wkładał najprostszy mundur, jaki udało mu się znaleźć, czyli piaskowej barwy tunikę zdobioną plecionym sznurem na ramionach i jasnożółte skórzane bryczesy ze złotą lamówką do kompletu. Jedno i drugie było nieporównanie bardziej miękkie i wygodne niż najlepszy mundur szeregowego Granicznika. Po chwili ubranie samoczynnie dopasowało się do nowego wzrostu i muskulatury Arthura.

– Dziękuję! – zawołał Arthur do sierżanta. – Za chwilę zejdziemy do pokoju dowodzenia. Czy jest tutaj Pierwsza Dama? I Suzy Turkusowy Błękit?

– Pierwsza Dama znajduje się w pokoju dowodzenia! – zagrzmiał sierżant. Najwyraźniej jego zdaniem Arthur był głuchy jak pień albo znajdował się bardzo daleko. – Generał Turkusowy Błękit przebywa gdzieś na terenie Cytadeli.

– Generał Turkusowy Błękit? – powtórzył Arthur. – Nie pasowałem Suzy na generała, prawda? Pamiętam, że o tym mówiła, ale nie przypominam sobie, bym...

– Zapewne wystarczyło, że włożyła mundur – zauważył doktor Scamandros. – Nikt nie zakwestionowałby jej słów.

– To w jej stylu – zgodził się Arthur. – Idę o zakład, że zrobiła to, bo chciała dostać lepszy gatunek herbaty albo coś w tym rodzaju. Zresztą może po prostu miała ochotę wkurzyć Pierwszą Damę.

Podniósł parę opancerzonych sandałów, przyjrzał się im, odłożył je na półkę i wybrał skromne, błyszczące czarne buty.

– Dobrze, że pan wrócił, sir – odezwał się sierżant, kiedy Arthur wychodził z garderoby.

– Dziękuję raz jeszcze, sierzancie – odparł chłopiec. – Przejdźmy do pokoju dowodzenia, muszę wiedzieć dokładnie, jaka jest sytuacja.

Na korytarzu stało co najmniej dwudziestu strażników. Otoczyli Arthura, gdy tylko minął próg, i pomaszerowali z nim do pokoju dowodzenia. Arthur poprosił dowódcę straży, żeby wysłał posłańca na poszukiwanie Suzy.

Podczas kilku dni nieobecności Arthura, liczonych według czasu Domu, pokój dowodzenia wyraźnie się rozrósł. Nadal mieścił się w dużej, zwieńczonej kopułą komnacie, lecz ściany zostały przesunięte, co dwukrotnie powiększyło jego rozmiary, i wielkością przypominał teraz salę gimnastyczną. Kręciło się po nim mnóstwo żołnierzy w rozmaitych mundurach Regimentu, Hordy, Legionu, Umiarkowanie Czcigodnej Kompanii Artylerii oraz Graniczników. Poza wojskiem w pokoju dowodzenia przebywali liczni cywilni Rezydenci, często bez surdutów, tylko w samych białych koszulach z zielonymi narękawkami do łokci, włożonymi dla ochrony przed atramentem.

Oprócz stołu z mapą na środku, znacznie dłuższego i szerszego niż dawniej, w sali znajdowały się liczne rzędy wąskich, niemal szkolnych ławek dla cywilów, którzy bez wyjątku rozmawiali przez staroświeckie telefony i zapisywali wiadomości. Co kilka sekund jeden z nich odsuwał krzesło i gnał przez cały pokój z kartką, żeby ją przekazać marszałkom jutrzence, Południkowi albo Zmierzchnikowi. Przy stole, nad nimi wszystkimi górowała Pierwsza Dama, z uwagą obserwując nanoszone na mapę zmiany oraz wsłuchując się w meldunki Rezydentów, często trąkających po kilku naraz.

Pierwsza Dama była jeszcze wyższa niż zwykle, od stóp do czubka głowy liczyła sobie około dwóch i pół metra. Nosiła pancerną kolczugę ze złotych łusek, które brzęczały przy każdym ruchu. Strój ten sprawiał wrażenie wyjątkowo niewygodnego, a w dodatku stanowił zagrożenie dla innych, gdyż zdobiły go kolczaste naramienniki, przypominające chwytne szpony. Choć zdawały się one zaciśnięte na ramionach Pierwszej Damy, były dodatkowo wyposażone w szpikulce i kołnierze, które groźnie sterczały na wszystkie strony.

Drugi Klucz w formie rękawic Pierwsza Dama wsunęła za szeroki, skórzany pas, obok sprzączki. Pierwszy Klucz w kształcie miecza przypominającego wskazówkę zegara zwisał w pochwie przy lewym biodrze Damy. Mały trójząb – Trzeci Klucz – tkwił w kaburze na jej prawym biodrze, a w dłoni Dama dzierżyła buławę marszałkowską, czyli Czwarty Klucz, którym od czasu do czasu wymachiwała.

Po ogłoszeniu przybycia Arthura ustała kakofonia wykrzykiwanych wiadomości,

dzwoniących telefonów, szurających krzeseł i stukających butów o podkutych lub skórzanych podeszwach. Po chwili hałas wybuchł ze zdwojoną siłą, kiedy wszyscy w pokoju zerwali się z miejsc albo odepchnęli od ściany, odwrócili do drzwi i stanęli na baczność.

– Spocznij! – zawołał Arthur natychmiast. – Do zajęć!

Cisza trwała równo sekundę, a następnie pokój ponownie eksplodował. Głośniczki telefonów zaterkotały na stojakach w kształcie świeczników, gdy rozległy się dzwonki, tak stare, że ich dźwięk przypominał bardziej grzechotanie niż dzwonienie. Posłańcy się rozbiegli, a oficerowie podjęli przerwane rozmowy.

Posłańcom nie udało się jednak doręczyć Pierwszej Damie pośpiesznie nagryzmołonych wiadomości, bo ich adresatka uniosła rękę i odprawiła Rezydentów. Sama ruszyła w kierunku Arthura, żeby go powitać wraz z marszałkami Jutrzenką, Południkiem i Zmierchnikiem.

– Lordzie Arthurze, przybywasz w samą porę. Mniemam, że nie przyjmujesz już podarunków od obcych?

Arthur dopiero po sekundzie zorientował się, że Pierwsza Dama nawiązuje do przesyłki, którą kiedyś otrzymał od Emeleny, służącej Pani Piątek. W kopercie znajdował się Podróżny Talerz i w wyniku jego natychmiastowej aktywacji Arthur przeniósł się do Środkowego Domu. Zapomniał, że od tamtej pory nie widział się z Pierwszą Damą, a w każdym razie nie z nią całą. Odnalazł Piąty Fragment, który nawet polubił, i liczył na to, że nowa część polepszy nieco charakter Woli, dodając jej odrobinę niezwykle potrzebnego zdrowego rozsądku. Piąty Fragment został wchłonięty, czego dowodziły delikatne, półprzezroczyste, szare skrzydła na plecach Woli. Arthur początkowo sądził, że to krótka peleryna, lecz teraz dostrzegł, że skrzydła są uderzająco podobne do tych, które miała bestia-nietoperz, czająca się w Wewnętrznym Mroku Środkowego Domu.

– Następnym razem nie dam się nabrać – zapowiedział. – Teraz muszę wiedzieć, co się dzieje. Czy Niższy Dom faktycznie uległ zniszczeniu?

– Nie licząc Głębokiej Piwnicy Węglowej, Niższy Dom przepadł z kretesem – potwierdziła Pierwsza Dama. – Podobny los spotkał Odległe Rubieże. Nicóż nie przestaje nacierać na nasze umocnienia i tylko Klucze mogą wzmocnić tkanę Domu. Poza tym jesteśmy zagrożeni na zbyt wielu frontach, żebyśmy samodzielnie uporała się z

niebezpieczeństwem. Powinieneś zabrać Piąty Klucz do Środkowego Domu i wzmocnić tamtejsze fortyfikacje, ja zaś w tym czasie udam się w góry Graniczne i zbuduję...

– Zaraz, zaraz – przerwał jej Arthur. – Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, jak do tego doszło. Gdzie się podziewa armia Szczurołapa? Nadal walczymy tutaj z Neoniconiami?

– Doprawdy, lordzie Arthurze, nie mamy chwili do stracenia – upomniała go Pierwsza Dama. – Armia Szczurołapa się wycofała i obecnie nie należy zwracać sobie nią głowy. Podmywanie fundamentów Domu jest nieporównanie istotniejsze i tylko my możemy coś z tym zrobić...

– A co z Dostojną Sobotą? – spytał. – Co zamierza? Dlaczego chce upadku Domu i co w związku z tym z nią zrobimy? Nigdzie nie pójde, dopóki ty albo ktoś inny nie odpowie mi na wszystkie pytania!

Pierwsza Dama spojrzała na niego z góry. Choć urósł, nadal była od niego znacznie wyższa. Zmrużyła oczy i z niezadowoleniem zacisnęła usta, Arthur zaś czuł, że jakaś wewnętrzna siła nakazuje mu się cofnąć, nawet uklęknąć z podziwu i lęku przed jej surową pięknoscą oraz ogromną potęgą. Przemógł się jednak, zrobił krok naprzód i spojrzał prosto w jej niezwykle oczy, których różowe tęczęwki otaczały nieprzeniknioną czerń źrenic. W każdym calu była wcieleniem Woli Architektki. Arthur wiedział, że jeśli teraz ustąpi, całkowicie zaprzepaści szansę na samodzielne podejmowanie decyzji w przyszłości.

– Jestem Prawowitym Dziedzicem – oznajmił. – Chcę dokładnie poznać całą sytuację, a potem zadecyduję, co zrobimy.

Pierwsza Dama wytrzymała jego spojrzenie przez sekundę, po czym schyliła głowę.

– Jak sobie życzysz, lordzie Arthurze – powiedziała. – Wedle rozkazu.

– Zacznijmy od początku. Co właściwie się stało z Niższym Domem? Czy Nicość wdarła się przez Odległe Rubieże? – spytał Arthur.

– Pokażę ci to oczami kogoś, kto tam był. – Pierwsza Dama skinęła buławą i wszystkie lampy w pokoju nagle przygasły. – Panie Drobni, mniemam, że nadal ma pan ocaleńca?

Rezydent po drugiej stronie pokoju, ubrany w ciemny płaszcz, czarny fular i

haftowaną srebrną myckę potwierdził i podszedł do Pierwszej Damy. W ręce trzymał dużą, sfatygowaną walizkę ze skóry, zapiętą na trzy paski.

– Operator windy właśnie zamykał drzwi, gdy do tego doszło – wyjaśniła Pierwsza Dama Arthurowi. – Prawie udało mu się uciec z Odległych Rubieży, lecz w ostatniej chwili Nicość go dopadła. Chwycił się zębami lampy na suficie windy i tylko dlatego dotarła tutaj jego głowa oraz szczątki kabiny. Szczęśliwym trafem pan Drobница zjawił się w samą porę i zapobiegł ostatecznej dezintegracji.

Rzeczony pan Drobница, którego Arthur nigdy wcześniej nie widział, postawił walizkę na podłodze, rozpiął paski i uchylił wieko. Walizka pełna była płatków róż, wśród których spoczywała głowa, od skroni do brody przewiązana czystymi bandażami. Wyglądało to tak, jakby jej właściciel w staroświecki sposób usiłował leczyć bolący ząb. Głowa miała zamknięte oczy.

Pan Drobница podniósł ją za uszy i oparł o otwarte wieko, żeby była zwrócona twarzą do Arthura i Pierwszej Damy. Potem wyjął z kieszeni mały kałamarz z aktywnym atramentem, zanurzył w nim gęsie pióro i niewiarygodnie drobnymi literami napisał coś na czole nieszczęśnika.

– Obudź się, Marson! – rozkazał pogodnie.

Arthur wzdrygnął się, gdy głowa uniosła powieki. Doktor Scamandros, który stał tuż za chłopcem, wymamrotał pod nosem coś, co nie zabrzmiało specjalnie życzliwie.

– Co jest? – burknęła głowa Marsona. – Ciężko jest hodować nowe ciało. Poza tym to boli! Nie wolno mi przerywać odpoczynku.

– Zaraz będziesz miał mnóstwo wolnego czasu – zapewnił go pan Drobница. – Musimy tylko jeszcze raz zerknąć na to, co się zdarzyło tam w dole, nieopodal tamy.

– Czy to konieczne? – stęknął Marson. Jego usta zadrżały, a w kącikach oczu zebrały się łzy. – Zwyczajnie brakuje mi siły, żeby znowu to przeżywać... ten ból, kiedy Nicość pożerała mi kończyny...

– To jest całkowicie zbędne! – zaprotestował doktor Scamandros. Przepchnął się między gromadką zaciekawionych oficerów i stanął u boku Arthura. Tatuaze na jego twarzy wyobrażały pomalowanych dzikusów tańczących wokół ogniska. Pośród nich stał szaman w absurdalnym, pierzastym nakryciu głowy. – Biedaczysko nie musi na nowo przeżywać tego, co się niedawno stało, skoro chcemy tylko obejrzeć te zdarzenia.

Ponadto zauważyłem, że do zakonserwowania głowy zastosował pan całkowicie zdyskredytowane zaklęcie. Chcę prosić o przekazanie tego nieszczęśnika pod opiekę komuś, kto zna się na rzeczy!

– Pan Drobnica jest stosownie przeszkolony – zauważyła Pierwsza Dama bez mrugnienia okiem. Nawet nie spojrzała na Scamandrosa, gdyż ani na moment nie oderwała wzroku od Arthura. – Jako Główny Śledczy Księcia Czwartka Drobnica przeprowadził wiele wyświetleń z umysłów Rezydentów. Dobrze wiesz, Arthurze, że Rezydenci nie odczuwają zbyt silnego bólu. Marson otrzyma sowite wynagrodzenie, kiedy wyrośnie mu nowe ciało.

– Sądziłem, że doktor Scamandros był jedynym czarnoksiężnikiem, który nie pozostawał na służbie Soboty – oświadczył Arthur.

– Pan Drobnica nie jest czarnoksiężnikiem w pełnym znaczeniu tego słowa – sprecyzowała Pierwsza Dama. – To prawda, że praktykuje magię Domu, lecz pole jego specjalizacji jest dość wąskie.

– Kanciarz – syknął Scamandros cicho.

– Pyszałek – burknął Drobnica znacznie głośniejszym głosem.

Arthur się zawahał. Chciał zobaczyć to, co widział Marson, ale pragnął oszczędzić cierpień rozczłonkowanemu biedakowi.

– Doktorze Scamandros, czy potrafisz pokazać nam to, co chcemy ujrzeć, ale bez robienia mu krzywdy?

– Jak najbardziej, lordzie Arthurze – potwierdził Scamandros i wypiął pierś.

– Drobnica to specjalista – wtrąciła się Pierwsza Dama. – Byłoby znacznie lepiej, gdybyśmy pozwolili mu...

– Nie – przerwał jej Arthur. – Scamandros się tym zajmie. To wszystko, dziękujemy, panie Drobnica.

Drobnica spojrział na Pierwszą Damę. Arthur nie zauważył, żeby się poruszyła czy dała jakikolwiek znak, lecz Rezydent w myccie uklonił się i wycofał.

Scamandros ukląkł przy walizce i czerwoną aksamitną szmatką starł z głowy Marsona bazgroły Drobnicy. Następnie wyjął własny kałamarz z aktywnym atramentem oraz pawie pióro i napisał coś innego.

– Proszę się odsunąć – polecił kilku oficerom. – Wizja pojawi się w miejscu, w

którym panowie stoją. Chyba nic cię nie boli, Marson?

– Nic a nic – padła odpowiedź. – Trochę tylko swędzi mnie stopa, której nie mam.

– Doskonale – oświadczył doktor Scamandros. – Otwórz oczy trochę szerzej... jeszcze odrobinę... świetnie. Nie zamykaj ich... Teraz podeprę powieki zapalkami i zaczynamy.

Cofnął się i wypowiedział jakieś słowo, a wtedy Arthur niemal zobaczył litery. Po chwili zadrżało powietrze przy ustach mówiącego Scamandrosa. Potęga zaklęcia sprawiła, że chłopiec poczuł mrowienie w stawach. Uświadomił sobie, że dawniej w takiej sytuacji doświadczyłby bólu. Teraz jego organizm był przyzwyczajony do magii i przepływów mocy.

W oczach Marsona zabłyśły dwa maleńkie punkty, z których wystrzeliły dwa mocne, rozszerzające się snopy jasności. Promienie po chwili nabrały kolorów i roztańczyły się szaleńczo, zupełnie jakby nawiedzony, obłąkany artysta malował strumieniami światła.

Przy stole pojawił się panoramiczny obraz wyemitowany z otwartych oczu Marsona. Miał szerokość około czterech metrów, wysokość prawie trzech i przedstawiał część dna Studni w Odległych Rubieżach, wielkiej i głębokiej dziury, wykopanej przez Ponurego Wtorka w celu intensywnego wydobycia Nicości. Twórca Studni nie zważał na niebezpieczeństwa związane z eksploatacją i nie przejmował się znacznym osłabieniem fundamentów Domu.

Arthur pochylił się i skupił na wyświetlanym obrazie. Choć miał tylko oglądać niedawne zdarzenia, był spięty lak, jakby znalazł się w ich centrum...

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wspomnienia są zatarte – zauważyła Pierwsza Dama. – Trzeba było skorzystać z pomocy Drobnicy.

– To tylko kwestia ostrości, jaśnie pani – odezwał się Scamandros. Gdy się pochylił, żeby poprawić ułożenie powiek Marsona, cienie jego palców poruszyły się na obrazie niczym wysokie, ciemne, spacerujące drzewa. – I już, gotowe.

Obraz stał się ostry, pojawił się także dźwięk. Zebrani ujrzeli to, co widział Marson, kiedy z palcem na przycisku z brązu wyglądał przez drzwi windy w jednym z wyższych poziomów Domu. Wokół kabiny rozpościerała się zasypana gruzem równina, tu i ówdzie rozświetlona blaskiem olejnych lamp pozawieszanych na żelaznych słupach. W odległości około pięćdziesięciu metrów grupa Rezydentów zebrała się u podnóża wielkiego muru. Z ogromnej, jasnoszarej betonowej konstrukcji w równych odstępach sterczały pręty ze lśniącego żelaza.

– Przecież to ja naprawiałem ten fragment! – zawołał Arthur. – Sam go wypełniłem betonem z Niematerialną Mocą.

Rezydenci patrzyli na coś z uwagą. Nagle wszyscy się cofnęli, a jedna z obecnych osób odwróciła się do kogoś niewidocznego na obrazie:

– Jaśnie panie! – krzyknęła. – Tutaj jest jakaś dziwna wiertarka! Zupełnie sama boruje dziurę! Ona...

Gwałtownie urwała, gdy z podstawy muru nagle cicho wytrysnęła mgiełka Nicości. Wszyscy Rezydenci padli jak rażeni gromem i rozpuścili się w mgnieniu oka. Z otworu buchnął strumień Nicości, rozległ się upiorny grzmot walących się głazów, na murze pojawiły się pęknięcia, od podstawy do samego szczytu. W rozpadlinach zabulgotała czarna Nicość.

Natarczywie zadźwięczał dzwonek, a gwizd pary zabrzmiał jak rozpaczliwy wrzask.

Marson dźgnął palcem guzik. Drzwi zaczęły się zamykać, ale w stronę windy pędziła już fala Nicości. Zebrani usłyszeli krzyk Marsona, głośny i obcy, dobiegający z jego uszu.



– Nie, nie, nie!

Przyciskał guziki jeden po drugim, aż w końcu drzwi się zamknęły, a winda wystrzeliła do góry. Marson wepchnął dłoń do kieszeni płaszcza i wyciągnął kluczyk, którym nerwowo otworzył skrytkę pod tablicą kontrolną. Wewnątrz znajdowała się czerwona dźwignia z napisem PRZEJAZD AWARYJNY. Marson pociągnął ją, zrywając jedwabną nić i woskową pieczęć, a wtedy winda nabrała prędkości tak gwałtownie, że padł na kolana. Awaryjne tempo nie wystarczyło – podłoga windy nagle pokryła się dziurami, niczym szwajcarski ser, i przeniknęły przez nie żarłoczne plamy Nicości. Marson podskoczył, chwycił się żyrandola u sufitu i podciągnął, podczas gdy dolna część windy znikła w oczach. Rezydent wrzeszczał i ryczał, spoglądając na swoje ciało i nogi, które właśnie przestały istnieć...

– Dość – zakomenderował Arthur. – Widzieliśmy dostatecznie dużo.

Scamandros strzelił palcami i światło z oczu Marsona przygasło. Gdy czarnoksiężnik się pochylał i usunął zapalki, pozbawiona ciała głowa przemówiła:

– Nie było tak źle.

– Dziękuję, Marson. – Arthur popatrzył wymownie na Pierwszą Damę. – Jestem pewien, że otrzymasz dobrą opiekę.

– Jak widzisz, Arthurze – zaczęła Pierwsza Dama – do uszkodzenia muru tamy wykorzystano narzędzie dywersyjne o dużej mocy. Najprawdopodobniej jednocześnie użyto wielu innych przyrządów tego typu, gdyż tama runęła w jednej chwili na niemal całej długości. To doprowadziło do wdarcia się niewyobrażalnej masy Nicości, która w cztery do pięciu minut nieodwracalnie pochłonęła Odległe Rubieże. Na szczęście umocnienia między Odległymi Rubieżami a Niższym Domem wytrzymały kilka godzin, co pozwoliło na ewakuację ważnych dokumentów oraz przedmiotów, a także znacznej liczby Rezydentów. Wkrótce jednak nastąpiła kompletna dezintegracja Niższego Domu, ostatnie jego rejony uległy godzinę temu. Nicość napiera teraz bezpośrednio na niższe fortyfikacje Środkowego Domu. Kiedy armia Szczurołapa się wycofała, postanowił on osłonić ucieczkę wybuchem Nicości, która osłabiła Góry Barrierowe tutaj, w Wielkim Labiryncie. Być może ta sprawa nie jest związana z poprzednią, ale tego nie wiemy. Poza tym Nicość przenika do Morza Granicznego i właśnie dlatego oboje powinniśmy interweniować. Musimy bezwzględnie skorzystać z mocy Kluczy, żeby opóźnić zagładę

Domu.

– Opóźnić? – zdumiał się Arthur. – Nie możemy jej zapobiec?

– Wątpię. Musimy możliwie długo odpiąć Otchłań, żebyś zdążył odzyskać ostatnie dwa Klucze. Potem będzie można zaprowadzić należyty porządek.

– Chcesz powiedzieć, że nie ma znaczenia, co zrobimy, bo Dom i cały Wszechświat wokół są skazane na zagładę? – Arthur osłupiał. – Koniec świata jest tylko kwestią czasu?

– Tego nie powiedziałam, lordzie Arthurze. – Pierwsza Dama odwróciła wzrok, jakby coś ją zastanowiło. – Źle mnie zrozumiałeś. Kiedy doprowadzimy do ustabilizowania sytuacji w Domu, wówczas zdobędziesz Klucze, a potem będziemy mogli ocenić skalę zniszczeń i przekonać się, co trzeba zrobić.

– Ale przecież myślałem, że powiedziałaś...

– Źle mnie zrozumiałeś – powtórzyła Pierwsza Dama bez zająknięcia, ponownie odwróciła się do Arthura i spojrzała mu w oczy. To sprawiło, że jeszcze bardziej niż zwykle poczuł się jak małe zwierzątko, zahipnotyzowane światłem reflektorów nadjeżdżającej ciężarówki. Mimo to nie odwrócił wzroku. – Powiedz, gdzie zamierzasz przystąpić do pracy? Tutaj, w górach, czy też w Środkowym Domu?

– Ani tu, ani tam – odparł. – Ktoś musiał uruchomić te wiertarki i wszystko wskazuje na to, że była to Dostojna Sobota, prawda? Ewentualnie Lord Niedziela, pewnie we współpracy z nią, choć skrawek papieru, który miał przy sobie biedny stary Ugham, sugerowałby co innego.

– Jaki znów skrawek papieru? – spytała Pierwsza Dama podejrzliwie.

– Ten podpisany literą „S” i informujący, że „nie chcę interweniować”, czy też „ingerować”, wszystko jedno. Chyba został w moim starym płaszczu.

– W podpisie znajduje się tylko „S”? To znak Lorda Niedzieli, który zwie siebie Siódmym Dniem. Dostojna Sobota, jak sama o sobie mówi, nie jest aż tak skromna, żeby podpisać się jedną literą.

– Zgoda, to by świadczyło o tym, że Niedziela nie ma z tym nic wspólnego, przynajmniej jak dotąd – stwierdził Arthur. – Musimy dopilnować, żeby Sobota nic już nie zrobiła. Chodzi o to, że faktycznie powinniśmy wzmacniać obronę, ale przecież Sobota może osłabiać Dom w zupełnie innym miejscu.

Troje marszałków z aprobatą pokiwało głowami. W ich opinii atak był najlepszą metodą obrony.

– Przyznaję, że z Sobotą należy się rozprawić – zgodziła się Pierwsza Dama. – Niemniej naszym priorytetem musi być wzmocnienie Domu! Ponieważ nie mogę przebywać w dwóch miejscach jednocześnie, masz obowiązek wykonać część pracy. Najpierw zabezpieczymy to, co nam zostało z Domu, a następnie porozmawiamy o uwolnieniu Szóstego Fragmentu mnie i o stawieniu czoła Sobocie. Nie wcześniej!

– Nie możesz przebywać w dwóch miejscach jednocześnie... – mruknął zamyślony Arthur.

– Słucham? – Pierwsza Dama się pochyliła, jakby chciała lepiej go słyszeć.

– Nie możesz przebywać w dwóch miejscach jednocześnie – powtórzył głośno. – Łącznie mamy pięć Kluczy, a niegdyś byłaś pięcioma niezależnymi istotami. Czy istnieje możliwość, żebyś podzieliła się na dwie części?

Pierwsza Dama spochmurniała.

– Mam na myśli ciebie w dwóch postaciach, złożonych w jednakowej mierze ze wszystkich fragmentów Woli – dodał Arthur pośpiesznie. Większość z nich uważał za ostro nieźrównoważone, a niektóre za wręcz niebezpieczne, jak choćby Czwarty Fragment, podstępny i łatwo ferujący wyroki. Jego samodzielne działania mogły stwarzać zagrożenie.

– To... jest... możliwe – wycodziła Pierwsza Dama. – Ale na pewno nie zalecane. Znacznie lepiej byłoby...

– I potem możesz znowu połączyć się w całość? – Arthur ani myślał rezygnować ze swojego pomysłu.

Pierwsza Dama sztywno skinęła głową.

– Wobec tego rozdwoj się. Niech każda twoja część weźmie po dwa Klucze i załatwi sprawy, które wymagają załatwienia – polecił jej. – Zaraz, przecież mogłabyś się podzielić na cztery fragmenty i zabrać po jednym Kluczu...

– Nie podzielę się na tyle fragmentów – zapowiedziała Pierwsza Dama z wściekłością. – Robiąc to, tylko ułatwiłabym zadanie Sobocie, czy choćby Szczurołapowi, bo wówczas mogliby z łatwością mnie pokonać i odebrać mi Klucze...

– Zgoda, więc tylko się rozdwoj – zdecydował Arthur. – Pierwsza i Druga

Dama, tak?

– Pierwsza Bis – wyszeptał Scamandros.

– To nie jest dobry pomysł, Arthurze – sprzeciwiła się Pierwsza Dama. – Skrajną głupotą jest osłabianie mojej mocy o połowę. Jeśli uważasz, że to pozwoli ci powrócić do twojego Pośledniego Królestwa, to znaczy że nie wziąłeś pod uwagę faktu własnej transformacji oraz wpływu, który wyrzesh...

– Nie wracam do domu – przerwał jej Arthur chłodno. – Przynajmniej nie na razie. Jak powiedziałem, musimy się uporać z Dostojną Sobotą, co oznacza, że przede wszystkim stoimy przed koniecznością uwolnienia Szóstego Fragmentu Woli. Wiesz, gdzie on jest? Przecież potrafisz wyczuć pozostałe fragmenty.

Pierwsza Dama się wyprostowała.

– Szósty Fragment mnie znajduje się z pewnością w Wyższym Domu. Nie wiem, gdzie dokładnie, i nie mam możliwości zdobycia tej informacji. Wyższy Dom został dla nas zamknięty mocą magii. Nie dojeżdżają tam windy, nie ma mowy o połączeniach telefonicznych, Frontowe Drzwi pozostają szczelnie zamknięte. Powtarzam więc: nawet gdyby w naszym najlepiej pojętym interesie było to, żebyś się tam udał, to nie ma takiej możliwości. Powinieneś więc udzielić mi pomocy i nie wysuwać głupich, czy też raczej naiwnych sugestii, żebym się podzieliła.

– Naprawdę nie ma żadnego sposobu? – powątpiewał Arthur. – A co z Niebywałymi... Nie, musiałbym tam wcześniej być. To samo się tyczy Piątego Klucza.

– Tak jak powiedziałam: nie ma takiej możliwości – upierała się Pierwsza Dama. – Co ponownie dowodzi, że wiem lepiej od ciebie, Arthurze. Nie zapominaj, że choć jesteś Prawowitym Dziedzicem, to jeszcze nie tak dawno temu byłeś tylko śmiertelnym chłopcem i nikt nie oczekuje od ciebie wiedzy, należytej...

Arthur nie zwracał na nią uwagi, gdyż w jego głowie powstawał nowy plan.

– Być może istnieje pewien sposób – oświadczył. – Muszę iść, żeby to sprawdzić.

– Co takiego? – zirytowała się Pierwsza Dama. – Jaki znowu sposób? Nawet gdybyś potrafił przedostać się do Wyższego Domu, napotkałbyś tam tysiące, może nawet dziesiątki tysięcy czarnoksiężników na usługach Soboty. Jeśli zgodnie stawia ci czoło, wówczas bez trudu cię pokonają, wezmą do niewoli...

– Nie zamierzam szturmować Wyższego Domu – przerwał Arthur, coraz bardziej

zmęczony zastrzeżeniami Pierwszej Damy – Jeśli uda mi się dostać tam w sposób, który przyszedł mi do głowy, akcja będzie bardzo dyskretna. Zresztą, nie traćmy czasu. Pierwsza Damo, musisz się rozdzielić i brać do roboty. Ja się wybieram nad Morze Graniczne.

– Zbędny pośpiech! – zaprotestowała Pierwsza Dama. – Czego zamierzasz szukać nad Morzem Granicznym?

– Szczurów w Wyproście.

Pierwsza Dama wstrzymała oddech z oburzenia i zmarszczyła czoło tak mocno, że jej brwi niemal zetknęły się nad nosem.

– Szczury w Wyproście to agenci Szczurołapa! Nie wolno im ufać, podobnie jak dzieciom Szczurołapa. Trzeba je wytropić i wybić do nogi!

– Starej Damuli znowu się pokręciło pod beretem – mruknął ktoś za plecami Arthura.

Chłopiec natychmiast się odwrócił i uśmiechnął na widok przyjaciółki Suzy Turkusowy Błękit, która zwinnie wśliznęła się między dwóch Rezydentów i stanęła obok niego.

– Suzy! Co ty masz na sobie!?

– Mundur – odparła Suzy. Uchyliwszy sfatygowanego cylindra, ukłoniła się uprzejmie. Na jej czerwonym wojskowym płaszczu zadzwoniło pół tuzina najprawdopodobniej niezasłużonych medali. Suzy odcięła rękawy, żeby wyeksponować żółtą koszulę pod płaszczem, a gdy się kłaniała, jej skórzane spodnie zaskrzypiały na wysuniętej w przód nodze. Miała na sobie takie same bryczesy jak Arthur, który dotąd uważał, że są one przeznaczone wyłącznie dla Księcia Czwartka. Jej czerwone buty w niczym nie przypominały obuwia do mundurów, o których Arthur uczył się przy okazji szkolenia rekruckiego. Fluorescencyjny pas z zielonej łuski również wyglądał niecodziennie, choć obrotowy miecz u jej boku znajdował się w przepisowej pochwie.

Arthur zamrugał między innymi dlatego, że za Suzy zauważył jeszcze kilkoro innych dzieci Szczurołapa w podobnie nietypowych kompletach.

– Harcownicy Suzy – oświadczyła Suzy na widok jego spojrzenia. – Bojownicy. Marszałek Zmierchnik zaaprobował powstanie tego oddziału. Powiedziałam mu, że to twój pomysł.

– Mój pomysł... – zaczął Arthur, ale ugryzł się w język, gdy Suzy wymownie poruszyła brwiami.

– Skoro dzieci Szczurołapa są na cenzurowanym, że tak powiem, to lepiej trzymać nas wszystkie razem – dodała. – W ten sposób łatwiej mieć nas na oku, zwłaszcza jeśli Stara Damula... to znaczy Pierwsza Dama chce nas ukatrupić.

– Tutaj nie wchodzi w grę względy osobiste, panno Błękit – prychnęła Pierwsza Dama. – Po prostu robię to, co konieczne, żeby doprowadzić do ostatecznego zwycięstwa lorda Arthura. Swego czasu sama uległaś czarowi muzyki Szczurołapa i zdrowy rozsądek nakazuje, żeby nie dopuścić do powtórki takiej sytuacji.

– Nie trzeba nas zabijać – zjeżyła się Suzy i wyciągnęła z kieszeni dwa brzydkie, szare ogarki po woskowych świecach. – Wystarczy, że wepchniemy sobie do uszu takie coś i już nie usłyszymy fletu! Poza tym jestem teraz generałem Turkusowy Błękit!

Pierwsza Dama znowu prychnęła i zamierzała coś powiedzieć, lecz Arthur uniósł rękę.

– Wydałem już odpowiednie rozkazy, zabraniające krzywdzenia dzieci Szczurołapa – oznajmił. – Nie wolno też atakować Szczurów w Wyproście, chyba że zwrócą się przeciwko nam. Teraz zamierzam osobiście spotkać się ze Szczurami. Są mi winne pytanie, a ja im odpowiedź, więc przynajmniej podejmą negocjacje. Pierwsza Damo, marszałkowie i wszyscy zebrani! Proszę wrócić do swoich obowiązków, zgodnie z ustaleniami. Doktorze Scamandros, czy zechcesz udać się ze mną?

– Oczywiście, lordzie Arthurze, jak najbardziej. – Scamandros wypiął pierś. – Ach, czy zamierzasz ponownie użyć Piątego Klucza?

– To najszybszy sposób – potwierdził Arthur. – Dzięki niemu mogę dotrzeć bezpośrednio na pokład „Rattusa Navisa IV”. Pewnie uda mi się wyrzeć przez odbicie na powierzchni srebrnego dzbana, który się tam znajduje. Co, Suzy?

Suzy ciągnęła go za rękaw.

– Ja też idę, prawda? Żeby zobaczyć Szczury i rozprawić się z Sobotą.

– Raczej powinnaś zostać i opiekować się dziećmi Szczuro...

– Zostać? Wydaje ci się, że jak urosłeś, to od razu zmądrzałeś? Masz wypolerowane zęby, ale to nie oznacza, że sobie beze mnie poradzisz. Kto wiele razy pomógł ci wygrzebać się z bagna?

– Lordzie Arthurze, być może powinienem cię poinformować, że w drodze tutaj odczuwałem znaczny opór – wtrącił się Scamandros. – Prawdę mówiąc, niewiele brakowało, a zostałbym wyrzucony z powrotem. Być może roztropniej byłoby skorzystać z windy do Portu Środy i posłać po Szczury w Wyproście.

– Nie ma na to czasu – oświadczył Arthur. – Moim zdaniem jednak będziesz mi potrzebny więc jeśli jakoś to wytrzymasz...

– Będę ci służył – zadeklarował Scamandros. – Tym razem przytrzymam się mocniej, choć teraz nie masz fraka. Czy w związku z tym mogę chwycić za twoją rękę?

– A ja? – spytała Suzy.

– Dobrze, zabierzemy się razem – postanowił Arthur. – Przynajmniej po to, żeby porozmawiać ze Szczurami.

Podał jedną rękę doktorowi Scamandrosowi, a drugą Suzy, choć w rezultacie miał trudności z utrzymaniem Piątego Klucza. Zamierzał zerknąć do zwierciadła, lecz w ostatniej chwili się zawahał i skierował wzrok na Pierwszą Damę, która wróciła do stołu z mapą. Teraz studiowała ją z uwagą i nic nie wskazywało na to, by zamierzała się rozdziwić i wykonać polecenie Arthura.

Nagle coś sobie przypomniał.

– Pierwsza Damo! – zawołał. – Zanim się rozdwoisz, chciałbym dostać z powrotem *Kompletny Atlas Domu*. Myślę, że będzie mi bardzo potrzebny.

Pierwsza Dama nie oderwała wzroku od stołu ani nie odwróciła głowy.

– *Atlas* kieruje się własnym rozsądkiem – powiedziała. – O ile mi wiadomo, ostatni raz widziano go w Środkowym Domu, zapewne wtedy, gdy otrzymywał nową oprawę. Zakładam, że w stosownym czasie powróci tutaj albo sam znajdzie cię tam, dokąd się udasz. Proponuję, żebyś zaglądał na półki z książkami, przy których się zatrzymasz.

– Hm... – zastanawiał się Arthur.

I wtedy zrozumiał.

„Ona mnie okłamuje – pomyślał – albo się wykręca. Ciekawe, dlaczego nie chce, żebym miał *Atlas*! Bardzo by mi się przydał. A ona nie potrafi kłamać w żywe oczy...”

Marszałek Jutrzenka zerwała się z miejsca przy biurku i przebiegła przez cały pokój, wymachując kartką papieru z wiadomością.

– Pierwsza Damo! – krzyknęła. – W pobliżu Psoty Liternika podobno pojawił się mały gejzer Nicości!

Pierwsza Dama sięgnęła po kartkę.

– Sam widzisz, Arthurze! Skoro nie wybierzesz się tam, będę musiała zrobić to, czego sobie życzysz. Marszałku Jutrzenko, potrzebuję eskorty i prywatnej windy!

Jutrzenka zasalutowała i odbiegła, a w pokoju zapadła cisza. Wszyscy skierowali wzrok na Pierwszą Damę. Gdy surowo zmarszczyła brwi i rozejrzała się groźnie, w jej otoczeniu ponownie zapanował chaos. Spokój zachowała jedynie ona, Arthur, Suzy i Scamandros.

– Zapowiada się niezłe widowisko – mruknęła Suzy. – Myślisz, że podzieli się na dwie części i zacznie wić jak robak?

Arthur pokręcił głową. Takie zachowanie nie licowałoby z godnością Pierwszej Damy.

W pewnej chwili zrobiła krok do przodu i jednocześnie stała się niewyraźna, a jej ciało się skurczyło, jakby weszła do dołka w ziemi. Następnie rozdzieliła się i w rezultacie obok siebie stanęły dwie Pierwsze Damy, każda o ponad dwumetrowym wzroście, zamiast jednej, dwuipółmetrowej. Wyglądały identycznie i były tak samo ubrane, ale jedna miała Pierwszy Klucz w postaci miecza o kształcie wskazówki oraz trójzab Trzeciego Klucza, a druga rękawice Drugiego Klucza i buławę Czwartego.

Oba wcielenia Woli odwróciły się ku sobie i dygnęły.

– Czwarta Damo? – powiedziała ta z mieczem i rękawicami.

– Siódma Damo? – przedstawiła się posiadaczka trójzęba i buławy.

– Hm – wyszeptał Scamandros. – Co za megalomania. Dodały jeden i trzy oraz dwa i pięć. Chyba chcą, żeby ogólna suma wyszła większa niż w rzeczywistości.

Czwarta i Siódma odwróciły się i dygnęły przed Arthurem.

– Lordzie Arthurze – odezwały się chórem.

– Witam – powiedział Arthur. – Dziękuję, że zechciałyście się rozdwoić. Chyba powinniśmy niezwłocznie brać się do pracy.

– W rzeczy samej – potwierdziła Czwarta Dama.

– Tak jest – zgodziła się Siódma Dama, uniosła dłoń i obwieściła z patosem: – Wyruszam z odsieczą Środkowemu Domowi!



– A ja górom! – dodała Czwarta i obie wymaszerowały z pokoju.

– A ja... zajmę się Dostojną Sobotą – zadeklarował Arthur i uświadomił sobie, że jego słowa nie zabrzmiały szczególnie monumentalnie. Uniósł zwierciadło i wbił wzrok w taflę, w której ujrzał widok odbijający się w srebrnym dzbanie w sterówce „Rattusa Navisa IV”. Wkrótce miał się znaleźć na pokładzie okrętu, przemierzającego niezwykle wody Morza Granicznego.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dwoje pasażerów znacznie utrudniło Arthurowi skorzystanie z przejścia. W pewnym momencie sądził nawet, że wszyscy troje zostaną wyrzuceni z powrotem, i to nie do bezpiecznej Cytadeli, lecz w zupełnie inne miejsce, którego na pewno by nie wybrał. Ziemia zachwiała się, oślepiło go światło, a Suzy i Scamandros ciążyli mu niczym ołowiane odważniki. Mimo to brnął przed siebie, całkowicie skoncentrowany na osiągnięciu celu. W końcu dostrzegł niewyraźny zarys stołu i krzeseł w dużej kajucie na „Rattusie Navisie IV”. Choć kajuta wydawała się oddalona zaledwie o krok, to jednak wciąż była prawie nieosiągalna.

W końcu spocony i zdyszany Arthur podjął ostatni, tytaniczny wysiłek, żeby dotrzeć do celu, i wtedy cała trójka wypadła na mocno przechylony pokład okrętu, po czym zsunęła się po deskach na prawej burcie. Następnie, gdy okręt przechylił się w drugą stronę, ześliznęli się ukośnie na lewą burtę, zderzyli ze stołem i zrzucili srebrny dzban.

Wstawali, chwytając się, czego popadnie, żeby utrzymać równowagę, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i na progu stanął Neonicoń.

– Intruzi! – wrzasnął i dobył sztyletu z pochwy u pasa. – Wróg na pokładzie!

Scamandros natychmiast sięgnął do rękawa i wyciągnął z niego maleńki, koktajlowy widelczyk z nadzianą marynowaną cebulką. Widok przekąski najwyraźniej podziałał na niego deprymująco, gdyż pośpiesznie schował ją z powrotem.

W tym samym momencie Suzy wyciągnęła obrotowy miecz, lecz Neonicoń był szybszy, a do tego miał wprawę w utrzymywaniu równowagi na chwiejnym pokładzie. Runął na Arthura, który instynktownie uniósł rękę, choć nie miał szans osłonić się przed ciosem zadany długim, miotającym białe iskry sztyletem. Była to jednak jego prawa ręka, w której trzymał Piąty Klucz. Zanim Neonicoń zadał cios, rozbłysło oślepiające światło, rozszedł się dziwny chemiczny swąd i zabrzmiał stłumiony wrzask. W miejscu, w którym przed chwilą stał napastnik, pozostały tylko dwa dymiące buty.

Arthura ogarnęła irytacja. „Te żalosne stwory mają czelność mnie atakować! – pomyślał oburzony. – Pójdę tam i urządzę im taką jatkę...”

Pokręcił głową i odetchnął głęboko, żeby zapędzić tę nagłą arogancję tam, skąd przywędrowała. Przestraszył się, gdyż uświadomił sobie nieprzyjemną prawdę: mógłby wpaść w taką wściekłość, że byłby w stanie bez zastanowienia ruszyć do ataku.

Kiedy żądza krwi osłabła, Arthur poczuł silny ból ręki.

– Au! – krzyknął, gdyż Neonicon jednak zdołał go drasnąć końcem sztyletu. Odwrócił rękę i dostrzegł, że to coś poważniejszego niż tylko płytkie skaleczenie: na przedramieniu miał długą na prawie dwadzieścia centymetrów ranę, głęboką aż do kości. Rozcięcie zasklepiło się jednak na oczach Arthura i pozostała po nim tylko ledwie widoczna, biała blizna. Starł lewą dłonią resztki krwi, usiłując nie myśleć o tym, że straciła normalną, czerwoną barwę, jednak nie przybrała koloru niebieskiego, typowego dla Rezydentów. Była złocista niczym gęsty ciemny miód, i ten fakt wydał mu się niemal bardziej bolesny niż rana. Działo się z nim coś niepojętego, zmieniał się w osobliwą istotę.

– Nie została z niego nawet kupka popiołu – zauważyła Suzy z nieskrywaną satysfakcją i końcem miecza przewróciła dymiące buty zdematerializowanego Neoniconia.

– Wcale tego nie chciałem – westchnął Arthur smutno. – To robota Klucza.

– Lepiej się szykujmy. – Suzy chwyciła krawędź stołu, żeby przeciągnąć go do drzwi, ale był przyśrubowany do podłogi, więc jej dłonie się ześliznęły i wpadła na Scamandrosa. Oboje stracili równowagę i runęli na jeden z miękkich foteli. Suzy w ułamku sekundy zerwała się na równe nogi, ale Scamandros leżał bezradnie niczym żuk przewrócony na grzbiet.

– Na jednym Neoniconiu się nie skończy – oznajmiła Suzy. – Lada moment zaatakują.

– Może nas nie usłyszeli? – mruknął Arthur.

Ciągłe, rytmiczne dudnienie silnika parowego statku zlewało się z skrzypieniem i zgrzytaniem takielunku, a także łomotem i gruchnięciami, towarzyszącymi przebijaniu się kadłuba przez całkiem spore fale.

– Usłyszeli, bez dwóch zdań – upierała się Suzy. Splunęła w dłonie i mocno zacisnęła je na rękojeści miecza. – Mam nadzieję, że twój Klucz wypali sporą gromadę.

– Wcale nie zamierzam ich palić – zaprotestował Arthur. – Chcę tylko

porozmawiać ze Szczurami w Wyproście!

– Bardzo nam miło to słyszeć – odezwał się głos spod stołu.

Suzy zakląła i schyliła się, żeby zajrzeć pod blat.

– Kłapa w podłodze! – krzyknęła z podziwem. – Sprytne!

Spod stołu wygramolił się Szur mający na oko metr trzydzieści wzrostu, w białych spodniach i niebieskim płaszczu ze złotym epoletem na lewym ramieniu. Zasalutował Arthurowi i uśmiechnął się szeroko, demonstrując dwie połyskujące złotem korony na siekaczach w wydłużonym pysku. U boku nosił szablę ukrytą w pochwie, a na głowie zawadiacko przekrzywiony, napoleoński pieróg.

– Lord Arthur, jak mniemam? Porucznik Skubizłot, do usług. Niedawno otrzymałem nominację na stanowisko dowódcy tej jednostki i tak oto zająłem miejsce po kapitanie O’Goniastym, który po awansie został skierowany do innych zadań. Nie miałem przyjemności spotkać pana, niemniej znane mi są fakty z pańskiej dotychczasowej współpracy z nami. Może zechcieliby państwo usiąść?

Wskazał łapą fotele.

– Czy obowiązuje nas rozejm? – spytał Arthur, ociągając się z zajęciem miejsca.

– I czy mówi pan w imieniu całej załogi okrętu?

– Jako kapitan, deklaruję rozejm w imieniu wszystkich nas, Neoniconi i Szurów w Wyproście – obwieścił Skubizłot.

– Szczurołapa tu nie ma, co nie? – spytała Suzy. Ona również nie usiadła, za to Scamandros nie musiał siadać, gdyż w ogóle nie wstał z fotela.

– Szczurołap nie gości na naszym pokładzie – potwierdził Skubizłot. – Chociaż wiele mu zawdzięczamy i będziemy transportować jego wojsko i nie tylko, to jednak Szury w Wyproście postanowiły zachować neutralność i nie brać udziału w wojnach Szczurołapa, więc nie powinniśmy być stawiani na równi z Neoniconiami. Skoro o nich mowa, niech państwo spoczną i zaczekają, a ja wyskoczę i skieruję swoich podkomendnych oraz Neoniconi do zwykłych zajęć.

– Przykro mi z powodu tego... którego zabiłem – westchnął Arthur. Dobrze wiedział, że Neoniconie w gruncie rzeczy pragną być rolnikami, choć czują się w obowiązku służyć Szczurołapowi. Zdaniem Arthura byli znacznie bliżsi ludziom niż Rezydenci. – Zaatakował mnie, a Klucz...

Skubizłot skinął głową.

– Powiem im. Nie on pierwszy tak skończył, nie on ostatni. Mam jednak nadzieję, że na pokładzie „Rattusa Navisa IV” nie dojdzie do następnych spięć między nami. Proszę się częstować ciastkami z puszek. W baryłce zostało jeszcze trochę soku żurawinowego.

– Czemu nie – zgodził się Arthur, kiedy Szczur w Wyproście wyszedł z kajuty. Chłopiec podniósł srebrny dzbanek i napełnił go sokiem z baryłki, Suzy zaś sięgnęła po ciastka i postukała nimi o stół, żeby wytrząsnąć wołki zbożowe. Poczęstowała słodyczami towarzyszy, lecz obaj odmówili. Scamandros wyciągnął z wewnętrznej kieszeni lekko zgniecioną kanapkę z szynką i rzeżuchą i położył ją na porcelanowym talerzu w czerwoną kratkę.

– Ciekawe, dlaczego na okręcie znajdują się Neoniconie – mruknął Arthur półgłosem. – Mam nadzieję, że Szczurołap nie zaatakuje nas tutaj, na Morzu Granicznym.

– Port Środy ma dobrą obronę – zauważył doktor Scamandros. – Trójkąt byłby bardziej ryzykownym miejscem, zważywszy że brak w nim regularnych jednostek do ochrony. Niewielki jednak byłby pożytek z przejścia tego rejonu, skoro nie ma tam wind ani niczego szczególnie użytecznego. Rzecz jasna, Szczury mogą transportować Neoniconi gdzie indziej, po drodze mijając Morze Graniczne, żeby dotrzeć do Poślednich Królestw...

– Pst – syknął Arthur. – Skubizłot wraca.

Szczur zapukał i wetknął długi pysk w drzwi.

– Wszyscy siedzą? – spytał, nim wszedł. – Doskonale. Niestety, mój pierwszy porucznik nie może do nas dołączyć, bo jest teraz na wachcie, ale pełniący jej obowiązki trzeci porucznik wystarczy. O ile wiem, już go państwo znają.

Zza pleców Skubizłota wyszedł Szczur w Wyproście i zasalutował. Choć miał przycięte wąsy i nosił niebieski płaszcz, Arthur momentalnie go rozpoznał.

– Watkingle! Awansowałeś!

– Tak jest, Wasza Lordowska Mość – potwierdził Watkingle. – Nagrodzono mnie za uderzenie cię w głowę i zapobieżenie katalipsie, czy też apokastrofie, jak kto woli. Trafiłem w dziesiątkę, że się tak wyrażę.

– Rzeczywiście, zachowałeś się przytomnie. – Arthur wstał i uścisnął mu łapę. – W przeciwnym razie dopadłby mnie Złocięć.

– Dobrze wyglądasz, Wasza Lordowska Mość – zauważył Watkingle. – Jesteś wyższy.

– To prawda – potwierdził Arthur smętnie i usiadł. Watkingle oparł się o kadłub i przycisnął do niego łapy, żeby nie stracić równowagi podczas unoszenia się i opadania okrętu.

– Jak rozumiem, przybył pan, by zadać nam trzecie pytanie? – domyślił się Skubizłot, kiedy przydługie milczenie stało się kłopotliwe.

– Hmm, tak, choć chciałbym także prosić o pomoc – wyjaśnił Arthur. – Słyszałem, że Dostojna Sobota doprowadziła do całkowitej izolacji Wyższego Domu i nie można się tam przedostać. Idę o zakład, że Szczury w Wyproście potrafiłyby wniknąć do Wyższego Domu, i co więcej, doskonale wiem, że do niego docieracie, gdyż pewien Szczur w Wyproście wydostał się stamtąd z kartką papieru. Chcę wiedzieć, którądy biegnie ta droga, i zależy mi również na tym, byście pomogli mi się tam dostać.

– I mnie też! – dodała Suzy.

– Hm... – mruknął Skubizłot. – Będę musiał przesłać wiadomość do komandora Moncktona...

Arthur pokręcił głową.

– Nie ma na to czasu. Pewnie wie pan już, że położone na Odległych Rubieżach umocnienia chroniące przed Nicością zostały zniszczone w wyniku sabotażu i w rezultacie runął mur tamy. Niższy Dom przestał istnieć. Musimy powstrzymać Sobotę, zanim doprowadzi do ruiny całego Domu.

Zafrasowany Skubizłot zmarszczył nos.

– Doszły nas słuchy o katastrofie, lecz nie wiedzieliśmy nic o skali tragedii – wyznał. – Aby jednak udzielić odpowiedzi na pańskie pytanie, muszę wyjawić kilka tajemnic. Dopiero od niedawna dowodzę tą jednostką, a poza tym moja ranga nie jest szczególnie wysoka...

– Już wydałem rozkaz zostawienia w spokoju Szczurów w Wyproście, chyba że pierwsze zaatakują moje siły zbrojne – przerwał mu Arthur. – Z chęcią zrobię dla pana wszystko, co zdołam, i odpowiem na dowolne pytania, o ile wyjawi mi pan, jak się

dostać do Wyższego Domu. – Umilkł, lecz po chwili dodał: – To znaczy jak się tam dostać niezauważenie.

– Jak pan słusznie zgadł, lordzie Arthurze, jest pewna droga – przyznał Skubizłot z namysłem i popatrzył na Watkingle’a, który wzruszył ramionami. – Biorąc pod uwagę okoliczności, sądzę, że będę musiał panu towarzyszyć. Musi pan jednak przystać na cenę, wyznaczoną przez komandora Moncktona oraz starsze ode mnie rangą Szczury, niezależnie od odpowiedzi, którą jest pan nam winien.

– To się nazywa kupowanie kota w worku – oburzyła się Suzy. – Dlaczego Arthur miałby się zgadzać na...

– Wszystko w porządku, Suzy – przerwał jej Arthur. – Zgadzam się.

„Jeśli się nie zgodzę, wkrótce i tak nie będzie to miało znaczenia”, uznał. Cichy, paskudny, głęboko ukryty głos w jego głowie dodał: „Poza tym zawsze mogę się wycofać z danego słowa. Przecież to tylko Szczury...”

– Ponadto muszę pana prosić o dochowanie tajemnicy, lordzie Arthurze – ciągnął Skubizłot. – Wszyscy państwo muszą zatrzymać dla siebie to, co teraz powiem.

Arthur skinął głową, widział, że Suzy poszła za jego przykładem, choć miał podejrzenia, że skrzyżowała palce za plecami.

– Zawsze chętnie dochowuję tajemnic – odezwał się Scamandros. – Mam ich już setki, starannie zamkniętych tutaj.

Postukał się w czoło – pojawił się na nim tatuaż przedstawiający dziurkę od klucza, a następnie klucz, który wsunął się do środka i obrócił. Oba rysunki przeobraziły się w gęstwinę znaków zapytania, tańczących od skroni do uszu.

– Dobrze – powiedział Skubizłot. – Zapewne słyszał pan o naszych symultanicznych butlach i o tym, że to, co włożymy do jednej z nich, pojawi się w drugiej, takiej samej.

– Słyszałem – odparł Arthur. – Tak właśnie przesyłacie wiadomości i nie tylko. Monckton powiedział mi, że ten sposób sprawdza się wyłącznie na Morzu Granicznym!

– To prawda – w większości wypadków. Dysponujemy jednak niewielką pulą szczególnych symultanicznych butli, a ściślej rzecz biorąc, symultanicznych nabuchodonorów, które funkcjonują nie tylko na obszarze Morza Granicznego...

– Co to jest nabuchodonor? – spytała Suzy.

– Rozmiar butli – wyjaśnił Scamandros. Na jego lewym policzku pojawiło się osiem różnych butelek, które przepłynęły na prawy policzek. Pierwsza miała wysokość nieco ponad centymetra, a największa zaczynała się przy brodzie i sięgała do czubka ucha. – Oto zwykła butelka. Potem mamy magnum, wielkości dwóch butelek. Dalej jest jeroboam o pojemności czterech podstawowych butelek, roboam: sześć butelek, metuszelach: osiem, salmanassar: dwanaście. Wreszcie jest baltazar, mieszczący szesnaście butelek oraz nabuchodonor: dwadzieścia! – Zaczął gmerać w wewnętrznych kieszeniach płaszcza. – Mam tu gdzieś jeroboama całkiem zacnego, musującego wina, które otrzymałem w podarunku od biednego, starego kapitana Kotapoduchy.

– Tak, tak – wtrącił Skubizłot. – Symultaniczne nabuchodonozory to bardzo wielkie butle, które rozmieściliśmy parami w różnych punktach Domu, w tym jedną w Wyższym. Ich rozmiary są istotne, gdyż pozwalają na transfer jednego z nas. Śpieszę jednak dodać, że nie zmieści się w nich osobnik pańskich gabarytów, lordzie Arthurze.

– Podejrzewałem, że tak będzie – odparł. – Dlatego muszę się zwrócić z prośbą o pomoc do doktora Scamandrosa. Chcę, żebyś przeobraził mnie w Szczura w Wyproście, doktorze. Oczywiście, nie na stałe.

– Mnie też – dodała Suzy.

– To niełatwe zadanie – ostrzegł ich doktor Scamandros. – Faktycznie, swojego czasu otoczyłem was iluzją, tak że wyglądaliście jak szczury. Rzeczywiste przeobrażenie, nawet na niezbyt długi czas, to co innego. No nie wiem... Arthurze, poradziłbyś sobie sam, korzystając z Klucza?

– Chyba tak. – Arthur pokiwał głową. – Nie jestem tylko pewien, czy udałoby mi się wrócić. Jeżeli dokonasz przeobrażenia, z czasem po prostu powrócę do zwykłej postaci, prawda?

– Tak zakładam – potwierdził Scamandros. – Nie mam jednak pewności, jak wpłynie na ciebie moje zaklęcie. Niewykluczone, że Klucz uzna je za atak na Dziedzica i zrobi ze mną to samo, co z tamtym Neoniconiem.

– Na pewno nie, jeśli będę myślał tylko o tym, że chcę się zmienić w Szczura w Wyproście – zapewnił go Arthur. – Tak czy owak, powinniśmy spróbować.

Skubizłot zakaszłał i podniósł łapę.

– Symultaniczny nabuchodonor połączony z butlą ukrytą w Wyższym Domu



nie znajduje się na naszym okręcie. Jeżeli życzy pan sobie wypróbować go na zasadach, które wcześniej określiłem, musimy się spotkać z „Rattusem Navisem II”. Gdy wyślę do niego wiadomość, żeby pożeglował w naszą stronę, a my wyruszymy mu na spotkanie, wówczas spotkamy się zapewne w pół godziny. Płyniemy w konwoju.

– W konwoju? – zdumiał się Arthur. – Z tyloma Neoniconiami na pokładzie? Mam nadzieję, że jednak nie planujecie ataku na Port Środy?

– Nie znam ostatecznego celu wyprawy sił neoniconskich – przyznał Skubizłot. – Zaokrętowały się w jednym z Poślednich Królestw, więc zakładamy, że wyjdą na brzeg w innym.

– Dobrze, w porządku – mruknął Arthur. – Tak mi się wydaje. Ciekawe, co zamierzają Neoniconie. Wolałbym, żeby Szczurołap do niczego się nie wtrącał. Chyba mógłbym spytać któregoś z Neoniconi...

– Lordzie Arthurze! – przerwał mu Skubizłot. – Jak już napomknąłem, Szczury w Wyproście pragną zachować neutralność. Na razie. Neoniconie uprzejmie zgodzili się utrzymywać fikcję, że jeden z ich współbraci przypadkowo zaginął na morzu. Nie zejdą pod pokład, aby pana szukać, ale jeżeli pan się ujawni, poczują się zobligowani do walki. Zakładam, że pan zwycięży, jednak pańscy towarzysze mogą zginąć, jak i z pewnością wielu Neoniconi. Prosiłbym, aby pan tutaj pozostał, napił się soku żurawinowego, a kiedy spotkamy się z drugim okrętem, przeniesiemy pana na jego pokład tak szybko i dyskretnie, jak się da.

– Zgoda. – Arthur ponownie z trudem opanował chęć wbiegnięcia na pokład i rozkazania Neoniconiom, żeby się przed nim pokłonili. W razie odmowy spaliłby ich na proch i patrzył, jak wiatr i fale roznoszą ich popioły...

„Nie – postanowił w myślach. – Dość! Zrobię to po swojemu. Nie zamierzam się zmieniać, bez względu na to, jak wyglądam. Jestem człowiekiem i wiem, jak kochać i być dobrym, jak współczuć słabszym. Mam władzę, co nie oznacza, że muszę z niej korzystać!”

– Będę potrzebował tego i owego – oświadczył doktor Scamandros, zajęty przetrząsaniem kieszeni. – Hm... Świeżo ścięte szczurze włosy... Cztery odciski łap w galarecie, w gipsie albo w ostateczności w piasku... szara lub brązowa farba, pędzel większy od tego... Chyba mam całą resztę.

- Watkingle może zdobyć to wszystko dla pana – zadeklarował Skubizłot.
- Czyje szurze świeżo ścięte włosy, panie kapitanie? – zainteresował się Watkingle. – Dopiero co się strzygłem...
- Ktoś na pewno wybiera się do fryzjera – zauważył Skubizłot. – Natychmiast bierz się do roboty.
- Tak jest, panie kapitanie – odpowiedział Watkingle i wyszedł z kajuty, mamrocząc pod nosem: – Włosy, gips, szara albo brązowa farba...
- Niech no spojrzę. – Doktor Scamandros postawił na stole zieloną kryształową butelkę z ołowianą zatyczką. – Duży kałamarz z aktywnym atramentem... Może być niezastąpiony przy zdobywaniu informacji. Pisali o tym w *Ksenograficznych Ksakejach Ksamanadera*... Z pewnością miałem tu gdzieś egzemplarz...
- Gdzie się znajduje drugi nabuchodonor? Ten w Wyższym Domu – zainteresował się Arthur, choć jak zawsze nie potrafił wyjść z podziwu, że w płaszczu Scamandrosa tyle się mieści. – Czy są tam Szczury, które mogłyby udzielić mi wsparcia?
- Niewiele mi o tym wiadomo – wyznał Skubizłot. – Zdaje się, że usytuowano go na najniższym poziomie Wyższego Domu, przy silnikach parowych, które poruszają łańcuchami. Mamy na miejscu grupę agentów, a także dzieci Szczurołapa, rzecz jasna. Pomagają nam, więc pewnie udzielą pomocy i panu.
- Dzieci Szczurołapa? – zainteresowała się Suzy. – Pojęcia nie miałam, że w Wyższym Domu utkwiała banda naszych.
- Silniki parowe? – odezwał się Arthur jednocześnie. – Łańcuchy?
- Skubizłot powiedział im, co wiedział, czyli niewiele, a Scamandros od czasu do czasu dodawał coś od siebie, na przemian katalogując potrzebne przedmioty i porządkując dziwadła z płaszcza. Jak się okazało, nie miał na ten temat większej wiedzy niż Skubizłot. Scamandrosa usunięto z Wyższego Domu kilka tysięcy lat wcześniej, a wtedy Dostojna Sobota używała bardziej konwencjonalnych metod budowania wieży. Ponadto były tam jeszcze inne budynki, nie tylko jedna, gigantyczna, rozrastająca się konstrukcja z żelaznych sześciaków.
- I te sześciaki są przeciągane łańcuchami po szynach, a cała machina czerpie napęd z silników parowych?
- Tak wynika z dostępnych mi informacji – potwierdził Skubizłot.

– Warto będzie rzucić na to okiem – oświadczyła Suzy wesoło. – Nie ma to jak solidna chmura zawieszistej pary i odrobina smolistego dymu węglowego, żeby dodać płucom animozji.

– ... muszu – poprawił ją Scamandros odruchowo. – A-ni-mu-szu. Animozje wynikają z niechęci i uprzedzeń i stały się przyczyną mojej degradacji.

– Z pewnością to będzie interesujące – zgodził się Arthur. – Musimy jednak pamiętać, że wybieramy się do twierdzy wroga. Jeśli z nami pójdziesz, Suzy, będziesz musiała dobrze się maskować i zachowywać bardzo przebiegle. Nie mam ochoty walczyć z tysiącami czarnoksiężników ani tym bardziej z uzbrojoną w Szósty Klucz Sobotą, zwłaszcza na jej terytorium. Jasne?

– Jak słońce – potwierdziła Suzy.

– Cieszę się. – Arthur nagle wyobraził sobie ojca, Boba, oglądającego jeden ze swych ulubionych filmów z amerykańskim aktorem i piosenkarzem, Dannym Kaye'em, i śmiejącego się do rozpuku. W następnej chwili myśl znikła. Arthur nie miał pojęcia, dlaczego akurat teraz przypomniał sobie tatę. Rodzina wydawała mu się niesłychanie odległa. Mimo to owo wspomnienie sprawiło, że przestał się czuć taki samotny.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Na „Rattusa Navisa II” dostali się szalupą, w której przy wiosłach zasiadło osiem Szczurów morskich z niebieskimi wstążkami u słomkowych kapeluszy Wiosłowali przy wtórze chrapliwych okrzyków: „I raz, i dwa!”, wznoszonych przez Watkingle’a, żeby jak najsprawniej pokonać kilkaset metrów otwartego morza między jednym okrętem a drugim.

Arthur siedział plecami do dziobu i obserwował „Ratlusa Navisa IV” oraz rzędy Neoniconi na pokładzie. Wszyscy zgodnie patrzyli w przeciwnym kierunku, celowo ignorując tymczasowego współpasażera. Arthur zastanawiał się, dokąd podążają i dokąd on sam się wybiera, kiedy w pewnej chwili oblała go wielka fala zimnej, słonej wody. Łódź ścięła grzbiet bałwana i teraz opadała, a do jej wnętrza chlusnęła morska woda. Sytuacja byłaby znacznie gorsza, gdyby nie sprawność i przytomność umysłu Watkingle’a przy sterze.

W fali, która oblała prawie wyłącznie Arthura, znajdował się jakiś przedmiot. Chłopiec trzymał go teraz na kolanach. Był to mokry, nasiąknięty wodą słoń, żółty pluszak, którego Arthur znalazł już kiedyś na Morzu Granicznym, ojczyźnie zaginionych przedmiotów, i ponownie zgubił gdzieś między Morzem a Wielkim Labiryntem.

– Słoń – wykrztusił oszołomiony i przycisnął go do piersi tak mocno jak kiedyś, gdy był małym dzieckiem. Po sekundzie przypomniał sobie, kim jest oraz gdzie się znajduje, i powoli opuścił zabawkę na kolana.

– Musisz uważać na takie przedmioty – odezwał się doktor Scamandros i popatrzył na niego znad otwartego egzemplarza *Ksenograficznych Ksakeji Ksamanadera*, małej szkarłatnej książeczki, która wydawała się zbyt cienka, żeby skrywać wielką, czarnoksięską mądrość. – Dziecięce obiekty uwielbienia mogą stanowić źródło poważnego niebezpieczeństwa. Na ich podstawie ktoś mógłby sporządzić Duchożera, takiego jak Bezsłony Chłopiec, albo wbić w zabawkę współczulną igłę, żeby zadać ci ból.

– Nie zgubię już Słonia. – Arthur starannie wepchnął małą zabawkę pod tunikę, żeby nie wypadła. W rezultacie na ubraniu pojawiło się dziwaczne wybrzuszenie, ale

Arthura nic to nie obchodziło.

– Sama miałam zabawkę, kiedy byłam mała – powiedziała Suzy i zmarszczyła brwi. – Nie pamiętam jaką. Ruszała się, a ja się śmiałam...

– Ahoj, szalupa! Dalej tutaj!

Suzy otrząsnęła się z rozmyślań podczas wspinaczki po sznurowej drabinie, zrzuconej z pokładu „Rattusa Navisa II”. Arthura i jego towarzyszy powitał elegancko ubrany Szczur w Wyproście, którego mundur był znacznie gustowniejszy i nieporównanie bardziej ozdobny niż którykolwiek z widzianych przez Arthura uniformów. Nawet zwykły niebieski materiał płaszcza lśnił dzięki misternemu, jedwabistemu wzorowi.

– Witam na pokładzie, lordzie Arthurze! Kłania się porucznik Wąsnob, dowódca jednostki. Zapraszam pod pokład. Wieziemy niewielką grupę Neoniconi, w większości starszych oficerów, którzy uprzejmie zechcieli zebrać się na dziobie i jeść tam podwieczorek do czasu... lim... zakończenia pańskiej wizyty.

– Dziękuję – odparł Arthur.

– Zapraszam za mną. – Wąsnob ruszył energicznie w kierunku schodków rufowych i wprowadził gości do dużej kajuty kapitańskiej. Przypominała kabinę na „Rattusie Navisie IV”, lecz urządzono ją z prawdziwym przepychem. W oknach wisiały czerwone aksamitne zasłony, a fotele obite były materiałem w jaskrawe wzory, przypominającym tartan.

Arthur ledwie zwrócił uwagę na wystrój. Wnętrze kajuty zdominowała butla z zielonego szkła, osadzona na drewnianej kołysce, która była przywiązana linami do pokładu. Ogromna butelka miała około dwóch i pół metra wysokości i ponad półtora metra średnicy. Gdyby nie jej dość cienka szyjka, grubości nogi Arthura, chłopiec bez trudu zmieściłby się w naczyniu w swojej normalnej postaci.

Zielone szkło było mętne, lecz nie całkiem nieprzezroczyste, a w środku unosiły się kłęby czegoś, co przypominało dym albo mgłę. Dostępu do wnętrza symultanicznego nabuchodonozora bronił oprawiony w stal i opleciony drutem ogromny korek.

– Wszystko gotowe – oznajmił Wąsnob. – Musi pan tylko wejść do butli, gdy... ehem... zostanie pan przygotowany. Lordzie Arthurze, czy mogę zaproponować panu szklaneczkę napoju? Zapewne chciałby się pan pokrzepić w trakcie przygotowywania

zaklęcia przez czarnoksiężnika.

– Nie, dziękuję. Ile czasu potrzebujesz, doktorze?

Scamandros był pochłonięty rozkładaniem na ławce najrozmaitszych przedmiotów. Zerknął na Arthura, potem na nabuchodonzora, kilka razy zamrugał i wreszcie odchrząknął.

– Około pół godziny, lordzie Arthurze. Gdybym tylko mógł prosić o duży kawałek sera ze skórką. Sądziłem, że mam porcję Zaczynnego Przekąskowego, ale jakoś nie potrafię go zlokalizować.

– Powiem kucharzowi, żeby podrzucił panu ser – rzekł Wąsnob. – Niech państwo się rozgoszczą. Teraz muszę wyjść na pokład, ale za parę minut wrócę, żeby otworzyć nabuchodonzora. Jest to dość skomplikowana procedura, dlatego proszę nie próbować samodzielnie odkorkowywać butli. Ponadto muszę państwa ostrzec przed dotykaniem szkła. Zewnętrzna powierzchnia naczyń często bywa naprawdę bardzo, bardzo zimna, a od czasu do czasu robi się wyjątkowo gorąca. Ponieważ ani ciepło, ani zimno nie promieniuje, mogą państwo doświadczyć nader przykrego wstrząsu.

– Nie promieniuje? – zapytał Scamandros. – Interesujące.

Odwrócił się od gipsowych odcisków łap szczura, które trzymał w dłoni, i zrobił krok ku nabuchodonzorowi. Następnie uniósł ręce i ponownie się odwrócił. Tatuaz wirującego koła sterowego na czole świadczył o tym, że czarnoksiężnik przypomniał sobie o najpilniejszym zadaniu.

– No więc przejdziemy przez tę flaszkę – odezwała się Suzy z zadumą. – I znajdziemy Szósty Fragment Woli, zgadza się?

– Tak – potwierdził Arthur.

– Jak się do tego zabierzemy? – spytała. – Może Szóstka okaże się taka jak Jedyńka i zwyczajnie wskoczy mi do japy?

– Nie byłoby to takie złe – westchnął Arthur. – Ale myślę, że ten Fragment będzie jakoś uwięziony. Mam nadzieję, że uda mi się wyczuć jego obecność, chyba to potrafię. A może uda mu się przemówić wprost do mojego umysłu, jak innym, kiedy zbliżyłem się dostatecznie blisko?

– Boli mnie brzuch, kiedy Pierwsza Dama jest niedaleko – wyznała Suzy. – To powinno ułatwić nam sprawę.

– Musimy wierzyć, że się uda. I lepiej nie lekceważyć przeciwnika. Jeśli znajdziemy i uwolnimy Szósty Fragment, za pomocą Piątego Klucza przeniesiemy się prosto do Cytadeli...

– Och, nie, nie, nie! – zaprotestował Scamandros. – Nie wolno ci tego robić! Jeszcze ci nie wyjaśniłem dlaczego? Grupa czarnoksiężników na bieżąco bada przypadki użycia magii na terenie Wyższego Domu. Śmiem twierdzić, że teraz kontrolerów jest jeszcze więcej niż kiedykolwiek! Gdy tylko zaczniesz używać Klucza, zaatakują cię zaklęciem ograniczającym albo cię otorbią...

– Nie ośmiela się rzucić zaklęcia na Prawowitego Dziedzica, władającego Piątym Kluczem! – zagrział Arthur stentorowym tonem, po czym wstał i rąbnął się w pierś. – Są tylko Rezydentami, podczas gdy ja...

Nagle urwał, otarł nieoczekiwanie mokre od potu czoło i usiadł.

– Wybacz – bąknął swoim zwykłym głosem. – Klucze... wpływają na mnie... Więc jak mamy uciec, kiedy zdobędziemy Szósty Fragment, doktorze?

– Nie wiem, lordzie Arthurze, marny ze mnie strateg... Wiem tylko tyle, że jeśli użyjesz Klucza, już w następnej chwili zostaniesz zaatakowany. Jeśli będziesz wyjątkowo szybki, być może umkniesz, nim rzucą na ciebie zaklęcie. Niewykluczone, że jesteś zbyt silny nawet dla setek lub tysięcy czarnoksiężników, ale wystarczy, by zatrzymali cię na zaledwie kilka minut, co pozwoli Sobocie wkroczyć do akcji.

– A Szósty Klucz jest najmocniejszy na własnym terytorium – mruknął Arthur. – Właściwie co to znaczy, że mnie otorbią?

Scamandros się wzdrygnął, a jego tatuaże przybrały niezdrową, zielonkawą barwę.

– Zostaniesz przeniecony, czy też wyrócony na drugą stronę, i uwięziony wewnątrz torby, stworzonej z twoich własnych płynów organicznych, które następnie ulegną witrifikacji, jak szkło.

– Obrzydliwe! Gdyby do tego doszło, to oczywiście umrę, prawda?

– Nie, jeśli już się zaliczasz do grona Rezydentów. W stanie otorbienia mogą przetrwać kilka miesięcy, nawet do roku. Sobota niekiedy rozwieszała otorbiałych to tu, to tam, dla przestrogi, jednak za moich czasów ta kara była rzadkością.

– To brzmi lepiej niż stryczek – podsumowała Suzy pogodnie, ale zaraz potem

zmarszczyła brwi. – Nie pamiętam żadnej egzekucji, choć chodziłam na nie z mamą. Zawsze zabierała drugie śniadanie owinięte w biały obrus...

Zawiesiła głos, usiłując sobie przypomnieć dawno minione, ludzkie życie.

– Ja również będę musiał dać ci coś do owinięcia Piątego Klucza – ciągnął Scamandros. – Trzeba ukryć jego magiczne emanacje. Mam coś takiego, gdzieś tutaj... Ale najpierw dokończę komponowanie zaklęcia, więc gdybyście oboje zechcieli łaskawie zamilknąć i odwrócić się na kilka minut, byłbym wdzięczny. Absolutnie nic nie może innie rozpraszać.

Arthur i Suzy spełnili prośbę Scamandrosa. Arthur odchylił jedną z gustownych zasłon i zapatrzył się na fale, które podchodziły niemal pod iluminator. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w rozkołysaną szarozieloną wodę z białymi grzywami fal. Na kilka minut udało mu się oczyścić umysł z wszystkich kłopotów i tylko obserwować bezkresne morze...

– Gotowe! – ogłosił Scamandros.

Arthur i Suzy odwrócili się do niego. Gipsowe odciski łap oraz szczurze włosy znikły, kałamarz po aktywnym atramencie był pusty. Scamandros w jednej dłoni trzymał puszkę z szarą farbą, a w drugiej duży pędzel.

– No dobrze, rozbierajcie się. Muszę was pomalować.

Suzy ściągnęła sfatygowany kapelusz i zabrała się do rozpinania płaszcza.

– Zaraz, zaraz, momencik. – Arthur poczerwieniał z zakłopotania. Przywykł do wspólnych łazienek w Chwalebnej Armii Architektki, ale nikt nigdy nie rozbierał się tam do naga. Poza tym miał wtedy do czynienia z Rezydentami. Suzy, choć zwykle o tym nie myślał, była niemal całkiem zwyczajną, ludzką dziewczyną. – Dlaczego mamy ściągnąć ubrania?

– Farba ma charakter transformacyjny, przygotowuje was do przeobrażenia się w Szczury w Wyproście – wyjaśnił Scamandros. – Zaklęcie aktywacyjne napiszę na skórcie sera, a gdy go zjecie, staniecie się Szczurami w Wyproście. Tak sędzę.

– W porządku – mruknął Arthur. Znowu odwrócił się do okna i niechętnie rozebrał.

– Dobrze, że nie ma tutaj żadnych bibliofagów, które miałyby chrapkę na coś pisanego – zauważyła Suzy – Arthur, całe ubranie masz zabazgrane. Tak się teraz robi na



Ziemi?

– Tak – odparł Arthur, odetchnął głęboko i ściągnął bieliznę. – Do dzieła, doktorze.

– Teraz ja jestem malowana – oświadczyła Suzy. – Musisz poczekać. Uch, zimna farba!

Arthur miał ochotę kazać Scamandrosowi się pośpieszyć, ale ugryzł się w język i znowu skupił na widoku za bulajem. Nie wiedział, co zrobić z dłońmi. Gdyby oparł je na biodrach, na golasa wyglądałby komicznie. Równie niedorzecznie prezentowałby się z opuszczonymi kończynami. W końcu postanowił stać z założonymi rękami, choć i taka poza nie wydawała mu się szczególnie korzystna.

– No dobrze, lordzie Arthurze, zaczynamy – zdecydował Scamandros. W następnej sekundzie Arthur poczuł na plecach dotyk pędzla zanurzonego w zimnym płynie i wzdrygnął się z niechęcią.

– Stój spokojnie! – poinstruował go Scamandros. – Nie mogę zmarnować ani kropli.

Arthur zacisnął zęby i znieruchomiał, podczas gdy Scamandros szybko pokrył go farbą od stóp do głów.

– Bardzo dobrze, lordzie Arthurze. Teraz zechciej się odwrócić, jeśli łaska.

Arthur zamknął oczy i powoli się odwrócił. W tej samej chwili usłyszał pukanie do drzwi i dobiegający zza nich głos Szczura w Wyproście.

– Przyniosłem ser, proszę pana! Zostawiam go na progu.

– Ręce do góry, lordzie Arthurze – zakomenderował Scamandros wesoło.

Arthur jeszcze mocniej zacisnął powieki i pośpiesznie uniósł ręce.

Znowu drgnął, gdy farba spływała mu po wrażliwych na dotyk miejscach.

– Gotowe! – powiedział Scamandros.

Arthur otworzył oczy i opuścił wzrok. Spodziewał się, że ujrzy swoje ciało pomalowane na szaro, a tymczasem jego skórę porastało gęste, grafitowe futro, osłaniające go od kostek do nadgarstków niczym włochaty kombinezon płetwonurka. Choć sierść do pewnego stopnia zasłaniała części intymne, Arthur pośpiesznie usiadł ze skrzyżowanymi nogami i położył płaszcz na kolanach.

– Nie będziecie mieli ogonów – westchnął Scamandros ze smutkiem. – Nie

potrafiłem ich dorobić. Na szczęście całkiem sporo Szczurów radzi sobie bez ogonów, utraconych podczas walk na morzu czy gdzie indziej.

Podniósł kawałek sera, przelamał go na dwie równe części i zaczął po nich pisać pawim piórem, maczanym w maleńkim jak paznokieć małego palca Arthura kałamarzu z aktywnym atramentem.

– Futro to całkiem niezła sprawa – zauważyła Suzy. – Można sobie odpuścić pranie i zmianę ubrania.

Arthur uniósł brwi.

– Oczywiście ja piorę i zmieniam ubrania – dodała Suzy szybko. – Ale ubrania Rezydentów zwykle same się czyszczą i dostosowują rozmiarem. Ciekawe, czy to futro paprze się w deszczu...

– Ser gotowy – przerwał jej doktor Scamandros i podniósł dwa żółte trójkątne kawałki sporej wielkości.

– Mamy to wszystko zjeść? – Arthur nie wydawał się zachwycony tą perspektywą.

– Hm, może niekoniecznie... – Scamandros się zawahał. – Dwie trzecie chyba powinno wystarczyć... Niemniej lepiej byłoby zjeść jak najwięcej.

– Dobrze – westchnął Arthur. – Teraz musimy poczekać, aż porucznik Wąsnob otworzy nabuchodonożora... Och, prawie zapomniałem. Miałeś mi coś dać, żebym zamaskował Klucz.

Doktor Scamandros pokiwał głową i przez chwilę szperał w płaszczu, zanim wyjął wygnieciony skrawek połyskliwej tkaniny, która wyglądała jak wymięty kapelusz z folii aluminiowej. Wygładził go i rozchylił brzegi, a wtedy się okazało, że to mała, prostokątna torba.

– Włóż tutaj Klucz, to go nie wywęszą. – Podał chłopcu torbę. – Chyba że znajdą się bardzo blisko i będą go szukali.

Arthur włożył do środka magiczne zwierciadło i mocno ściągnął sznurek. Po namyśle ponownie otworzył torbę i wsunął do niej Słonia. Zanim zawiązał sznurek, włożył tam jeszcze medal Żeglarsza, który nosił na nitce dentystycznej obwiązanej na szyi, po czym porządnie splątał końce sznurka i przywiązał go do lewego nadgarstka.

– Ser dokończy waszą przemianę – wyjaśnił Scamandros.

– Szczury w Wyproście zwykle noszą ubrania, więc i my powinniśmy coś na siebie włożyć – zauważył Arthur. – Przydałyby się nam marynarskie spodnie albo coś w tym stylu. Co jest w tej skrzyni?

Nikt się nie ruszył.

– Suzy, gdybyś zechciała tam zerknąć, bardzo proszę.

Suzy w końcu podeszła bliżej, uchyliła wieka i poszperała w środku. Po chwili wyjęła kilka bardzo eleganckich mundurów, które z pewnością należały do porucznika Wąsnoba, i podała Arthurowi bryczesy oraz białą koszulę. Sama ubrała się podobnie. Rzuciła jeszcze tęskne spojrzenie na długi frak z misternymi, błękitnymi wzorami i niechętnie odłożyła go do skrzyni.

– Proszę mieć baczenie na moje klamoty, doktorze – zwróciła się do Scamandrosa. – Kiedyś będą jeszcze mi potrzebne.

– Chyba możemy ruszać – zdecydował Arthur. Podniósł ser i zerknął na Suzy, która również podniosła swój kawałek, zupełnie jakby zamierzała wznieść toast. – Smacznego! – oświadczył i zatopił zęby w żółtej bryle.

Ser nie był zbyt smaczny. Arthur przełknął dwa spore kęsy i nagle zrobiło mu się niedobrze, a kajuta gwałtownie zawirowała. Chciał coś powiedzieć na temat morskiej choroby, lecz zamknął usta. Kręciło mu się w głowie, bo się kurczył, a jego oczy się przemieszczały. Zmieniało się jego pole widzenia – z trudem dostrzegał przedmioty bezpośrednio przed sobą, ale za to znacznie więcej zauważał po bokach, a kajuta wydawała mu się jaśniejsza niż jeszcze przed chwilą.

– Doskonale! – uradował się Scamandros. Wytatuowane Szczury wybiegły stadem spod jego fulara i pocwałowały ku czołu. – Udało się!

– Fakt – zgodził się Arthur. Popatrzył na dziwne, skrócone ręce i zauważył, że są zakończone różowymi łapkami. – Jestem Szczurem w Wyproście.

Jego głos stał się wyższy i lekko chrapliwy. Uniósł łapę, żeby sprawdzić, czy torba z Kluczem i Słoniem jest na miejscu. Wydawała się znacznie cięższa, ale nadal była bezpiecznie przywiązana.

Arthur powoli zaczął się ubierać, niezdarnie przebierając łapami tak długo, aż w końcu przyzwyczał się do nich oraz do odmiennego widzenia. Gdy dopinał rozporek, do drzwi zapukał porucznik Wąsnob i nie czekając na odpowiedź, od razu wszedł. Na widok

Arthura zasalutował, na co chłopiec uprzejmie pochylił pysk.

– Lordzie Arthurze, czy jest pan gotowy na skorzystanie z nabuchodonzora? – spytał Wąsnob.

– Tak – potwierdził Arthur.

– Mają państwo doskonale stroje, jeśli wolno zauważyć – pochwalił ich Wąsnob.

– Pierwszorzędny wybór. A teraz obrót z jednej, obrót z drugiej strony...

Ściągnął druciane zabezpieczenie korka, przekręcił go delikatnie i wysunął. Towarzyszył temu dźwięk zgrzytania paznokciami po tablicy, a na koniec rozległo się zaskakująco ciche pyknięcie i Wąsnob cofnął się z korkiem w objęciach.

Z butli wydobyła się smużka czarnego, gryzącego dymu węglowego.

– Muszą państwo wskoczyć prosto w środek szyjki – poinstruował ich Wąsnob. – Wystarczy porządnie odbić się od ziemi i wyciągnąć łapy przed siebie. O ile to możliwe, należy unikać kontaktu ze szkłem.

– Dziękujemy, panie poruczniku – odparł Arthur. – I tobie, doktorze. Mam nadzieję, że zobaczymy się w Cytadeli.

– Powodzenia, lordzie Arthurze. – Czarnoksiężnik uklonił się uprzejmie. – Zakłęcie powinno trwać kilka godzin, jak mniemam.

– Dalej, Arthurze! – zawołała Suzy, podbiegła do wylotu butelki i znieruchomiała, gotowa dać susa. – Kto ostatni, ten śmierdzący szcz... ehem... szczeniak.

Arthur odciągnął ją za kark.

– Nie tym razem, Suzy. Idę pierwszy.

Suzy niechętnie ustąpiła, ale nie stawiała oporu, kiedy ją odsuwał. Nawet jako Szczur w Wyproście Arthur był niewiarygodnie silny, jednak nie uświadamiał sobie, że zdoła unieść jedną łapą kogoś, kto waży tyle, co on.

Uporawszy się z Suzy, Arthur kilka razy podskoczył w kajucie, żeby nabrać wprawy. Następnie wyciągnął łapy, cofnął się i stanął w otwartych drzwiach, twarzą do odkorkowanej szyjki symultanicznego nabuchodonzora. Nadal sączył się z niego dym, a wewnątrz pozostawało mroczne i ponure.

„Odwaga i głupota bywają bliskimi krewnymi”, pomyślał Arthur.

Ugiął nogi, pognał przed siebie i zanurkował prosto w szyjkę butli. Wisiał w powietrzu, gdy przysła mu do głowy nieoczekiwana myśl.

„A jeśli Szczury w Wyproście kłamią i butla przeniesie mnie w zupełnie nieoczekiwane miejsce?”

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Arthur zakładał, że przed przeniesieniem wyląduje w zielonej, szklanej butli i spędzi w niej przynajmniej kilka sekund. Tymczasem od razu wyskoczył z szyjki zupełnie innego nabuchodonozora z błyszczącego, niebieskiego szkła i runął na podłogę, którą była żelazna krata w romby. Upadek okazał się bolesny, na futrze chłopca odcisnął się wyraźny ślad kratownicy.

Przetoczył się, żeby wyhamować, i natychmiast wstał. Nie zdążył jednak się rozejrzeć, bo wpadł na niego Szczur w Wyproście, w którym z trudem rozpoznał Suzy, i oboje ponownie rozpląszczyli się na podłodze. Gramolili się niezdarnie, gdy zabrzmiał chrapliwy, przyciszony głos:

– Szybciej! Pomóżcie mi przesunąć butlę! Oni tu będą za minutę lub dwie!

Arthur zerwał się na równe nogi i powiódł wzrokiem dookoła. Niebieski nabuchodonor spoczywał na wiązonym, drewnianym wózku, osadzonym na krzywych kołach. Popychało go najdziwniejsze i najbrzydsze dziecko Szczurołapa, jakie Arthur kiedykolwiek widział. Miało na sobie czarną pelerynę i ozdobiony piórem kapelusz z szerokim rondem, ale nawet w cieniu ronda Arthur wyraźnie widział guzowatą twarz i absurdalnie wielki nos.

Nabuchodonor, Arthur, Suzy i paskudne dziecko Szczurołapa znajdowali się na szerokim metalowym chodniku podwieszonym u sufitu na rozmieszczonych co kilka metrów brązowych prętach. Przejście nie miało jednak barierek, a wszystko dookoła spowijały dym i para.

Arthur ostrożnie wyjrzał poza krawędź podłogi. W dole nie dostrzegł nic, ani śladu gruntu. Wszędzie kłębiły się chmury czarnych wyziewów – słycać było sapanie, syk i niski, basowy łomot niewidocznych, ale potężnych silników parowych.

Dymne obłoki wirowały i przetaczały się, a w pewnej chwili wyłoniła się zza nich górna połowa gigantycznego koła z brązu, wielkością dorównującego domowi. Konstrukcja obracała się nieśpiesznie, lecz zanim Arthur dostrzegł, z czym jest złączona albo do czego służy, napłynęła nowa fala dymu i zupełnie zasłoniła widok.

Czarna chmura rozpląnęła się bliżej chodnika, ukazując koniec wielkiej

zardzewiałej szyny ze stali, długiej jak trzy szkolne autobusy ustawione jeden za drugim. Szyna wznosiła się w dymie niczym wylaniający się spod wody wieloryb, a następnie opadała i z gardłowym sykiem nikła w głębinach przemysłowej mgły.

Metalowa podłoga z kratownicy wibrowała w rytmie dudnienia silników, a pręty z brązu wyczuwalnie drżały. Arthur z niepokojem zauważył na nich nalot i zorientował się, że konstrukcja jest słaba, choć nie potrafił powiedzieć, jak tego typu pręty zostały przymocowane do kamiennego sklepienia. Sufit tworzyła jednolita, jasna skała, ale większa część jego powierzchni pokryta była sadzą i przypominała brudny dywan z kruczocznego pluszu.

– Dalej! Pchajcie ze mną! – krzyknęło dziecko Szczurołapa, które usiłowało ruszyć butlę z miejsca.

Arthur ostrożnie przebiegł obok naczynia z prawej strony, Suzy z lewej. Jednocześnie przycisnęli ramiona do podstawy nabuchodonożora i napaarli. Wózek zaskrzypiał, ale potoczył się naprzód, powoli nabierając prędkości. Po drodze niebezpiecznie zbaczał ku krawędzi, więc trójka pchających musiała bezustannie zachowywać czujność.

– Musimy przewieźć butlę do magazynu smarów – wydyszało dziecko Szczurołapa. – Na nowo napełnimy ją olejem i uciekniemy. Wy też będziecie musieli się zamaskować.

Arthur z uwagą przyjrzał się dziecku, które dotąd uważał za chłopca. W rzeczywistości pod kapeluszem ze szkarłatnym piórem nie skrywał się człowiek, lecz Szczur w Wyproście, w masce z *papier mache*, pomalowanej tak, żeby przypominała ludzką twarz. Absurdalnie wielki nos maskował szczurzy pysk.

– Lord Arthur, jak miemam – zauważył Szczur. – Jeżyszczet, do usług.  
– Miło pana poznać – odparł Arthur. – To moja przyjaciółka Suzy.  
– Generał Suzy Turkusowy Błękit – prychnęła Suzy.  
– Witamy w Wyższym Domu, pani generał – oznajmił Jeżyszczet. – Za chwilę skręcamy w lewo, musimy się śpieszyć.

Chodnik kończył się w innym, szerszym przejściu. Przepychanie wózka tak, żeby nie zrzucić go w przepaść i samemu nie spaść, nie było łatwe, ale w końcu udało się skierować go w lewo. Na szerszej drodze nabuchodonożor toczył się znacznie szybciej.

Jeżyszczet bezustannie się odwracał i spoglądał za siebie. Arthur również zerknął, co się dzieje za jego plecami, lecz ujrzał tylko gęsty, siwy dym, sporadycznie przetykany jeszcze gęstszymi, ciemniejszymi pasemkami innych wyziewów. Nie dziwiło go już, że gazy nie mają na niego żadnego wpływu. Zapach spalenizny wręcz mu się podobał, choć wiedział, że jego dawne, ludzkie płuca szybko przestałyby funkcjonować w toksycznej atmosferze.

– Czego pan tak wypatruje? – zwrócił się Arthur do Jeżyszczeta, kiedy przepchnęli butlę jeszcze o sto metrów, lecz ani z przodu, ani z tyłu nie było widać zupełnie nic poza platformą i dymem.

– Automatycznych łowców Szczurów – wyjaśnił Jeżyszczet. – Czarnoksiężnicy wiedzą, kiedy odpalamy nabuchodonor. Dociera do nich informacja o użyciu magii, lecz dopiero po minucie lub dwóch orientują się, gdzie do tego doszło. Ponieważ znajdujemy się pod powierzchnią, wołą tutaj nie schodzić i przysyłają automatycznych łowców Szczurów. Chyba udało się nam uciec dostatecznie szybko. Skład smarów jest tuż przed nami, w skale fortyfikacji.

– Znajdujemy się pod powierzchnią Wyższego Domu? – upewnił się Arthur.

– Owszem. – Jeżyszczet stanął przed butlą, żeby ją wyhamować przed litą, brudnożółtą skałą, inkrustowaną ledwie widocznymi żyłkami jaśniejszego, fioletowego metalu. – Znajdujemy się przy fortyfikacjach między Środkowym i Wyższym Domem. Sobota kazała wydrążyć fragment górnej części umocnień, żeby umieścić tam wszystkie parowe silniki, przekładnie łańcuchowe i inną mechanikę. Gdzie jest ten przycisk dzwonka?

Szczur dotykał łapą rozmaitych wypukłości na skale, ale żadna z nich nie poruszyła się ani odrobinę.

– Przeklęty guzik ciągle się gdzieś przesuwają. Można by pomyśleć, że skonstruował go jakiś dowcipniś! – burczał Jeżyszczet.

– Coś jest za nami – odezwała się Suzy. – Widziałam, jak chowało się pod chodnikiem.

– Łowca Szczurów! – syknął Jeżyszczet. Sięgnął pod nabuchodonor, wy dobył z wózka trzy długie, zakrzywione noże i wręczył po jednym Suzy oraz Arthurowi. – Są opancerzeni, więc trzeba ich trafić prosto w czerwony punkt z przodu głowy. Pewnie to



takie ich oko, tak myślę. Tylko należy uważać na szczypce i czułki, przypominają macki mątwy z Czarnych Wód.

Nie przerywając, opuścił maskę, która teraz wisiała mu pod pyskiem i nie ograniczała widoczności. Czarnymi jak węgiel oczami wodził gwałtownie na wszystkie strony, a jego nos drżał, gdy usiłował wywęszyć nadciągającego wroga. Nagle ruszył przed siebie z uniesionym nożem.

– Gdzie jest... – zaczęła Suzy, ale urwała, bo spod chodnika nieoczekiwanie wyskoczył automatyczny łowca Szczurów i runął naprzód w błysku stalowych tarcz i przy wtórze cichego pobrzękiwania, podobnego do tego, jaki wydaje potrząsany bilon w skórzanej portmonetce. Automat przypominał monstrualną, metalową modliszkę. Na widok Szczura rozwarł potężne szczypce i groźnie wyciągnął je do przodu. W tym samym momencie jego niewiarygodnie długie, ostre jak brzytwa czułki zamachnęły się na Arthura i Suzy.

Jeżyszczet przykucnął i uchylił się przed szczypcami, a następnie zaatakował przegub ramienia automatu. Sprawnie wepchnął lewe szczypce w prawe, dzięki czemu maszyna sama się unieruchomiła. Suzy odskoczyła od czułka, który jednak skaleczył ją na wysokości piersi i usiłował owinąć się jej wokół szyi, żeby odciąć głowę, ale odbiła mackę nożem i dała nura pod wózek z nabuchodonożem.

Arthur instynktownie odparował cios ostrzem, które obrócił, żeby uwięzić czulek. Następnie bez zastanowienia chwycił go i pociągnął. Krawędź macki rozcięła mu dłoń. Poczuł przeszywający ból, lecz udało mu się wyrwać czulek. Z głowy łowcy Szczurów wytrysnęła fontanna iskier.

– W czerwone oko go! – wrzasnął Jeżyszczet. – Póki ma zakleszczone szczypce!

Arthur pognał przed siebie. Automat usiłował zdzielić go w nogi drugim czułkiem, lecz chłopiec przeskoczył nad nim i dał susa tak wysoko, że wylądował na plecach łowcy. Maszyna cofnęła się gwałtownie, lecz Arthur chwycił ją za trójkątny łeb i wbił nóż głęboko w umieszczoną centralnie czerwoną gałkę. Torebka z Piątym Kluczem zagrzechotała o zachodzące na siebie metalowe płyty pancerza łowcy, gdy Arthur jeszcze kilka razy zanurzał broń w jego głowie. Machina ostatecznie wydała z siebie wysoki, niemal elektroniczny pisk i powoli zwała się na chodnik, a jej tylne kończyny zwisały nad przepaścią.

Arthur zszedł ostrożnie, żeby niesprawna maszyna nie osunęła się poza krawędź kratownicy i nie pociągnęła go ze sobą w dymną głębinę. Gdy tylko stanął na własnych nogach, Jeżyszczet zabrał się do spychania mechanizmu z chodnika.

– Potrafią wytropić taki złom – wyjaśnił. – Gdy któryś z nich zostaje zniszczony, inne przybywają na poszukiwanie szczątków.

Gdy Arthur pomógł mu usunąć żelastwo, Suzy wygramoliła się spod wózka i w ostatniej chwili wymierzyła łowcy nieszczególnie potrzebnego, ale z pewnością satysfakcjonującego kopniaka.

– W porządku. Otworzę drzwi – zapowiedział Jeżyszczet i popatrzył na Arthura z podziwem. – Dobra robota, lordzie Arthurze.

– Dzięki – odparł Arthur z roztargnieniem. Kiedy spojrzał na łapę, rana niemal całkiem się zasklepiła, a złocista krew, wysychając, zniknęła. Poniewczasie przypomniał sobie, że również Suzy jest ranna. – Suzy, jak się miewasz?

Zajęta spoglądaniem w przepaść Suzy odwróciła się do chłopca. Jej koszula była rozcięta, dzięki czemu Arthur ujrzał krwawą krechę na futrzanym brzuchu przyjaciółki. Krew nie była ani niebieska jak u Rezydenta, ani całkowicie czerwona jak u człowieka. Jej barwa wydawała się mieszkanką tych dwóch kolorów.

– E tam, bywało gorzej – zbagatelizowała sprawę Suzy. – Gdybym miała na sobie swój stary płaszcz, macka nawet nie drasnęłaby skóry. Za dzień, dwa porobią się strupy i będę zdrowa jak koń.

– Znalazłem! – obwieścił Jeżyszczet i energicznie pchnął niewielką wypukłość na skale. W następnej chwili wewnątrz zabrzmiał łoskot i na osi obróciły się wielkie, wykute w kamieniu drzwi.

– Wpychamy butlę do środka – zarządził Jeżyszczet i napał na wózek. Arthur natychmiast ruszył mu z pomocą, lecz Suzy niespecjalnie się do tego paliła. Skrzywiła się, gdy przycisnęła ramię do nabuchodonzora.

Za drzwiami, które po chwili zamknęły się ze zgrzytem, rozpościerała się topornie wyrąbana kamienna komora o wielkości malej auli z bardzo wysokim sufitem. Wzdłuż ścian stały wielkie szklane butle, takie same lub większe od symultanicznego nabuchodonzora, a przed nimi znajdowały się liczne mniejsze butelki, słoje, dzbany, urny i inne pojemniki ze szkła, metalu albo kamionki.

Przy jednej ze ścian dostrzegli puste miejsce pomiędzy bursztynową butlą pełną ciemnego, gęstego płynu oraz trzymetrowej wysokości butlą z przezroczystego szkła, wypełnioną substancją, która wyglądała jak oliwa. Jeżyszczet wskazał łapą wolną przestrzeń i wspólnie wprowadzili do niej nabuchodonzora, którego następnie odwiązali od wózka i zaczęli podnosić.

– Przytrzymajcie go ukośnie i pochylcie nad tym naczyniem – polecił Jeżyszczet.  
– Muszę wlać do środka trochę oleju, żeby nie rzucał się w oczy. Najciemniej jest pod latarnią, wiadomo.

– Pod jaką znowu latarnią? – zdziwił się Arthur, kiedy Jeżyszczet podniósł butelkę w rozmiarze jeroboam i z wielkim trudem wlał do nabuchodonzora strumień ciemnofioletowego oleju.

– Och, tak, słyszałam już coś podobnego – mruknęła Suzy, odsunęła się od symultanicznej butelki oraz Arthura i poszła zerknąć na małe, wąskie drzwi po drugiej stronie komory.

– Trzeba ukrywać rzeczy na widoku, gdzie będą wyglądały naturalnie – wytłumaczył Jeżyszczet. – To dobry pomysł. Dobrze, teraz tylko korek i w drogę.

– W drogę? Jak to w drogę, dokąd dokładnie? – zirytował się Arthur. – Musimy zdobyć przecież jakieś ubrania, żeby mieć co na siebie włożyć, kiedy wrócimy do swojej postaci. To co teraz nosimy, nie będzie pasowało.

– Racja! – przyznał Jeżyszczet. – Sekundę.

Ściągnął kapelusz, obrócił go i wyjął ze środka małą buteleczkę, podobną do flakonu perfum, a także przedmiot, który Arthur wziął w pierwszej chwili za paczkę papierosów. Jeżyszczet wysunął z kartonika małej zwitek, sprawdził, co jest na nim napisane, odkorkował butelkę i wsadził do niej papier. Następnie wepchnął korek na miejsce i ukrył wszystko z powrotem w kapeluszu, a potem włożył go na łeb. Na koniec ponownie zasłonił pysk maską.

– To najmniejsza istniejąca symultaniczna butelka, sto dwadzieścia razy mniejsza od tej – wyjaśnił, wskazując nabuchodonzora. – Musiałem złożyć raport o waszym przybyciu. Słudzy Soboty nie potrafią wytropić takich butelek. To magia na zbyt małą skalę, żeby umieli ją zaobserwować. Idziemy.

– Spytałem, dokąd dokładnie – przypomniał mu Arthur lodowatym tonem.

„Te istoty niższego rzędu są irytujące – pomyślał. – Powinny się nauczyć natychmiastowego posłuszeństwa...”

Pokręcił głową i dotknął torby u nadgarstka, żeby wymacać Słonia. „Nie jestem rozzłoszczonym, nadętym Rezydentem wyższej rangi – powtórzył w myślach. – Jestem człowiekiem. Zachowuję się uprzejmie. Szanuję innych”.

– Na powierzchnię – odparł Jeżyszczet. – Dołączymy do Skutych Łańcuchem. Gdy powrócicie do zwykłej postaci, będziecie wyglądać jak dzieci Szczurołapa. To poczciwa banda, przyjmą was bez zbędnych pytań, no i dadzą wam ubrania.

– Doskonale – zgodził się Arthur. – Jak się tam dostaniemy?

– Wyciągiem łańcuchowym do przenoszenia smarów. Zwyczajnie chwycimy się łańcucha i on sam nas poniesie.

Wysunął mały kluczyk zza wstążki na kapeluszu i potruchtał do wąskich drzwi. Arthur dopiero teraz zauważył, że Jeżyszczet, podobnie jak on sam, jest Szczurem bez ogona. Arthur go nie miał, ponieważ Scamandrosowi zabrakło czasu na sporządzenie odpowiedniego czaru, Jeżyszczet zaś stracił ogon, po którym pozostał jedynie zmaltretowany kikut, wystający z elegancko obszytej dziury w czarnych spodniach.

Szczur w Wyproście przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Po drugiej stronie rozciągał się pionowy szyb o powierzchni płaszczyzny nieco przekraczającej metr kwadratowy. Pośrodku szybu wisiał ciężki łańcuch. Każde z jego ogniw liczyło ponad pół metra wysokości i było wykonane z czarnego żelaza.

– Musimy puścić go w ruch – powiedział Jeżyszczet. Wychylił się niebezpiecznie, daleko za próg, i mocno chwycił nieruchomy łańcuch, tak ciężki, że prawie nie zabrzączał.

Arthur wetknął głowę do szybu i popatrzył w górę oraz w dół. Łańcuch ciągnął się daleko w obie strony i ginął we wszechobecnym dymie.

– Gdy się poruszy, trzeba skoczyć i mocno się trzymać – wyjaśnił Jeżyszczet. – I to natychmiast, póki przesuwa się powoli. Potem zaczekacie, aż wam powiem, żebyście skoczyli, i wtedy skoczycie. Jeśli będziecie czekali zbyt długo, łańcuch obróci się wokół koła i zabierze was z powrotem na dół albo zmiążdży. Stańcie przy drzwiach... gotowi?

Arthur i Suzy stanęli ramię w ramię na progu. Jeżyszczet przesunął łapę i rzucił się na łańcuch, który pod jego ciężarem osunął się metr lub dwa oraz straszliwie

zazgrzytał i zagrzechotał. Następnie rozległ się szczęk, głośny jak wystrzał z pistoletu, i łańcuch ruszył do góry, zabierając ze sobą Jeżyszczeta.

Suzy skoczyła, zanim Arthur zdążył pomyśleć, że powinien zrobić to samo. Wylądowała jak należy i wspięła się o metr, tuż pod tylne łapy Szczura w Wyproście.

– Podoba mi się! – krzyknęła i znikła w górze. Łańcuch wyraźnie przyśpieszył.

Arthur przełknął ślinę i skoczył.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Arthur uderzył pyskiem o metal, ale udało mu się z niezwykłą siłą pochwycić ogniwo. Łańcuch wznosił się z prędkością sześćdziesięciu czy nawet siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Zadymione powietrze świstało tak mocno, że długie, szczurze uszy przywarły mu do łba.

– Oj – odezwała się Suzy – Co jest? – spytał Arthur i popatrzył w górę. Suzy trzymała się tylko jedną łapą, a drugą wymachiwała w powietrzu. – Co ty wyprawiasz? Trzymaj się obiema rękami... łapami... wszystko jedno czym!

– W tym rzecz! – burknęła Suzy. – Nie mogę, bo łapa zmienia mi się w dłoń i nie działa jak należy.

– Najlepiej chwycić się zębami! – zawołał Jeżyszczet i zademonstrował to na własnym przykładzie, uwiesiwszy się na imponujących kilkunastocentymetrowych siekaczach.

– Nie dam rady! – poskarżyła się Suzy – Coś dziwnego dzieje się z moimi ustami, poruszają się na wszystkie strony!

Zsunęła się po łańcuchu w stronę Arthura. Wyglądała teraz w połowie jak Szczur, a w połowie jak człowiek. Wspiął się do niej i poczuł, jak jedna szczurza i jedna ludzka stopa drapie go po głowie, a następnie opada mu na ramiona.

– Jesteśmy prawie na miejscu! – krzyknął Jeżyszczet. – Będę liczył. Na trzy skaczemy, wszystko jedno, w którą stronę.

– Nie mogę... spadam... !

Suzy zderzyła się z Arthurem, który zacisnął wielkie zębiska na ogniwie i chwycił ją jedną łapą. Nie był pewien, za co ją trzyma, bo całe jej ciało falowało i przeobrażało się, było już tylko częściowo szczurze, a marynarski strój podarł się i popękał. Przemiana wyglądała poruszająco i wydawała się bolesna.

– Raz!

Suzy wysliznęła się Arthurowi, ale zamachnął się i chwycił ją tylnymi łapami, które u Szczurów w Wyproście były niemal równie sprawne jak przednie.

– Dwa!

Wystrzelili z wąskiego szybu do wielkiego, brudnego magazynu, w dwóch trzecich wypełnionego takimi samymi naczyniami z olejem, jak komora poniżej.

– Trzy! Skok! – wrzasnął Jeżyszczet.

Arthur rozwarł zęby i nie puszczać Suzy, z całych sił odepchnął się od łańcucha. Wylądowali na skraju szybu i musiał się odczołgać od przepaści, z Suzy w objęciach tylnych łap.

Nad ich głowami rozpędzony łańcuch zniknął w szerokim kominie prowadzącym do jeszcze innej komory. Arthur dostrzegł w górze gigantyczne, błyskawicznie obracające się koło napędowe.

– Skopię Scamandrosa po łydkach, kiedy go znowu spotkam! – warknęła Suzy. Podniosła się i natychmiast upadła z powrotem, bo jej dolna połowa stała się ludzka, lecz górna nadal przypominała Szczura w Wyproście. Przy takim zachwianiu proporcji środek ciężkości Suzy przesunął się i nie była w stanie utrzymać równowagi.

– Jestem pewien, że zakłęcie wkrótce... uch... ustąpi... – Arthur stęknął w połowie zdania, osłabiony niespodziewaną falą mdłości. Jego tors wydłużył się o metr lub półtora, potem znowu gwałtownie się skurczył, a łapy zmieniły się w ludzkie kończyny.

– Mam nadzieję – mruknęła Suzy. – Dzięki, Arthurze.

Odczołgała się od szybu, a po chwili namysłu chłopiec poszedł w jej ślady. Ze względu na te wszystkie gwałtowne zmiany mógłby runąć w przepaść, gdyby pozostał zbyt blisko krawędzi.

– Doprowadźcie się do porządku, a ja w tym czasie rozejrzę się po okolicy – zaproponował Jeżyszczet. – Smarowacze, jak na siebie mówią tutejsze dzieci Szczurołapa, mają swój pokój niedaleko stąd, można się tam dostać kanałem. Nie zdołamy tam dojść górą, bo magazyn pozostaje pod obserwacją oddziału Czarnoksiężników Nadliczbowych. Przeniknę do środka, zamienię słowo ze smarowaczami i wezmę dla was ubrania.

– Niech pan nie wyjawia im naszych prawdziwych imion – poprosił Arthur. Potwornie swędziało go w nosie, ale nie umiał zapanować nad rękami na tyle, żeby się podrapać. – Niech pan im powie... dajmy na to... że jesteśmy dziećmi Szczurołapa zwolnionymi z wojska i że właśnie przeszliśmy pranie między uszami, więc nie pamiętamy swoich imion ani w ogóle niczego.

– Tak jest – potwierdził Jeżyszczet, podszedł do pobliskiego wjazdu w podłódze i uniósł pokrywę. W magazynie rozległ się huk wartko płynącej wody.

– Musicie poczekać parę minut – powiedział. – To kanał zalewowy, co pewien czas odprowadza nadmiar wody. Trzeba wstrzelić się w odpowiedni moment.

– Cisza! – rozkazał Arthur. Nadstawił szczerze ucho i spróbował się wyprostować, choć szyję miał jak z gumy. Wśród donośnego szumu pędzącej wody usłyszał wyraźne wołanie i jednocześnie poczuł znajome ukłucie bólu w głowie.

– Arthur!

Od razu się zorientował, że to Wola wzywa go po imieniu, jej głos był jednak odległy i ulotny. Jego towarzysze umilkli, więc Arthur słyszał teraz wyłącznie szum wody, podzwanianie ruchomego łańcucha w szybie oraz daleki warkot podziemnych silników.

– Słyszeliście? – spytał. – Ktoś mnie wołał po imieniu.

– Nie – odparła Suzy, która już całkowicie powróciła do normalnej postaci. Nawet podarte łachmany po szczurzych spodniach i koszuli wydawały się całkiem na miejscu, zważywszy na jej zwyczajowy dobór odzieży. – Nic kompletnie.

– Ani ja, niestety – przyłączył się Jeżyszczet. – A muszę przyznać, że dzięki swojemu słuchowi wygrałem niejednen Turniej Nasłuchowy we flocie.

– Mniejsza z tym – mruknął Arthur.

„Głos z pewnością rozległ się w mojej głowie – pomyślał. – Tak samo przemawiał do mnie Karp... Ale z bardzo daleka. A może ten fragment tylko na chwilę zdołał się wyrwać z niewoli?”

Szum wody przycichł, a wtedy Jeżyszczet uchylił kapelusza i wskoczył do kanału. Arthur i Suzy usłyszeli plusk, kiedy lądował w wodzie.

– Tam na górze jest okno – zauważyła Suzy i wskazała dużą, brudną i pokrytą kroplami deszczu szybę, znajdującą się za żelaznymi prętami. Okno osadzone było w nitowanej, żelaznej ścianie, wysokiej na cztery metry. – Gdybym wdrapała się po tych butlach i stanęła na korku żółtej, pewnie mogłabym wyjrzeć na zewnątrz.

Przez okno wpadało przygaszone, szarawe światło. Arthur popatrzył w górę i po raz pierwszy dotarło do niego, że wzrok mu się poprawił. Widział całkiem nieźle, chociaż w magazynie paliła się tylko jedna słaba latarnia wysoko pod sufitem. Na jednej ze ścian



było aż sześć okien, ale nieszczęśliwie poprawiało to sytuację.

– Suzy, czy tu jest jasno? – spytał.

– Tu? Gdyby nie okna i ta latarnia, byłoby ciemno choć oko wykol. Zresztą nawet okna i latarnia niewiele dają – odparła Suzy i zaczęła się wspinać z jednej szyjki butli na drugą, zmierzając do okna po tych prowizorycznych schodach. – Zdaje się, że jest dzień, ale pada.

– Widzisz coś? – Arthur prawie całkiem odzyskał dawną postać, z wyjątkiem dłoni, które nadal były łapami. Na dodatek nie potrafił nad nimi zapanować: obie podrygiwały i trzęsły się irytująco na wszystkie strony. Już kilka razy strzelił się w twarz i z pewnością oberwałby mocniej, gdyby nie odzyskał kontroli nad rękami i szyją, dzięki czemu mógł się uchylać przed ciosami. Ubranie miał w strzępach, ale nie narzekał, bo przy jego zwykłym wzroście w szczurzych rzeczach i tak byłoby mu nieznośnie ciasno.

– Deszcz – odparła Suzy. – I niewiele więcej. Jest jeszcze bardzo wysoki budynek, cały w zielonych światłach.

– Au! – jęknął Arthur, gdy łapy przeobraziły się w dłonie, lecz nadal podrygiwały i tłukły palcami o podłogę. – Dość! Wystarczy!

Poczuł mrowienie w dłoniach, które w końcu się uspokoiły. Rozluźnił palce i odetchnął z ulgą. Ponownie był sobą i panował nad sytuacją.

Suzy ostrożnie zeszła na ziemię. Oboje zbliżyli się do włazu. Do kanału prowadziła żelazna drabina, której koniec znajdował się w łukowato sklepionym przejściu z małych czerwonych cegieł. Pośrodku płynął cienki strumyk, ale wilgoć na ścianach świadczyła o tym, że woda podnosi się niemal do wysokości włazu. Tak właśnie było zaledwie na kilka minut przed tym, jak Szczur w Wyproście wyruszył w drogę.

Suzy natychmiast chciała zejść po drabinie, lecz Arthur odciągnął ją od wejścia.

– Zaraz, zaraz! Poczekajmy na Jezyszczeta. Potrzebujemy odpowiednich ubrań, a poza tym w każdej chwili może popłynąć nowa fala wody.

– Tak tylko patrzyłam – burknęła Suzy.

– Jak tam twoja rana? – Arthur zmienił temat.

Suzy opuściła wzrok i pomacała się po podartej koszuli na piersi.

– Znikła! – wykrzyknęła. – A przecież normalnie goiłaby się ze cztery dni!

– Podejrzewam, że zaleczyła się w trakcie transformacji – domyślił się Arthur.

– Może jednak nie skopię starego doktora – rozpogodziła się Suzy.

– Cieszę się, że z tobą lepiej. – Ukląkł i zajrzał do kanału zalewowego. Chociaż nie było tam żadnego źródła światła, widział wszystko na długości ładnych kilkunastu metrów. Wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl, więc wyprostował się i uważnie popatrzył na Suzy. Jej oczy wyglądały tak samo jak zawsze: były ciemnobrązowe, ciekawskie i bystre. – Suzy, czy moje oczy nadal są takie jak u Szczura w Wyproście?

– Nie, zrobiły się jasnoniebieskie. W atramentowni mówi się o takim kolorze chabrowy błękit, ale twoje oczy tak jakoś błyszczą. Pewnie to dlatego, że Klucze robią z ciebie... to, co z ciebie robią.

– Rezydenta – dopowiedział Arthur ponuro.

– Gdzie tam – mruknęła. – Nawet Wyższy Rezydent nie wygląda jak ty. Kiedy wróci ten cały Jeżyszczet, powinieneś wybrudzić sobie twarz smarem, żeby uchodzić za jednego z nas.

„Już nikt nie pomylił mnie z dzieckiem Szczurołapa”, pomyślał Arthur z nieoczekiwanym smutkiem.

Suzy uniosła głowę, wyczuwając jego nastrój.

– Nie przestaniesz być Arthurem Penhaligonem – zapewniła go. – Nie staniesz się wyjątkowo bystry ani niesamowicie odważny, ale pozostaniesz gotowy na wszystko. Tak to widzę. Będziesz trochę jak mój młodszy brat, tylko wyższy ode mnie. – Umilkła i zmarszczyła brwi. – Chyba miałam kiedyś młodszego brata. Nie wiem, czy tutaj, czy w domu, czy gdzie indziej...

Umilkła i przelotnie skrzyżowali spojrzenia. Oboje pamiętali Niebawale Schody oraz odwiedzin w pierwszym domu Suzy, daleko na Ziemi, w odległych czasach, w mieście objętym dżumą. Jeżeli Suzy miała kiedyś brata, zapewne zmarł on w dzieciństwie, dawno temu, jako ofiara epidemii.

To przywiodło Arthurowi na myśl współczesne zarazy, które nawiedziły jego okolice. Przed oczami stanął mu Bezskóry Chłopiec, przypomniał sobie także telefon od brata i ostrzeżenie przed atakiem jądrowym na Szpital Wschodni. Czuł narastającą falę niepokoju, ciężar odpowiedzialności wręcz go przytłaczał. Musiał odnaleźć Wolę i pokonać Sobotę, a następnie wrócić do domu, żeby powstrzymać nuklearne bombardowanie...

– Nieoddychanie to kiepski pomysł – odezwała się Suzy, przerywając napad paniki Arthura. Dla pewności klepnęła go w plecy, a wtedy gwałtownie zaczerpnął powietrza.

– Wiem – wykrztusił. – Chodzi o to, że...

– Ahoj, dzieci!

Jeżyszczet wygramolił się z kanału zalewowego, objuczony wielką torbą z napisem „Pranie”, obrócił ją do góry dnem i wytrząsnął zawartość. Na podłogę wyleciała sterta odzieży i butów.

– Bierście, co chcecie – oznajmił. – Ubrania powinny dostosować się rozmiarem, jeśli nie są zbyt zużyte. Dla pewności wybrałem kilka kompletów.

Arthur przyjrzał się bardzo brudnym, jasnym kombinezonom z mnóstwem kieszeni, po czym wybrał jeden z nich. Zawahał się, ale ściągnął podarte szmaty i błyskawicznie się przebrał. Kombinezon od razu zmienił rozmiar, żeby się dopasować, kilka plam oleju przewędrowało na bardziej strategiczne pozycje, a niektóre pokłóciły się, żeby dowieść swojej dominacji.

– Dziwne te ubrania – mruknęła Suzy z powątpiewaniem. Włożyła kombinezon, ale oddarła fragment starego, niebieskiego stroju i przewiązała się nim jak paskiem.

– Później dostaniecie robocze pasy – zapowiedział Jeżyszczet.

– Lubię czasem dodać trochę koloru – prychnęła Suzy.

– Tam są buty. – Jeżyszczet wyciągnął rękę. – Będziecie ich potrzebowali do wspinaczki, skoków i w ogóle.

– Wspinaczki i skoków? – zdziwił się Arthur, ale usiadł i włożył buty. Uszyte z miękkiej skóry, miały dziwne podeszwy, pokryte drobnymi mackami, niczym ukwiały. Gdy Arthur ich dotknął, pochwyciły jego palec.

– Wszystko powyżej poziomu ziemi wykonane zostało z segmentów biurowych – wyjaśnił Jeżyszczet. – Są to otwarte, żelazne sześciany o kratowanej podłodze, ustawiane jeden na drugim i przesuwane po konstrukcji szyn prowadzących. Ich transport w górę, w dół i na boki jest możliwy dzięki łańcuchom wyciągowym. Dzieci Szczurołapa pełnią tutaj funkcję smarowaczy: dbają o oliwienie łańcuchów, odblokowują je w razie potrzeby, serwisują rury poczty pneumatycznej i tak dalej. To wszystko wymaga bezustannych wspinaczek oraz skoków. Jeżeli zamierzacie rozejrzeć się po Wyższym

Domu, musicie udawać smarowaczy.

– Kto powiedział, że będziemy się rozglądali po Wyższym Domu? – spytał Arthur podejrzliwie.

„Może powinienem od razu zabić tego Szczura – pomyślał nieoczekiwanie. – Za dużo wie i raczej już mi się nie przyda... Dość! Dość! Nie wolno mi tak myśleć...”

– Wiadomość o waszym przybyciu zawierała informację, że będziecie czegoś szukali, i w związku z tym polecono mi udzielić wam pomocy w granicach rozsądku.

– Rozumiem. – Arthur odgonił paskudne, samolubne myśli, które kłębiły się w głębinach jego umysłu. – Dziękuję. Rzeczywiście, czegoś szukamy. Szczerze mówiąc...

Odetchnął głęboko i postanowił iść na całość. Musiał okazywać innym zaufanie, nawet jeśli chodziło o Szczury w Wyproście, Rezydentów, czy też dzieci Szczurołapa.

– Szukam Szóstego Fragmentu Woli Architektki. Jest gdzieś tutaj, utkwiał w pułapce albo został uwięziony, Słyszał pan coś o nim?

Jeżyszczet ściągnął kapelusz i podrapał się w głowę, Potem ściągnął maskę i podrapał się po nosie, a na koniec włożył z powrotem jedno i drugie.

– Niestety, nie – odparł. – Ale niewykluczone, że smarowacze...

– Możliwe – przerwał mu Arthur. – Najpierw chciałbym ich sprawdzić, więc prosiłbym pana o zachowanie tych informacji tylko dla siebie. Proszę pamiętać: dopiero co opuściliśmy armię i zrobiono nam pranie między uszami.

– Tak jest, będę to miał na uwadze – zgodził się Jeżyszczet. – My, Szczury w Wyproście, jesteśmy dobrzy w dochowywaniu tajemnicy. Gotowa do drogi?

Pytanie skierował do Suzy, zajętej zabawą z podeszwą jednego z butów.

– No chyba – potwierdziła i wsunęła but obuwie na stopę. – Do kanału?

– Tak, musimy unikać Czarnoksiężników Nadliczbowych, jak już zaznaczyłem. Powinniśmy mieć godzinę i trochę do następnego spustu.

– Skąd pan to wie? – Arthur popatrzył w okno. – To chyba zależy od deszczu, prawda?

– Do pewnego stopnia. – Jeżyszczet pierwszy zaczął schodzić po drabinie. – Tutaj zawsze pada z niezmienną intensywnością. Dlatego z dużą precyzją można zaplanować pokonywanie kanałów zalewowych i tuneli burzowych.

– Zawsze pada? – zdumiał się Arthur. – Dlaczego?

– Ona lubi deszcz – wyjaśnił Jeżyszczet. – Albo parasole.

Nie ulegało wątpliwości, że Szczur miał na myśli Dostojną Sobotę. Arthur coraz częściej myślał o niej jak o swoim największym wrogu, będącym przyczyną nie tylko jego kłopotów, lecz także problemów całego Domu oraz otaczającego go Wszechświata.

Teraz znajdował się na jej terytorium. Gdzieś nad jego głową przebywała ona sama i tysiące jej czarnoksiężników, ale miał nadzieję, że nie zdaje sobie sprawy z jego obecności. Być może jednak wiedziała, iż Arthur jest już w zasięgu jej mocy.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tak jak zapowiedział Jeżyszczet, kanału zalewowego nie wypełniła pędząca woda, choć w duchu Arthur trochę się tego obawiał. Przez całą drogę uważnie nasłuchiwał odgłosu nadciągającego żywiołu, gotów pędzić z powrotem do magazynu. Gdy w końcu ujrzał przed sobą drabinę, omal nie podeptał Jeżyszczeta i nie pobiegł do wyjścia.

„Może przez te wszystkie zmartwienia nabawiłem się klaustrofobii”, pomyślał z niepokojem. Wy tłumaczył sobie jednak, że to zupełnie normalne, skoro wędrował wielkim podziemnym ściekiem, a na zewnątrz lało jak z cebra. Ludzie wyprawiający podobne głupstwa często ginęli, a poza tym już wcześniej, na Morzu Granicznym, martwił się, co będzie, jeżeli Klucz utrzyma go przy życiu pod wodą i skaże na długą śmierć.

Mimo wszystko udało mu się zachować spokój i nie popędził po drabinie niczym szczur po rynnie. W samą porę przypomniał sobie, co Suzy powiedziała o jego wyglądzie, i wysmarował błotem twarz oraz ciało od szyi aż do pasa błotem. Kiedy powoli gramolił się z kanału, miał czas przyzwyczać się do światła i do hałasu, który docierał z góry studzienki.

Komora powyżej w niczym nie przypominała magazynu. Była mniejsza, liczyła sobie ponad pięćdziesiąt metrów kwadratowych i miała grube kamienne ściany bez okien. Do środka prowadziły zamknięte i zablokowane sztabą drzwi. Mimo to w pokoju było jasno, pod łukowato sklepieniem, wysokim sufitem na drutach różnej długości wisiało kilkadziesiąt lamp. Panował tu nieopisany zgiełk, wzniesany przez ponad trzydzieścioro smarowaczy. Część z nich zasiadała na prostych, drewnianych ławach przy sześciu starych, dębowych stołach, inni skakali po blatach, pochłonięci zabawą w berka, albo robili gwiazdy między meblami, grali w badmintona prowizorycznymi lotkami i raketami, lub też budowali dziwaczne urządzenia mechaniczne, jeden ze smarowaczy położył się na stole i spał w najlepsze.

Gdy Jeżyszczet pomógł Suzy i cała trójka stanęła przy krawędzi wjazdu w podłódze, w pomieszczeniu nagle zapadła cisza. Dzieci przerwały zabawy, zamarły i

popatrzyły na przybyszów.

– Siemano! – przywitała się Suzy i uniosła rękę, żeby uchylić kapelusza, jednak przypomniała sobie, że ma gołą głowę, więc zadowolona się machaniem do nowych znajomych.

Smarowacze nie odmachali. Stali tylko i patrzyli, aż wreszcie ten, który spał na stole, przetarł oczy i usiadł. Była to dziewczyna o wyglądzie typowego dziecka Szczurołapa. Miała krzywo, samodzielnie przycięte włosy, brudną buzię i poplamiony olejem kombinezon. Pozostali smarowacze skierowali na nią pytające spojrzenie. Arthur od razu się zorientował, że to ich szefowa.

– Witamy – odezwała się. – Jeżyk wspomniał, że trafiliście z powrotem do cywila, a na odchodne zafundowano wam pranie między uszami.

– To prawda – potwierdził Arthur.

– Alyse Brygadzistka Pierwszej Klasy – przedstawiła się dziewczyna. – Jestem dowódcą tej bandy, Dwudziestej Siódmej Brygady Kontroli Łącuchów i Napędu w Wyższym Domu. Jak się nazywacie i jaki macie przydział? Nie musicie mi zdradzać numerów w hierarchii ważności Domu, tutaj nic nas to nie obchodzi.

– Hm... Właściwie... Nie całkiem pamiętam – wyjąkał Arthur. – Chyba mam na imię Ray.

– Gdzie twoje papiery? – Alyse wyciągnęła rękę.

– Zgubiłem – odpowiedział.

– Gdzieś tam – dodała Suzy. – A ja jestem Suze, o ile się nie mylę.

– Suze i Ray – powtórzyła Alyse. – Jakie macie przydziały?

– Hm... – Arthur zawiesił głos i rozejrzał się z bezmyślną miną. Na przeciwległej ścianie dostrzegł długi rząd płaszczy i innych rzeczy zawieszonych na kołkach. Na każdym z nich znajdowała się jasnożółta, spiczasto zakończona czapka przeciwdeszczowa, gumowana żółta peleryna oraz szeroki, skórzany pas pełen woreczków i narzędzi, z doczepioną kaburą na długi, lśniący srebrzyście klucz francuski.

– Chyba kiedyś robiłem coś z nakrętkami – wyjaśnił. – Skręcałem je ze śrubami?

Alyse obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

– Masz dostatecznie długie ręce – zauważyła. – Pewnie jesteś Kręcimutrą, może nawet Pierwszej Klasy. A ty?

– Pojęcia nie mam – odparła Suzy. – Zapomniałam. Ale chyba nadaję się do wszystkiego.

Alyse obejrzała ją od góry do dołu i wzruszyła ramionami.

– Ładny pas podkładowy – stwierdziła. – Marzy ci się błękitne niebo, co? Idę o zakład, że Drutolot z ciebie.

– Może – zgodziła się Suzy ostrożnie.

– Co to takiego Drutolot? – spytał Arthur.

– Faktycznie wyprali cię jak ta lala! – mruknęła Alyse. – Skup się i przypomnij sobie! Drutolot unosi druty przewodniczące, żeby Podnośnicy Szynowi mogli podnieść szyny dla Łańcuszników i Zahaczaczy, którzy wpasowują je do segmentu biurowego. Wtedy Trzymamutry i Kręciśruby mocują szyny, a Brygadzista komenderuje. Kiedy nie budujemy, Drutoloty robią inne rzeczy, na przykład pomagają Olejowaczom Łańcuchowym. Już sobie przypominasz?

– Tak jakby. – Arthur nie musiał udawać, naprawdę miał mętlik w głowie.

– Chyba musimy to zobaczyć – postanowiła Suzy. – Wiadomo, obraz jest wart tysiąca słów. Czy tamto to herbata?

– Pamięć wam wróci – oceniła Alyse, puściwszy mimo uszu pytanie Suzy. Odwróciła dłoń, splunęła na nią i wyciągnęła rękę do Arthura. – Witajcie w Dwudziestej Siódmej Brygadzie Kontroli Łańcuchów i Napędu, czy też raczej, jak sami mówimy...

– Alysmarowacze! – ryknęły zebrane dzieci.

Arthur uściśnął dłoń brygadzistce, która ponownie splunęła. Przed podaniem ręki Suzy również napluła na wnętrze dłoni, a Arthur pomyślał, że i on powinien być tak postąpić. Miał nadzieję, że ten przejaw złych manier zostanie mu wybaczone przez wzgląd na niedawne pranie między uszami.

– Herbata jest w imbryku – oświadczyła Alyse i wskazała palcem duże naczynie z gotującą się wodą na trójnogu, ustawionym nad szklaną maszynką spirytusową w rogu. Wyciągnęła rękę ku dużemu, podniszczonemu zegarowi z kukułką, który częściowo odstawał od ściany i zwisał pod dziwnym kątem tuż nad podłogą. Jego wskazówki nadal się poruszały, a Arthur słyszał przyciszone tykanie mechanizmu. Na zegarze była za siedemnaście dwunasta. – Poczęstujcie się. Zmiana zaczyna się o dwunastej, więc lepiej się napić, póki czas. Nie zapomnijcie sprawdzić sprzętu przed południem.



Alyse ziewnęła i chciała ponownie się położyć na stole, lecz przeszkodził jej krzyk jednego ze smarowaczy.

– Alyse! Które kołki są dla nowych?

Skrzywiła się i usiadła.

– Ani chwili spokoju – westchnęła, choć Arthur był pewien, że przed ich przybyciem po prostu spała. Rozpięła jedną z kieszeni kombinezonu i wyjęła gruby, wytarty notes. – Niech sprawdzę. Ostatni spadł Yonik, więc jego kołek jest wolny, numer trzydzieści trzy. Wcześniej była Dotty...

– Ale Dotty nie spadła, tylko zmiażdżyło jej nogę – zauważył jeden ze smarowaczy. – Wróci.

– Nie wcześniej niż za trzy miesiące – odparła Alyse. – Zatem jej kołek i pas są wolne. Takie mamy zasady. Numer dwadzieścia – zwróciła się do Suzy i wskazała miejsce w połowie rzędu wieszaków. – Masz szczęście, Dotty dbała o sprzęt. Lepiej niż Yonik, sami się przekonacie. Nie spadłby, gdyby należycie czyścił skrzydła.

– I nos – dodał ktoś ku powszechnej uciechu.

– Bardzo się poranił? – spytał Arthur.

– Poranił? – Alyse parsknęła śmiechem. – Kiedy się pracuje na wieży, jak my, i się spada, a skrzydła nie działają, to nie ma mowy o poranieniu. Od razu zimny trup. Nawet Rezydent nie ma szans na przeżycie. Cztery kilometry wysokości w linii prostej. Mieliliśmy szczęście, że znaleźliśmy jego pas i narzędzia, ale klucz był do niczego, musieliśmy wymienić na nowy. Wygiął się jak rogalik, ot co.

Arthur pokręcił głową. Zawsze uważał, że Suzy jest nieczuła, ale te dzieci Szczurołapa były jeszcze gorsze.

„Kiedy się żyje bardzo, bardzo długo, to pewnie inaczej się myśli o śmierci – uznał. – Ciekawe, czy ze mną będzie podobnie... Inna sprawa, że raczej nie pożyję aż tyle... ”

Z rozmyślań wyrwało go pociągnięcie za łokieć.

– Na mnie pora – oświadczył Jezyszcet. – Mam pracę do wykonania, a tuż po dwunastej nastąpi spust wody zalewowej.

– Dziękuję – powiedział Arthur. – Naprawdę dziękuję panu za pomoc. – Wyciągnął rękę i pochylił się, żeby ucisnąć łapę szczura, a przy okazji wyszeptać mu do

ucha: – Jeśli usłyszysz pan coś o Szóstym Fragmencie Woli, proszę dać mi znać.

– Tak jest – zgodził się Jeżyszczet. – Do zobaczenia, Ray i Suze.

– Dzięki, Jeżyk. – Suzy pomachała mu ręką, a gdy Szczur odszedł, mruknęła: – Chodź na herbatę, Ray.

Wybrała dwa sporej wielkości naczynia ze sterty kilkudziesięciu poobijanych i wyszczerbionych kubków i filiżanek z porcelany wokół maszynki spirytusowej. Kilku smarowaczy popijających tam herbatę powitało nowo przybyłych, więc Suzy jedną ręką nalewała gorący napój, a w drugą s pluwała przed podaniem miejscowym.

– Sprawdź swoje rzeczy! – zawołał Arthur i poniewczasie zorientował się, że zapewne popełnił błąd. Pozostali smarowacze zajęli się swoimi sprawami i żaden z nich nie podszedł, żeby się przedstawić, gdy Arthur stanął przed przydzielonym mu kołkiem.

Na początek włożył płaszcz przeciwdeszczowy bez rękawów, ale za to z kapturem, który zasłaniał spiczastą czapkę, zapinaną pod brodą na sprzączkę. Pod czapką na kołku wisiały przezroczyste gogle. Arthur przymierzył je i odpowiednio dopasował, żeby nie spadały. W jedynej, dużej kieszeni płaszcza tkwiły złożone, bardzo brudne żółte skrzydła. Wyciągnął je i strząsnął, żeby się rozpostarły do pełnych rozmiarów, a następnie przez dziesięć minut usuwał z nich kawałki osadu i brudu. Na koniec złożył je z powrotem.

Roboczy pas był zaskakująco ciężki. W pierwszej z sześciu torebek znajdowały się rozmaitej wielkości śruby i nakrętki, a z drugiej Arthur wyciągnął zgnięty ogryzek, który natychmiast wyrzucił. W trzeciej natrafił na małą, cieknącą olejarkę – żeby ją naprawić, po prostu mocniej dokręcił dozownik. Czwarta saszetka zawierała lekkie, skórzane rękawiczki bez palców, które natychmiast włożył. W piątej była ściereczka, raczej nieużywana, a także mała szczotka i kostka mydła z wytłoczonym napisem: „Najwyższej jakości bezwodne, wieczne mydło”.

Szosta torebka okazała się pusta. Arthur sprawdził znajdujący się przy niej pasek i szybko ukrył w niej Słonia oraz Piąty Klucz. Rozejrzał się, aby sprawdzić, czy nikt go nie widział, ale wyglądało na to, że zachował wystarczającą dyskrecję. Na koniec ponownie sięgnął do piątej torebki, wyjął mydło i zabrał się do usuwania tłustej plamy na kombinezonie. Szło mu to nieoczekiwanie łatwo, więc postanowił wyprać cały materiał, lecz na wszelki wypadek rzucił okiem na innych smarowaczy, których większość właśnie

się ubierała.

Wszyscy nosili poplamione kombinezony a odzież Alyse była zdecydowanie najbardziej zatłuszczona. Arthur doliczył się na niej kilkunastu różnokolorowych przebarwień.

Po kryjomu schował mydło i zapiął pas. Suzy, nieco dalej w rzędzie, również wkładała swój pas. Gdy zauważyła, że Arthur na nią patrzy, pomachała mu z uśmiechem.

„Jak zwykle dobrze się bawi – pomyślał. – Żyje chwilą. Szkoda, że ja tak nie potrafię”.

Uśmiechnął się półgębkiem i odmachął, po czym wyjął klucz francuski i zważył go w rękę, uderzając głowicą o dłoń. Bardzo ciężkie narzędzie lśniło, z wyjątkiem przekładni ślimakowej, służącej do rozchylania i zaciskania uchwytu. W środku utkwily drobiny piasku, więc Arthur szybko usunął je szczotką i nasmarował mechanizm oliwą z olejarki. Nie zauważył, że Alyse przypatruje mu się z aprobatą.

– Mogą sobie pracować nas między uszami – odezwała się. – Ale dobry robotnik zawsze będzie pamiętał, że o narzędzia trzeba dbać.

Wdrapała się na jeden ze stołów i zamarła w oczekiwaniu. Gdy ostatni ze smarowaczy zapiął pas, wszyscy skierowali na nią wzrok, także Arthur i Suzy.

– Jesteśmy gotowi? – spytała Alyse.

– Gotowi! – ryknęli smarowacze.

– Więc do roboty! – Zeskoczyła ze stołu i zajęła miejsce na czele szeregu. Smarowacze wykonali zwrot w prawo. Arthur przypomniał sobie dawnego instruktora musztry, sierżanta Trzona, który z pewnością nawrzeszczałby na dzieci Szczurołapa za ich niechlujstwo i niedbałość. Kolumna bezładnie pomaszerowała do drzwi.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Alyse zdjęła sztabę, otworzyła drzwi i wdepnęła w pierwszą kałużę, tuż za progiem, prowadząc smarowaczy na chłostany deszczem bruk placu otoczonego z trzech stron budynkami z nitowanego żelaza, które wyglądały jak magazyny. Na czwartym boku placu znajdował się ostry róg niewyobrażalnie rozległej i masywnej konstrukcji.

Na dworze czekał już przemoczony komitet powitalny, złożony z tuzina Rezydentów stłoczonych pod czarnymi parasolami. Cała gromada stała w półkołu wokół drzwi. Wszyscy mieli na sobie długie czarne płaszcze, spod których wystawały szare kamizelki i jasnoniebieskie koszule z szarymi fularami, a na głowach kapelusze przypominające niskie cylindry. Nogawki białych spodni wetknęli do zielonych wodoszczelnych kaloszy.

Alyse nie zwróciła na nich najmniejszej uwagi. Rozchlapując wodę, przedelfilowała między Rezydentami i ruszyła do wielkiej budowli. Arthur domyślił się, że właśnie ten gmach Suzy dostrzegła przez okno magazynu. Teraz znajdowali się bliżej, więc wyraźnie widział, że jest to wieża tak wysoka, że jej wierzchołek ginął w oddali. Zdawała się wznosić wyżej niż blade, przesłonięte deszczem słońce.

Arthur przekonał się na własne oczy, że prawdą jest to, o czym dotąd tylko słyszał. Wieżę zbudowano w całości z segmentów biurowych w formie klatek bez ścian, z kratą zamiast podłogi, więc z dołu widać było wiele wyższych pięter. Gmach przypominał nowoczesny wieżowiec nocą, przeszklony zarówno od zewnątrz, jak i w środku.

Rzecz jasna, najlepiej widoczne były biura znajdujące się najbliżej. W każdym z niewielkich sześcianów przy biurku siedział pogrążony w pracy Rezydent, a na wszystkich blatach stały lampy z zielonymi abażurami oraz osłaniające je parasole. Arthur zauważył, że zrobiono je z materiałów w różnych kolorach i odcieniach, ale nie domyślał się, co to oznacza.

Smarowacze szli gęsiego, Arthur maszerował drugi od końca. Ostatni w rzędzie chłopiec zatrzymał się, żeby zamknąć drzwi, a następnie podbiegł, nie chcąc zostawać z tyłu. Był o wiele niższy od Arthura, miał brązowe włosy tak samo paskudnie przycięte

jak Alyse i wielkie, odstające uszy. Zamiast wędrować z tyłu, ustawił się obok Arthura, splunął na dłoń i podał mu rękę.

– Whron – przedstawił się. – Skręciśruba Drugiej Klasy. Pewnie będziemy razem pracowali.

– Ron? – spytał Arthur. Tym razem pamiętał, żeby napluć na dłoń.

– W h r o n – przeliterował Whron.

– Miło cię poznać – zapewnił go Arthur i popatrzył nad jego ramieniem na Rezydentów z czarnymi parasolami, którzy snuli się ponuro za dziećmi Szczurołapa.

– Nie przejmuj się nimi – rzekł Whron, gdy zauważył, co zainteresowało Arthura.

– To Czarnoksiężnicy Nadliczbowi. Mają przykazane zabić nas, jeżeli pojawi się Szczurołap i wyda nam rozkazy. Nie cierpią tej pracy, bo przez całą noc tkwią na deszczu, a przez cały dzień usiłują nas śledzić i nigdy nie nadążają. Ale to bez znaczenia, przywykli do rozczarowań.

– Jak to? – zdziwił się Arthur. Czarnoksiężnicy faktycznie wyglądali na przygnębionych. Jeszcze nigdy nie widział równie posępnych Rezydentów, nawet Nocni Przybysze Poniedziałka nie wydawali się tak skrajnie załamani.

– Przecież to Czarnoksiężnicy Nadliczbowi – podkreślił Whron. – Oblali egzaminy na pełnoprawnych czarnoksiężników i teraz nie mają co liczyć na przyzwoite stanowiska w Wyższym Domu. Są bez szans na przeniesienie z poziomu ziemi... To ich dobija.

– Dlaczego się nie przeniosą do innej części Domu?

Whron popatrzył uważnie na Arthura.

– Naprawdę solidnie cię wyprali. Nikt nigdy nie odchodzi ze służby u Dostojnej Soboty, chyba że do armii, ale to tylko na sto lat. Poza tym oni chyba potajemnie lubią się unieszczęśliwiać, to nadaje sens ich życiu. Chodź szybciej, wlecemy się w ogonie.

Przyśpieszył, a Arthur poszedł w jego ślady. Smętni Czarnoksiężnicy Nadliczbowi podążyli za nimi chwiejnym krokiem.

Alyse doprowadziła brygadę do podstawy wieży. Arthur sądził, że wejdą drzwiami i ruszą korytarzem, lecz pomaszerowali prosto do sześcianu biurowego i minęli biurko Rezydenta zapatrzonego w coś, co przypominało lustro do golenia, i jednocześnie piszącego dwiema rękami na dwóch kartkach papieru. Od czasu do czasu

przerywał pracę, żeby zanurzyć pióra w zaśnieżonym kałamarzu. Parasol, który osłaniał biurko przed deszczem i strumieniami wody z góry, był ciemnobrązowy, nieco zapleśniały i mocno przeciekał, lecz liczne krople spadały wyłącznie na Rezydenta, a nie na biurko i znajdujące się na nim przedmioty.

Zapracowany urzędnik nie podniósł wzroku na smarowaczy ani na snujących się z tyłu Czarnoksiężników Nadliczbowych. Tak samo obojętni okazali się następni Rezydenci. W pięćdziesiątym biurze Arthur nabrał niezachwianej pewności, że urzędnicy wyłącznie patrzą w lustra i coś gorączkowo piszą.

W pięćdziesiątym pierwszym segmencie Alyse uniosła rękę, więc wszyscy się zatrzymali. Brygadistka wspięła się na róg biurka, wyprostowała i poprawiła coś przy jakiejś rurze. Arthur dopiero teraz zauważył, że każde biuro jest oplecione siecią podobnych rur, widocznych także pod podłogą segmentów powyżej. Tu i ówdzie widać było przyłącza do pionowych rur w rogach niektórych segmentów, między innymi w biurze, w którym obecnie przebywała Alyse.

– Co to za rury? – spytał Arthur Whrona.

Chłopak popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Odmóździli cię jak mało którego – stwierdził. – Wioskowy głupek, nie mam pytań. Te rury...

Urwał, kiedy Arthur chwycił go za kołnierz kombinezonu, uniósł i mocno wykręcił materiał.

– Jak mnie nazwałeś? – syknął.

– Chrrr... – wykrztusił Whron i prawą ręką sięgnął po klucz u boku, lecz zanim go dobył, Arthur zacisnął mu lewą dłoń na nadgarstku.

– Ar... to jest Ray, puść go!

Gdy głos Suzy dotarł do uszu rozwścieczonego Arthura, ten zadrżał i zwolnił uścisk. Whron bezwładnie padł u jego stóp. Suzy podbiegła, ze ślizgiem zahamowała tuż obok Arthura i natychmiast chwyciła go za rękę. Nie wiedział, czy był to z jej strony gest przyjaźni i solidarności, czy też raczej przygotowanie do obezwładnienia go, jeśli zajdzie taka konieczność.

Czarnoksiężnicy Nadliczbowi, rozsiani po sąsiednich biurach, zbliżyli się. Niektórzy z nich zapomnieli się do tego stopnia, że patrzyli na to, co się dzieje, zamiast

trzymać wzrok wbity w podłogę i tylko od czasu do czasu rzucać dyskretne spojrzenia.

– Przepraszam – wyszeptał Arthur, uniósł głowę i odetchnął głęboko. Po jego twarzy spłynęła woda, odbijając się od gogli. – Wybacz... chyba jeszcze mam problemy z głową. Źle znoszę obelgi.

Whron pomacał się po szyi i wstał.

– Nie chciałem powiedzieć nic złego – wychrypiął urażony. – Silny jesteś. Nigdy nie spotkałem nikogo tak silnego.

– Sto lat w armii robi swoje – zauważyła Suzy. – Chodź, Ray.

– Co to za postój? – krzyknęła Alyse z przodu.

– Wszystko dobrze! Możemy ruszać! – odkrzyknęła Suzy.

– Naprawdę mi przykro. – Arthur wyciągnął rękę do Whrona, który się zawahał, ale uściśnął mu dłoń, lecz tym razem bez splunięcia. Arthur nie wiedział, czy to ma jakieś znaczenie. Z powodu szpiczastego kaptura i gogli nie był również w stanie zorientować się, czy Whron patrzy na niego ze świeżo rozbudzoną nienawiścią, ciekawością, czy ogarnięty jest innymi emocjami.

„Będę musiał mieć się na baczności – pomyślał. – Nietrudno spaść, kiedy ktoś kogoś popchnie, a nawet ja mógłbym nie przeżyć upadku z wysokości czterech kilometrów”.

– Rury – podjął Whron ostrożnie – służą do pneumatycznego przesyłu poczty. Rozsyła się nimi dokumenty i wiadomości. Tutaj, na dole, rzadko się korzysta z tego sposobu, bo nie ma potrzeby, żeby najniżsi z najniżej postawionych urzędników używali poczty pneumatycznej. Tylko przepisują teksty, a ich papiery zabiera i przenosi posłaniec.

– Dzięki – odparł Arthur.

Ruszyli w dalszą drogę przez następne segmenty biurowe. Zasadniczo przemieszczali się w linii prostej i tylko sporadycznie zbaczali, choćby po to żeby ominąć biuro zalewane gwałtownym deszczem. Przemoczona do nitki Rezydentka mężnie kontynuowała pracę nad całkowicie suchymi papierami, próbując nie zważać na kaskady wody, które spływały po jej głowie i ramionach. U boku Rezydentki stał podziurawiony parasol.

Mniej więcej przy setnym segmencie Arthur usłyszał dobiegający z góry hałas,

niski, grzmiący szum, który kojarzył mu się z warkotem gigantycznego młynka do kawy. Gdy szli dalej, dźwięk się nasilał, aż wreszcie zagłuszył chłopot deszczu, potoków wody, a nawet świst pojawiających się co pewien czas kaskad.

Hałas wydobywał się z otwartej przestrzeni, w dużej mierze zasłoniętej przez biura, parasole oraz smarowaczy na przedzie.

Gdy się zbliżyli, Arthur ujrzał małą, wolną przestrzeń o rozmiarze kilku segmentów, ogrodzoną potężnymi, pionowymi szynami z żelaza. Podobne, ale horyzontalne sztaby rozciągały się powyżej, na następnym poziomie HI biur, i jeszcze dalej. Powstałe z rozpór żelazne klatki ciągnęły się tak wysoko, że znikwały w oddali.

Pośrodku tak powstałego szybu szumiały, skrzypiały i terkotały dwa łańcuchy. Jeden z nich przesuwał się do góry, drugi na dół i znikał w osłoniętym kratą otworze, z którego co kilka sekund wydobywał się kłęb pary i dymu.

Łańcuchy nie przypominały tych, którymi Arthur i Suzy wyjechali z magazynu smarów, ale raczej kojarzyły się z gigantycznymi łańcuchami rowerowymi. Pośrodku każdego ogniwa znajdowały się przyspawane od wewnętrznej strony pierścienie. Do niektórych z nich były przywiązane wystrzępione liny, przy innych znajdowały się żelazne krzesła albo ławki.

Oba łańcuchy poruszały się z tą samą prędkością. Od razu się domyślił, że to właśnie one posłużą smarowaczom do przeniesienia się na wyższe poziomy wieży.

Alyse przystanęła i dała znak, żeby brygada otoczyła ją kołem.

– Znacie procedurę – oświadczyła. – Mamy jednak ze sobą dwoje nowych po praniu między uszami, więc przerobimy wszystko od początku. Oto północno-wschodni Wielki Łańcuch, przekazujący główną siłę napędową do wszystkich północno-wschodnich Małych Łańcuchów. Jako że jest to Wielki Łańcuch, możemy podróżować po dwie osoby na ogniwo. Wsiadamy razem, zsiadamy tak samo. Jeżeli zauważycie, że ogniwo jest zaoliwione albo uszkodzone, krzyczycie: „Stój!”, zanim wasz partner wskoczy na miejsce, i jedziecie następnym. Popatrzmy...

Wyciągnęła z kieszeni kartkę papieru, rozpostarła ją i jednocześnie odskoczyła w bok, żeby uniknąć zmoczenia, gdyż z góry niespodziewanie chlusnęła woda.

– Dzisiaj pomagamy automatom podczas przeprowadzki. Ktoś wędruje w górę z poziomu 6995 na poziom 61 012, czterdzieści dwa segmenty po przekątnej, przy użyciu



łańcucha ukośnego. Zaczniemy od wyciągu pionowego i spróbujemy uporać się z tym możliwie szybko, bo nie chcemy, żeby sąsiedzi tego szczęściarza mieli czas na sprawianie kłopotów. Zatem wysiadamy na poziomie 6995. Czy to jasne dla wszystkich? Suze? Ray?

– Tak – potwierdził Arthur, a Suzy pokiwała głową.

– To dobrze. Ray, podejdz tu. Wskoczysz ze mną na pierwsze ogniwo. Suze, zajmiesz miejsce na drugim, razem z Vithanem.

Arthur poczłapał w kałużach wody do Alyse i stanął u jej boku. Zdecydowanym ruchem wyciągnęła rękę, chwyciła go za dłoń i mocno pociągnęła do wznoszącego się łańcucha.

– Sztuka polega na tym, żeby nie skakać, bo wtedy prawie na pewno spadniesz – ostrzegła Arthura. – Zwyczajnie przysuń się bokiem i nastap na unoszące się ogniwo.

– Jak sobie zyczysz – zgodził się.

Pomyślał, że nawet nie byłoby najgorzej, gdyby łańcuch tak nie pędził. Ten mechanizm mógł wyrwać nogę...

– Podejdz bliżej – poleciła mu Alyse. Oboje zbliżyli się do łańcucha i stanęli zaledwie o krok od otworów w ogniwach. Arthur czuł pęd sunącego żelaza. Znajdowali się niebezpiecznie blisko mechanizmu, rozkołysane ogniwo mogło w każdej chwili porwać ich i rozedrzeć na strzępy. Wyglądało na to, że łańcuch pędzi tak szybko, że nie da się na niego ot tak wejść.

– Gotowy? – spytała Alyse.

– Tak – potwierdził. Nagle chlusnął na niego prysznic wody tak potężny, że czubek czapki zasłonił mu twarz. Arthur odchylił się i niemal przyklęknął. W tym samym momencie wyraźnie usłyszał głos Szóstego Fragmentu Woli:

„Arthurze! Musisz przyjść i odszukać mnie w...”

Alyse gwałtownie pociągnęła go do przodu. Oślepiiony przygiętą czapką, z oczami zalany wodą, Arthur nie miał wyboru – musiał zrobić krok naprzód. Nie wiedział, czy nadal jest z Alyse, czy też pozostał pół kroku z tyłu, co oznaczało, że nie trafi do środka ogniwa, spadnie i zostanie zgnieciony na miazgę przez następny element monstrualnego łańcucha.

Wyprostował się i wysunął nogę do przodu...



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Liść zmrużyła oczy i kilka razy gwałtownie zamrugła. Arthur znikł. W jednej sekundzie stał obok niej, law następnej się zdematerializował.

Rozejrzała się i skrzywiła. Na domiar złego wszyscy dookoła zamarli...

„Wojsko odpali ładunki jądrowe – przypomniała sobie nagle. – Gdzieś bardzo blisko, minutę po północy. Dlaczego więc stoję bezradnie z rozdziawionymi ustami jak jakaś beznadziejna złota rybka?”

– Arthur! – krzyknęła i rzuciła się biegiem przez oddział pełen znieruchomiałych, uśpionych ludzi. – Arthur!

Nikt jej nie odpowiedział. Zatrzymała się na końcu oddziału i rozejrzała. Wszyscy tkwili w miejscu jak słupy soli, skąpani w dziwnym, czerwonym świetle, widocznym najlepiej wtedy, gdy patrzyło się na nich kątem oka. Taki sam czerwony blask lśnił wokół oddziałowego zegara wysoko na ścianie, który wskazywał za trzy dwunastą.

Liść przyjrzała mu się z uwagą i nagle uświadomiła sobie, że czerwona poświata znikła, a minutowa wskazówka wyrwała przed siebie. W tej samej chwili oddział ożył, wszyscy śpiący ruszyli. Liść usłyszała dobiegające z biura wołanie, lecz głos nie należał do Arthura. Krzyczała kobieta, zapewne Vess albo Martine.

„Dwie minuty! – pomyślała Liść z przerażeniem. – Za mało czasu na cokolwiek. Wszyscy zginiemy!”

Zegar zamarł, śpiący ponownie skamienieli. Czerwone lśnienie powróciło. Mimo to Liść nadal słyszała kobiecy głos, coraz donośniejszy, aż w pewnej chwili na oddział wpadła Martine.

– Co tu się dzieje? Gdzie lord Arthur?

– Nie mam pojęcia – odparła Liść. – Czy jest coś pod szpitalem? Jakies podziemne poziomy... a najlepiej schron przeciwlotniczy?

– Nie byłam tu od dwudziestu lat! – krzyknęła Martine. – Spytaj Vess.

Liść się rozejrzała i wskazała palcem nieruchomą Vess w kącie.

– No tak – mruknęła Martine. – Dwadzieścia lat temu na oddziale B3 znajdowały się sale operacyjne, a kiedyś był tam schron. Ten budynek powstał w latach

pięćdziesiątych, więc nic dziwnego.

– Musimy wszystkich tam sprowadzić – zdecydowała Liść stanowczo. – Obie się tym zajmujemy, jak najszybciej.

– Ale oni są jak posągi...

– Przewieziemy ich w łózkach, po dwie albo trzy osoby naraz. Ciekawe, czy działają windy. Światła są w porządku. – Liść zauważyła, że Martine się waha. – Chodź, pomożesz mi umieścić pierwszych dwoje w tym łóżku.

– Nie rozumiem – wykrztusiła Martine. – Byłam pewna, że gdy w końcu wrócę do domu, wszystko będzie dobrze. A teraz ciągle nic nie rozumiem. Dlaczego przewozimy ludzi na dół? Do czego nam schron?

– Arthur powiedział, że minutę po dwunastej wojsko zrzuci bomby atomowe na Szpital Wschodni, bo to ogniwo epidemii. My jesteśmy całkiem blisko szpitala. Arthur zrobił coś, żeby zatrzymać czas, tak myślę, ale przed chwilą zegar znowu ruszył i kto wie, może zaraz ruszy ponownie. Proszę cię, musimy się pośpieszyć!

– Nie – wybełkotała Martine. – Nie.

Odwróciła się i pobiegła, szlochając. Po paru sekundach trzasnęła wahadłowymi drzwiami i znikła bez śladu.

Liść patrzyła za nią przez moment, a potem podeszła do najbliższego łóżka i odblokowała hamulce na kołach. Na materacu leżał już śpiący, więc chwyciła mocno poręcz, pociągnęła łóżko i je obróciła. Szło jej ciężiej, niż zakładała, zapewne dlatego, że od dawna łóżko nie było przetaczane.

– Pan pojedzie pierwszy – zwróciła się do nieznanego mężczyzny. – Po drodze zabierzemy ciotkę Mango, to razem będzie was dwoje. Potem zostanie mi jeszcze tylko jakieś tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem osób do uratowania w dwie i pół minuty.

Znalezienie wind potrwało znacznie dłużej niż dwie minuty, a na koniec okazało się, że urządzenia nie działają. Na szczęście przy windzie wisiała mapa z informacją, jak się dostać do pochylni dla wózków, prowadzącej na niższe poziomy.

Liść załadowała na łóżko nie tylko ciotkę Mango, lecz jeszcze dwójkę innych śpiących. Choć byli najmniejsi, jakich udało się jej znaleźć w pobliżu ciotki, i tak bolały ją plecy, bo musiała wlec ich po podłodze, a potem dźwignąć na materac. Śpiący przypominali pomniki, ale na szczęście mieli zwykłe ciała z krwi i kości, nie z marmuru.

Mimo to byli sztywni i przez to trudno było ich ciągnąć i podnosić.

Przy szczycie pochylni wisiała jeszcze jedna mapa, ale nie wynikało z niej, gdzie mogą się znajdować sale operacyjne i dawny schron. Liść musiała znaleźć je metodą prób i błędów. Mijając pokój pielęgniarek, zauważyła włączony telewizor. Napis w rogu ekranu wskazywał jedenastą pięćdziesiąt siedem, a na nieruchomym obrazie widać było zdjęcie z serwisu informacyjnego. Prezenter zamarł z szeroko otwartymi ustami, na pasku widniał napis: „Zastosowane środki mogą być drastyczne”.

Na najniższym poziomie szybko się zorientowała, że od dawna nikt z niego nie korzystał. Wszystko pokrywała warstwa kurzu, z sufitu zwisały pajęczyny i tylko jedna z trzech lamp okazała się sprawna.

Na ścianie dostrzegła wyblakły znak, a na podłodze kolorowe linie, ledwie widoczne spod warstwy brudu. Czerwony szlak prowadził do sal operacyjnych, a niebieski do miejsca szumnie nazwanego „Ośrodkiem przetrwania”, które niemal na pewno było schronem przeciwlotniczym.

Liść wypchnęła łóżko na korytarz, zostawiła je i poszła poszukać odpowiedniego miejsca na zgromadzenie śpiących. Gdy biegła, spod jej stóp unosiły się tumany kurzu.

Ośrodek przetrwania ją rozczarował. Z całą pewnością miał pełnić rolę schronu, gdyż był wyposażony we wzmacniane drzwi z hydraulicznym kołem do otwierania i zamykania, ale w małym pomieszczeniu mogło się zmieścić najwyżej dwadzieścia osób. Na dodatek zdemontowano tam wszystkie rury i elementy wyposażenia, po których pozostały brzydkie otwory i sterczące druty. Liść doszła do wniosku, że może być zmuszona do pozostania w kryjówce przez dłuższy czas, a nie chciała wyłądownać bez ubikacji i bieżącej wody.

Pobiegła dalej, po drodze gwałtownie otwierając drzwi. Pokoje w większości były małe i do niczego się nie nadawały, ale kompleks operacyjny wydawał się całkiem obiecujący. Choć usunięto z niego cały sprzęt, cztery sale chirurgiczne otaczające jedno centralne pomieszczenie mogły posłużyć za prowizoryczny schron. W pokoju centralnym znajdowały się umywalki oraz sprawne krany z wodą, a do tego łazienka z co najmniej jedną sprawną ubikacją, dostępna z korytarza.

Liść podparła drzwi wejściowe, żeby się nie zamknęły, i pobiegła z powrotem po pierwsze łóżko. Gdy pchała je do sal operacyjnych, jednocześnie rozmyślała o tym, na co

się porywa. Żadną miarą nie mogła przywieźć tutaj wszystkich śpiących. Przetransportowanie choćby kilkunastu osób całkiem by ją wyczerpało, nawet gdyby zdołała to zrobić przed odblokowaniem zatrzymanego czasu.

Będę musiała wybierać najdrobniejszych, zdecydowała w myślach. I dać z siebie wszystko.

– Arthur, w coś ty mnie wpakował? – spytała głośno. – I gdzie zniknąłeś?

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Arthur nie poczuł gwałtownego bólu, który niewątpliwie towarzyszyłby zginiataniu przez gruby, ruchomy łańcuch, a Alyse nadal trzymała go za rękę. Odsunął czubek czapki i potrząsnął głową, żeby otrzeć wodę z oczu.

– Ostrożnie! – uprzedziła go Alyse. – Żadnych gwałtownych ruchów. Chwyć się pierścienia, o tego.

Stali na ogniwie łańcucha, który wznosił się w błyskawicznym tempie w samym środku ażurowej konstrukcji. Arthur chwycił pierścień przyspawany do lewej, wewnętrznej powierzchni ogniwa, a wtedy Alyse puściła jego rękę i nonszalancko przeszła na drugą stronę, gdzie również zacisnęła dłoń na pierścieniu.

– Dobrze stąd widać jeden z drazyliowców – zauważyła. – O ile w ogóle można mówić o dobrym widoku w takim deszczu. Poziom 6222 jest zawsze pusty, więc wszystko widać na wylot.

– Dlaczego jest pusty? – zdziwił się Arthur. – I co to jest drazyliowiec?

Nadal zastanawiał się nad tym, co chciała powiedzieć Wola i dlaczego przemówiła do niego tylko w tamtej jednej, krótkiej chwili, więc zapomniał zrobić pustą, tępą minę kogoś, kto ostatnio doświadczył prania między uszami.

Alyse postawiła mu uważne spojrzenie, ale pogrążony w rozmyślaniach Arthur wcale tego nie zauważył.

– Nie wiem, czemu tutaj nic nie ma – odparła. – Puste biura ciągną się od poziomu 6222 do 6300, od 6733 do 6800 i słyszałam, że można znaleźć furę nieobsadzonych biur tuż pod szczytem, dokądkolwiek on teraz sięga. Pewnie około poziomu 61 700, czy jakoś tak.

– Sześćdziesiąt jeden tysięcy siedemset poziomów? – Arthur skupił się na tym, co usłyszał. – Przecież każdy z sześcianów biurowych ma około trzech metrów wysokości, więc łączna wysokość wieży musiałaby wynosić ponad sto osiemdziesiąt tysięcy metrów, czyli sto osiemdziesiąt kilometrów...

– Gdzie tam. Numeracja poziomów zaczyna się od szóstki, nie mam pojęcia dlaczego – wytłumaczyła mu Alyse. – Tak naprawdę trzeba patrzeć na to, co jest po

szóstce. To chyba taka tradycja. W zależności od tego, do którego poziomu dotarł szczyt w tym tygodniu, wysokość budynku wynosi z grubsza pięć tysięcy sto metrów. Chciałabym wiedzieć, jakie widoki roztaczają się z góry.

– Nie dojedziemy tak wysoko? – spytał Arthur, nieco pokrzepiony na duchu.

– Na razie jeszcze nie. Inne brygady tam docierają, ale większość robót konstrukcyjnych wykonują automaty. Uwaga, zbliżamy się do potrójnej dwójki. Patrz tutaj.

Arthur skierował wzrok na migające tuż obok biura, rozmazane smugi zielonych lamp i wielobarwnych parasoli, a także Rezydentów w czarnych lub ciemnoszarych płaszczach, pochylonych nad identycznymi biurkami.

Ten obraz nagle znikł. Arthur ujrzał szkielet wieży, puste segmenty biurowe składające się wyłącznie z sześcianów z kutego żelaza, tu i tam z odsłoniętymi poziomymi i pionowymi łańcuchami napędowymi, a także z plątaniną rur poczty pneumatycznej. W niektórych miejscach widok zasłaniały zamknięte pionowe szyby albo odgródzone ścianami pomieszczenia, lecz w rzeczywistości widać było prawie wszystko w wieży i poza nią, na tle deszczowego nieba.

W oddali wznosiło się coś, co Arthur uznał za inną wieżę. Była to ciemna, pionowa smuga na horyzoncie, sięgająca tak wysoko, że jej szczyt spowijały chmury.

– Dobrze dzisiaj widać drazyliowca – ponownie oświadczyła Alyse. – Chętnie wdrapałabym się na który z nich, gdyby nie owady.

– Owady? – Arthurowi nie przypadła do gustu perspektywa spotkania z owadami. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o drazyliowcach, ale w końcu zauważył, że Alyse zerka na niego podejrzliwie, i zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie przesadził z udawaniem Rezydenta o kompletnie wypranym mózgu.

– Tak, owady wartownicze Niedzieli, które patrolują drazyliowce, a poza tym słyszałam, że te drzewa potrafią same się bronić. Wiesz co, Ray, teraz jesteś czystszy i wcale nie wyglądasz na dziecko Szczurołapa.

– Naprawdę? – Arthur zdał sobie sprawę, że kaskada wody splukała mu błoto z twarzy.

– Ani trochę. – Alyse oparła dłoń na kluczu francuskim i wbiła lodowaty wzrok w Arthura. Widział to wyraźnie pomimo jej mokrych od deszczu gogli.



Arthur położył rękę na własnym kluczu, gotów w każdej chwili dobyć broni.

– Coś mi się widzi, że jesteś jakimś niskim, rezydenckim szpiegiem na usługach Wielkiej Szefowej. Nie dość, że snują się za nami Czarnoksiężnicy Nadliczbowi, to jeszcze nastali na nas szpicla. Pora na ciebie...

Arthur zablokował kluczem gwałtowny cios, wymierzony w jego nogi, tak potężny, że ze srebrnych narzędzi posypały się iskry. Alyse puściła pierścień i zaatakowała ponownie. Zadane oburącz uderzenie powaliłoby każde dziecko Szczurołapa, ale Arthur odparował cios jedną ręką. Alyse straciła równowagę i niewiele brakowało, a spadłaby z łańcucha, gdyby Arthur nie zahaczył stopą o jej kostkę.

– Nie jestem szpiegiem! – krzyknął. – Ani Rezydentem!

Alyse ponownie chwyciła się pierścienia i czujnie popatrzyła na Arthura.

– Więc kim?

– Jestem Arthur, Prawowity Dziedzic Architektki. Przybyłem tutaj, żeby odnaleźć i uwolnić Szósty Fragment Woli.

– Nieprawda! – krzyknęła Alyse. – Arthur ma dwa metry czterdzieści wzrostu i szpiczastą brodę do pasa!

– Te durne książki! – warknął Arthur. Jakiś Rezydent albo ich grupa gdzieś na terenie Domu pisała i rozpowszechniała w dużej mierze fikcyjne relacje z poczynąń Arthura. – Nie ma w nich słowa prawdy. Naprawdę jestem Arthur.

– Fakt, że siły ci nie brakuje – przyznała Alyse. – I bardziej przypominasz nas niż Rezydentów... Nie nosisz szpiczastej brody, co?

– Nie.

– Skoro jesteś Arthurem, to Wielką Szefową uważasz za wroga, dobrze mówię?

– Jeżeli masz na myśli Dostojną Sobotę, to owszem, jest moim wrogiem.

– A Szefowa już nam nie ufa, bo Szczurołap pojawił się na horyzoncie.

– Owszem. Pierwsza Dama, czyli Wola Architektki, też straciła do was zaufanie. Chodzi o fragmenty, które dotąd zebrałem. Ale ja wam ufam, bo w zasadzie wierzę dzieciom Szczurołapa, a na dodatek uważam je za najsprytniejsze i najrozsądniejsze istoty w całym Domu.

– Bo tak jest – przytaknęła Alyse błyskawicznie. – Jeśli jednak mogę się wypowiadać w imieniu naszej brygady, nie interesujemy się polityką. Zwyczajnie

chcemy zrobić to, co do nas należy.

– Nie zamierzam wtrącać się do waszej pracy – zadeklarował Arthur uroczyście.  
– Tylko nie donieście na mnie. Znikniemy, gdy tylko się dowiem, gdzie szukać Woli.

– Ale Suze, ta z tobą... Ona naprawdę jest dzieckiem Szczurołapa, prawda?

– Tak. – Kątem oka Arthur zauważył, że minęli puste segmenty i mkną obok rozświetlonych na zielono sześcianów, zajętych przez zapracowanych Rezydentów. Jedyna różnica polegała na tym, że teraz wszystkie parasole były pomarańczowe.

Alyse popatrzyła na Arthura z zadumą.

– Chyba na razie możemy uznać, że tak będzie w porządku – zadecydowała. – Znaczący jestem gotowa przyjąć twoje słowa na wiarę. W razie problemów będę udawała, że jestem tak samo zaskoczona jak inni.

– Super! – ucieszył się Arthur. – Potrzebuję tylko trochę czasu na wytropienie Woli. Nie będę wchodził ci w drogę.

– Rób, co do ciebie należy! – warknęła. – Musisz normalnie pracować, żeby nie budzić podejrzeń. Dzisiaj *U* w nocy wymkniesz się z pokoju. Chcę, żebyś stąd znikł przed świtem.

– Zgoda. Mam nadzieję, że do tego czasu będę wiedział, dokąd się udać.

– Nie wiesz, gdzie szukać Woli?

– Nie bardzo. Ale Wola potrafi odzywać się w mojej głowie i podpowiadać, jak ją znaleźć, już dwukrotnie ją słyszałem. Drugi raz wtedy, gdy miałem wejść na łańcuch i w tym samym momencie woda chlusnęła mi na głowę.

– Chlusty to normalna sprawa – zapewniła go Alyse. – Pełnoprawni czarnoksiężnicy, z biur powyżej poziomu 61 000, lubią robić takie sztuczki i chętnie tkają sieci zakłęb, żeby chwytać deszcz, a to co się nałapało, nagle zwałać na głowę komuś o niższym statusie. To bywa groźne. Straciliśmy już kilku robotników, których woda wypłukała z biura i zmyła do szybu. Jeden nawet spadł ze ściany wieży.

– Dziwne – mruknął Arthur. – Ten bezustanny deszcz. Chodzi o to, że w Środkowym Domu pogoda była kiepska, ale tutaj z pewnością jest celowo zła. Przecież Dostojna Sobota mogłaby polecić swoim czarnoksiężnikom, żeby ją poprawili.

Alyse wzruszyła ramionami.

– Zawsze taka była, a przynajmniej przez ostatnie dziesięć tysięcy lat. Jest taka

sama jak wtedy, gdy Szefowa zabrała się do budowania wieży.

– Pada od dziesięciu tysięcy lat? – zdziwił się Arthur. – Od dziesięciu tysięcy lat czasu domowego? Skąd wiesz? Nie zrobili ci prania między uszami?

– Pewnie, że zrobili. Powtarzam to, co mówią Rezydenci, a oni ciągle rozmawiają o planie, budowie wieży i o tym, że to już trwa dziesięć tysięcy lat, i jeszcze o tym, że kiedy wieża dotrze do Ogrodów, to wtedy deszcz ustanie i w ogóle. Patrz, znowu drażyliowiec. Mijamy siedemsetki.

– Dotrze do Ogrodów? – powtórzył Arthur. – Niezrównanych Ogrodów? Tego właśnie chce Sobota?

– Tak mówią czarnoksiężnicy. My tylko robimy, co do nas należy. Nie możemy się zajmować wszystkimi sprawami z najwyższych poziomów, planami i takimi tam.

– A co to jest drażyliowiec? – Arthur popatrzył przez pustą konstrukcję wieży na odległą, pionową kreskę.

– Bardzo duże, wręcz ogromne drzewo. Cztery drażyliowce bezustannie rosną i na nich opierają się Niezrównane Ogrody. Nie mam pojęcia, jakiej są wysokości, ale wieża podobno im nie dorównuje.

– Może rosną za sprawą deszczu – zasugerował Arthur.

– Kto wie.

Wpatrywał się w drażyliowiec, aż wreszcie minęli puste poziomy i drzewo ponownie znikło za tysiącami biur. Alyse nic nie mówiła, ale Arthurowi odpowiadało jej milczenie, bo i tak miał o czym myśleć.

„Deszcz jest ważny – uznał. – Z całą pewnością, skoro rozpadało się dziesięć tysięcy lat temu, kiedy Wykonawcy podzielili Wolę. Ciekawe, czy pada za sprawą Niedzieli, który w ten sposób podlewa drażyliowce? To niemożliwe, przecież Sobota ma Szósty Klucz, najsilniejszy na tym obszarze. Ale też pamiętam, jak ktoś wspomniał, że Siódmy Klucz dominuje, czy też jest najsilniejszy ze wszystkich... ”

– Dojeżdżamy do osiemsetek.

Na dźwięk głosu Alyse Arthur powrócił do rzeczywistości i się rozejrzył. Zastanawiał się, jak rozpoznać mijany poziom. Wszędzie dookoła widział zielone parasole w wielu różnych odcieniach. Czarnoksiężnicy albo kandydaci na czarnoksiężników siedzieli pod parasolami ciemnozielonymi, jasnoszmaragdowymi oraz

limonkowymi, a także pod takimi, na których mieszały się odcienie i wzory zieleni.

– Zielone parasole na osiemsetkach – odezwał się Arthur. – W taki sposób rozpoznajesz, gdzie jesteśmy – odróżniasz poziomy po zmianach barw parasoli.

– Fakt – potwierdziła Alyse. – Żółte są na dziewięćsetkach, dalej trzeba liczyć. Na ramie wieży znajdują się numery poziomów, ale napisano je strasznie małymi cyframi, trudno je dostrzec z Wielkiego Łańcucha. Gotuj się, za minutę wysiadamy.

Ponownie wzięła go za rękę i oboje przesunęli się na skraj ogniwa. Arthur pomyślał, że bardzo szybko mijają piętra biur, a gdy parasole nagle zmieniły kolor na żółty, popatrzył na Alyse. Poruszała ustami, zajęta liczeniem poziomów. Arthur próbował ją naśladować, ale nie był w stanie nadażyć.

– Osiemdziesiąt pięć, zaraz wysiadamy – oznajmiła.

Arthur znowu zaczął liczyć w myślach.

– Dziewięćdziesiąt cztery! Już!

Alyse pociągnęła go i jednocześnie zeszli z ogniwa. Było to tak doskonale wymierzone, że opuszczenie łańcucha wydało się Arthurowi równie bezpieczne jak zejście z wysokiego krawężnika.

– Przesuń się! – warknęła Alyse i ruszyła naprzód.

Arthur znowu podążył za nią i rozchlapując wodę, minął biurko oraz nieświadomego Rezydenta.

– Musimy zrobić miejsce – wyjaśniła Alyse w drodze do sąsiedniego segmentu. Z łańcucha zeszła następna dwójka smarowaczy i po przekątnej przemieściła się szybko do przyległego biura.

Arthur rozejrzał się – zauważył, że Rezydenci zaczęli dyskretnie obserwować smarowaczy. Większość czarnoksiężników nadal pisała oburącz, lecz wszyscy zwolnili, żeby lepiej widzieć.

– Dlaczego na nas patrzą? – wyszeptał.

– Bo wiedzą, że przyszliśmy przesunąć kogoś w górę albo w dół – odparła Alyse głośno i wbiła wzrok w Rezydenta za najbliższym biurkiem. Natychmiast odwrócił się do obrazu w lusterku do golenia i przyspieszył tempo pracy.

– Rozumiem – powiedział Arthur. Z łańcucha zsiadali następni smarowacze, jeden z nich pomachał im mokrą ręką. Arthur rozpoznał Suzy, która najwyraźniej

świetnie się bawiła. Odmachał jej i od razu się przekonał, że nie powinien jednocześnie odchyłać głowy do tyłu, bo wtedy deszcz momentalnie zalewa mu twarz.

Alyse ponownie wyjęła notatnik i skupiła uwagę na wpisie, przesuując palcem po linijkach. Wszyscy pobliscy Rezydenci obserwowali ich z uwagą, mimo że Alyse wcześniej zgromiła ich wzrokiem.

Kolejni smarowacze przybywali parami i przechodzili przez biura, aż wreszcie ostatni, Whron, samotnie zszedł z łańcucha.

Alyse z trzaskiem zamknęła notatnik i wycelowała palec w głąb wieży.

– Tędy! – rozkazała.

– Czy to awans? – spytał jeden z Rezydentów, który zrezygnował z markowania pracy i wbił wzrok w Alyse. Jego wargi wykrzywiły się w brzydkim grymasie, ani trochę nie pasującym do przystojnej twarzy.

Alyse nie raczyła zaszczycić go spojrzeniem, tylko przebrnęła przez wodospad, który nieoczekiwanie pojawił się na jej drodze, i poprowadziła brygadę ku środkowi wieży. Co pewien czas przystawała, żeby sprawdzić liczby odlane na filarach z czerwonego żelaza, tworzących szkielet budynku.

Arthur wyruszył razem z innymi smarowaczami, po drodze wylapując szepty Rezydentów.

– Awans... z pewnością... awans... kto taki... awans... czy ktoś widział fioletową kapsułę... awans... awans...

– To tutaj, cztery biura przed nami – wyjaśniła Alyse półgłosem. – Tam gdzie jest szafranowa kratka na ciemnożółtym tle. Zaczekaj tutaj, dołączysz do Whrona, i dowiesz się od niego, co robić. I uważaj.

– Na co? – zdziwił się Arthur.

– Inni będą rzucali przedmiotami, gdy tylko się dowiedzą, że chodzi o awans. Teraz zaczekaj na Whrona.

Arthur skinął głową i posłusznie znieruchomiał. Whron znajdował się niedaleko, a pozostali smarowacze zbliżali się w szeregu.

– Naprzód! – krzyknęła Alyse i pobiegła do wybranego biura, po czym skoczyła na biurko i stamtąd na róg sześcianu. Jedną ręką przytrzymała się ramy, drugą chwyciła klucz i zabrała się do manipulowania przy czymś, czego Arthur nie widział. Wstała i

złożyła żółty parasol, który nagle zrobił się czarny. Gdy go ponownie rozpostarła, po tkaninie rozlał się wirujący, intensywnie fioletowy kolor, zupełnie jakby ktoś dolał oleju do wody. Alyse podparła parasol, szybko schowała się pod stołem i wrzasnęła:

– Bywajcie, gamonie! A żebyście tutaj tyrali do samej śmierci!

Gdy pozostali smarowacze zbiegali się do biura, Arthur pognął z Whronem do lewego dolnego rogu segmentu. Whron wyciągnął klucz i zaczął odkręcać wielką śrubę, która łączyła segment ze szkieletem budowli. Arthur nie bardzo wiedział, co robić, więc sięgnął po własny klucz i stał nieruchomo, aż w końcu Whron popatrzył na niego spode łba.

– Dalej! – warknął. – Zajmij się drugą stroną!

Na drugim końcu śruby mocującej biuro z ramą wieży znajdowała się potężna sześciokątna nakrętka z brązu. Arthur zacisnął na niej klucz, a wtedy Whron obrócił śrubę i po chwili ją wykręcił.

Arthur w ostatniej chwili złapał nakrętkę, zanim znikła w kratownicy w podłodze.

– Następna wyżej! – zawołał Whron i momentalnie zajął się drugą śrubą. Inne trzy zespoły smarowaczy odkręcały śruby w pozostałych kątach, a reszta dzieci Szczurołapa wykonywała prace demontażowe w biurze, nad biurem i za jego ścianami. Niektórzy smarowacze stali na ramionach kolegów, inni zwisali na palcach z kratownicy powyżej, jak małpy.

– Podlizucha! – krzyknął któryś z pobliskich Rezydentów.

– Wazeliniara!

– Oślizgła glista!

– Zwinęłaś mi awans!

Wszyscy Rezydenci z okolicznych biur krzyczeli, wymachiwali parasolami i zachowywali się coraz bardziej hałaśliwie.

– Szybciej! – syknął Whron. – Za moment zaczną ciskać przedmiotami.

Arthur przykucnął, żeby odpowiednio ustawić klucz, a wtedy coś mocno walnęło go w plecy i spadło na podłogę. Popatrzył w dół i ujrzał szczątki rozbitej filiżanki. W następnej sekundzie spodek rozbił mu się na twarzy, a okruchy porcelany posypały się na plecy Whrona.

– Niższe wschodnie śruby gotowe! – zameldował jeden ze smarowaczy.

– Niższe zachodnie śruby gotowe!  
– Niższe północne śruby gotowe!  
– Psiakrew – zaklął Whron. – Ostatni. Masz nakrętkę? Niższe zachodnie śruby gotowe!

W następnej chwili zabrzmiały podobne okrzyki zespołów pracujących przy suficie, a także jeszcze wyżej. Arthur podniósł głowę i zorientował się, że na wyższych poziomach pracują inne brygady, a wśród nich kręci się kilka ciemnych automatów z brązu, z wyglądu przypominających poruszające się meduzy. Były to duże kule, które przemieszczały się na czterech lub pięciu dość sztywnych mackach, a w licznych odnóżach trzymały narzędzia do pracy.

– Sprawdzić łańcuch! – rozkazała Alyse.

Whron odgiął brzegiem klucza pomalowaną na czerwono pokrywę, dopasowaną do stalowej belki. Arthur nie zauważył wcześniej wieka, a czerwona plama nie wzbudziła jego zainteresowania. Za pokrywą znajdowała się mniejsza kopia Wielkiego Łańcucha. Tym razem duże, grube ogniwa były cztero- lub pięciokrotnie większe od ogniw w łańcuchu rowerowym. Nieruchomy mechanizm rozciągał się we wnętrzu pionowej belki o półokrągłym przekroju.

– Łańcuch obecny, wygląda normalnie!

Smarowacz w kącie po przekątnej potwierdził, że i tam znajduje się łańcuch w dobrym stanie.

Alyse popatrzyła do góry i przyłożyła dłonie do ust.

– Gotów do podniesienia! – ryknęła. – Odsunąć je na bok!

Arthur również podniósł wzrok i w jednej chwili zapomniał o kłopotach oraz obowiązkach. W ich miejsce pojawiła się ciekawość, co takiego należy odsunąć na bok.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Segmenty nad głową Arthura zazgrzytały i zagrzechotały, a po chwili cały rząd zaczął powoli odsuwać się na prawo niczym wagony pociągu przetaczane ze stacji. Przesunął się również następny rząd na poziomie wyżej, tyle że w inną stronę, podobnie jak inne sześciany na kolejnych piętrach, prawdopodobnie aż do poziomu 61 012, odległego o siedemnaście pięter.

W miarę zbliżania się szybu, przeznaczonego do wyniesienia biura awansowanej Rezydentki, grad filiżanek, spodków i kałamarzy stopniowo słabł, aż wreszcie całkiem ustał, podobnie jak strumień obelg. Za to deszcz się nasilił. Przez ułamek sekundy Arthurowi zdawało się, że widzi halucynacyjną wizję gigantycznych wiader utkanych z fioletowego światła, które same się obracały i wylewały swoją zawartość do szybu.

– Cofnąć się! – rozkazała Alyse. – Ty nie, Ray, zostajesz ze mną. Reszta, jedziecie Wielkim Łańcuchem na poziom 61 012.

– Hej, ale ja chcę jechać w tym... – zaczęła Suzy, zanim Arthur dał jej znak, przesuając ręką po gardle. Skrzywiła się i zerknęła na Alyse, a kiedy napotkała jej surowe spojrzenie, niechętnie podążyła za innymi w stronę Wielkiego Łańcucha.

Arthur przeszedł na środek biura, odchylił się, żeby uniknąć gwałtownego strumienia wody z góry, i zatrzymał obok biurka. Rezydentka, która nadal tkwiła pod spodem, popatrzyła na niego i przez chwilę powęszyła.

– W górę! – wrzasnęła Alyse. W odpowiedzi automat machnął macką i kilka sekund później segment się zatrzęsł, kiedy łańcuchy ukryte w szkieletcie konstrukcji zabrzęczały i się poruszyły. Trzęsąc się i zgrzytając, biuro zaczęło się powoli wznosić ku miejscu swego przeznaczenia.

Gdy tylko sześcian się poruszył, z góry zwała się ogromna masa wody, tak potężna, że Arthurowi nie udało się przed nią uciec. Zanim spłynęła, utworzyła kałużę sięgającą mu do kolan.

„Arthurze! Jestem rozprowadzona po całym...”

Był to głos Szóstego Fragmentu Woli.

– A cóż to? – odezwał się głos spod biurka. – Czary! Wyczuwam czary!



Rezydentka wystawiła głowę i ponownie powęszyła w powietrzu, lecz bardzo szybko się schowała, kiedy strumień wody chlusnął jej w twarz.

Arthur potrząsnął głową, rozpryskując dookoła mgielkę drobnych kropelek, które zmieszały się z deszczem. Alyse spojrzała na niego podejrzliwie.

– Wszystko w porządku – zapewnił ją Arthur pogodnie i unióś kluczek francuski. – Jestem gotowy do pracy.

– Mam nadzieję – mruknęła.

„Rozprowadzona po całym... Po czym? – zastanawiał się Arthur. – Wola przemówiła do mnie trzykrotnie, a przy dwóch ostatnich okazjach byłem przemoczony do suchej nitki... ”

– Deszcz – wyszeptał do siebie. Wetknął kluczek pod pachę, złączył dłonie, wyciągnął je przed siebie i popatrzył, jak zbierają się w nich krople. Prowizoryczne naczynie wkrótce napełniło się po brzegi, więc przysunął je do zielonej lampy na biurku i popatrzył w czystą wodę, poszukując potwierdzenia swoich domysłów.

Pod światłem, głęboko w wodzie, Arthur ujrzał zapętlające się i skręcone litery, które tworzyły dobrze mu znane słowa, a następnie rozdzielały się i ponownie stykały ze sobą w bezustannej walce z ciecżą.

Szósty Fragment Woli jest ukryty w deszczu i podzielony na tysiące, może miliony kropli. Może próbować się odtworzyć tylko w maleńkiej cząstce, kiedy woda zbiera się w większą całość, jak w kanale albo wtedy, gdy chluśnie z góry...

– Co robisz, dziecko Szczurołapa? – spytała Rezydentka, która znowu wyszła spod biurka. Pochyliła się pod parasolem i uniosła *pince-nez* zawieszony na sznurku na szyi.

– Wydawało mi się, że coś spada – wyjaśnił Arthur. – Złapałem to, ale to chyba był kawałek chleba albo coś, co się od razu rozpadło.

– Czyżby? – Rezydentka zatknęła binokle na nosie i zamrugła oczami. – Byłam pewna, że wyczułam czary... A teraz widzę, że trzymasz coś w torebce. Daj mi to.

Arthur powoli pokręcił głową i zbliżył się do Rezydentki, zaciskając dłoń na kluczu francuskim.

– Ray... – ostrzegła go Alyse.

– Oddaj saszetkę, bo cię rozedrę na strzępy – zagroziła mu Rezydentka

znudzonym głosem. – Jestem teraz pełnoprawną czarnoksiężniczką, choć chwilowo tylko Piątego Stopnia. Dawaj!

Sięgnęła po parasol, gotowa złożyć go i użyć jako broni.

Arthur zaatakował, kiedy dotknęła przycisku i parasol zaczął się składać. Rąbnął ją kluczem francuskim w głowę z taką siłą, że narzędzie odbiło się od jej czaszki. Rezydentka zamrugła.

– Żadne małe dziecko Szczurołapa nie potrafi uderzyć tak mocno, żeby... żeby... – Zająknęła się i umilkła, po czym znowu zamrugła i powoli osunęła się na podłogę.

Arthur osłonił siebie i Rezydentkę częściowo rozpostartym parasolem, po czym wcisnął ją z powrotem pod biurko.

– Coś ty narobił! – wysyczała Alyse wściekłym szeptem. – Przez ciebie zabijają nas wszystkich!

– Tylko ją ogłuszyłem – odparł. – Nie miałem wyjścia. Powiedz mi, dokąd spływa ten cały deszcz? Jest tu jakiś zbiornik retencyjny?

– Co? – spytała Alyse, zajrzała pod biurko i ponownie się wyprostowała. Jej brygada była już na górze, podobnie jak szereg zasępionych Czarnoksiężników Nadliczbowych.

– W jaki sposób dostali się tam przed nami? – zdziwił się Arthur.

– Pojechali zwykłą windą, jak zawsze.

– Będą ciekawi, co się stało z tą czarnoksiężniczką, prawda?

– Pewnie!

– Czy Rezydentom zdarza się zasypiać przy biurku? – zainteresował się Arthur. Zastanawiał się, jak ukryć nieprzytomną Rezydentkę, lecz w segmencie nie było odpowiedniego miejsca. Otaczały ich tysiące czarnoksiężników przy biurkach...

– Oni zawsze śpią przy biurkach – wyjaśniła Alyse. – Ale jest środek dnia, nie? Wiedziałam, że trzeba było cię zepchnąć z Wielkiego Łańcucha.

Znajdowali się w odległości czterech pięter od celu. Arthur widział, że Suzy wychyla się znad krawędzi i patrzy na niego. Znowu pomachała, a Arthur w odpowiedzi podrapał się po głowie, po czym wyrzucił w górę ręce. Miał nadzieję, że w ten sposób uprzedzi Suzy o grożących im poważnych kłopotach. Rzecz jasna, i tak nie mogła im zaradzić.

Jedyne, co mu przychodziło do głowy, to sięgnąć po Piąty Klucz, przez zaskoczenie pozabijać jak najwięcej Czarnoksiężników Nadliczbowych oraz Rezydentów przy biurkach, a na koniec uciec. W ten sposób jednak nie uwolniłby Woli i praktycznie zamknąłby sobie drogę powrotną.

– Widziałaś kiedyś, żeby któryś z nich nie chciał wyjść spod biurka, kiedy jego segment znalazł się na nowym poziomie? – spytał Arthur.

– Skąd! Część z nich tysiącami lat czeka na awans. Od razu wychodzą spod biurka, a potem jeszcze tańczą na nich z radości. Albo zabierają się do rzucania zaklęć, żeby chwycić wodę i ciskać ją na dawnych kolegów.

Trzy piętra wyżej, na krawędzi prowizorycznego szybu snuła się chwiejnie spora grupa Czarnoksiężników Nadliczbowych, zapatrzonych ponuro w przestrzeń pod sobą.

– No tak – westchnął Arthur i rozejrzał się szybko, żeby sprawdzić, czy segment znajduje się powyżej zasięgu wzroku okolicznych Rezydentów. – Tak czy owak, muszę coś zrobić.

– Niby co? – zaniepokoiła się Alyse.

– To. – Arthur przesunął parasol tak, żeby ukryć siebie i fragment biurka przed spojrzeciami Rezydentów z góry.

Alyse najpierw wydawała się zdezorientowana, a po chwili ze zgrozą patrzyła, jak Arthur nagle bierze zamach kluczem francuskim i rozbija zieloną lampę, która eksploduje ze złowieszczym trzaskiem i obsypuje blat deszczem iskier. W górę wystrzeliła ściana płomieni, a krople padającego na nią deszczu momentalnie przemieniły się w kłęb pary.

Arthur przebił się przez chmurę, skoczył w kąt segmentu i wpakował klucz francuski do sunącego w górę łańcucha. Wyteżył się i swoją nadludzką mocą próbował złamać jedno z ogniów, lecz klucz tylko zgiął się na pół i pękł mu w dłoni. Łańcuch nieprzerwanie wznosił się dalej, razem z głowicą narzędzia, a wraz z nim także całe biuro... Nagle rozległ się przerażający zgrzyt i segment gwałtownie uniósł się z jednej strony i opadł z drugiej. Arthur, Alyse, biurko i nieprzytomna Rezydentka zaczęli się zsuwać do przyległego sześcianu.

– Zatrzymać mechanizm! – ryknęła Alyse w górę szybu i jednocześnie kopnęła biurko, żeby przesunąć je do rogu. – Pęknięcie łańcucha! Stać! Pęknięcie łańcucha!

Spowity kłębami pary Arthur złapał osuwającą się Rezydentkę, ale przeciwległa

ściana biura nadal się unosiła, coraz bardziej przechylając podłogę.

– Zatrzymać mechanizm! – wrzeszczała Alyse nieprzerwanie.

Łańcuch nagle przestał zgrzytać, segment się zatrząsł i całkowicie znieruchomiał, pochylony pod kątem trzydziestu stopni. Płomień z zielonej lampy przygasł, a para się ulotniła. Arthur pośpiesznie posadził Rezydentkę przy przesuniętym biurku, żeby wyglądała tak, jakby uderzyła się w głowę podczas wypadku.

– Kto może wiedzieć, dokąd spływa woda? – spytał Arthur pośpiesznie.

– Jak śmiesz – warknęła Alyse w odpowiedzi. – Cieszyliśmy się dobrą opinią!

– Są sprawy ważniejsze od waszej dobrej opinii – burknął. – Choćby to, że cały Dom oraz Wszechświat zostaną zniszczone, jeżeli nic nie zrobię, więc przestań stękać i mów, kto może wiedzieć, dokąd spływa cała ta woda!

Alyse się skrzywiła i spojrzała w górę. Krople deszczu rozprysły się jej na goglach. Po chwili namysłu ponownie zerknęła na Arthura.

– Jezyszcet będzie wiedział. Idź, spytaj go i trzymaj się od nas z daleka!

– Wszystko tam u was dobrze na dole? – zawołał smarowacz z góry.

– Niezupełnie! – odkrzyknął Arthur. – Potrzebujemy jeszcze chwili! – dodał i popatrzył na Alyse. – Gdzie znajdę Jezyszczeta? Poza tym idę o zakład, że będziemy potrzebowali jakiejś przepustki, żeby wydostać się stąd samodzielnie, co?

– Przy wejściu do kanału, którym przyszlście, znajdziesz piszczałkę – wyjaśniła Alyse. – Zagraj melodię Jezyszczeta, to przyjdzie.

– Jego melodię? Ach, tę, którą pogwizdywał, pamiętam ją.

Arthur miał bardzo dobry słuch, do tego stopnia, że ludzie często uważali, iż odziedziczył go po ojcu, gitarzyście The Ratz. Nie mieli pojęcia, że tak naprawdę Bob był jego ojczymem.

– Czy potrzebujemy przepustki, żeby wrócić?

– Napiszę, że wysłałam was po jakąś część, którą macie przynieść. – Alyse sięgnęła po notatnik i niebieski ołówek, po czym szybko nagryzmoła coś na jednej z kartek. Oddała ją i wręczyła Arthurowi. – To wystarczy. Ruszaj!

– Wszystko się zmieni – zapowiedział. – Czy tego chcesz, czy nie. Pytanie tylko, czy na lepsze, czy na gorsze.

– Chcemy robić to, co do nas należy – oznajmiła Alyse takim tonem, jakby

powtarzała mantrę.

Parasol nad nimi nagle się poruszył, kiedy odsunął go ubrany na czarno Czarnoksiężnik Nadliczbowy, jego kolega wylądował z pluskiem obok, po chwili zeskoczył jeszcze trzeci. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na Arthura i Alyse, interesowała ich wyłącznie nieprzytomna czarnoksiężniczka na podłodze. Arthur zauważył, że na ustach każdego z nich błąka się uśmiešek, niedostrzegalny dla nikogo, kto stałby choć trochę dalej. Najwyraźniej cieszyli się z nieszczęścia nieprzytomnej czarnoksiężniczki oraz ze wstrzymania jej awansu.

– Szefowo! Co robimy? – zawołał któryś ze smarowaczy na górze.

Alyse podniosła wzrok.

– Złażcie tutaj! – rozkazała. – Ty, Bigby i Whron. Wysyłam Raya i Suze na dół, po tymczasową klamrę do łańcucha numer trzy. Reszta niech sprawdzi każdy centymetr poziomego łańcucha, w odległości dziesięciu biur stąd, we wszystkich kierunkach. Może doszło do korozji.

– Wypadek spowodowany naturalną korozją? – spytał metaliczny, dudniący głos, dobiegający z jednego z automatów. Maszyna przemawiała przez wentyl pod środkową kulą, który otwierał się i zamykał w dość upiorny sposób.

– Skąd mogę wiedzieć!? – krzyknęła Alyse. – Zapewne tak, ale musimy spojrzeć.

– Wyższe władze już w drodze – doniósł automat. – Czekaj na polecenia.

– Wielka szycha! – syknął jeden ze smarowaczy na górze.

Trzej Czarnoksiężnicy Nadliczbowi stanęli na baczność niczym marionetki.

– Szybko, zeskocz na niższy poziom, biegnij na północ i zleć na skrzydłach – poleciła Arthurowi Alyse. – Czarnoksiężnik Nadzorca z miejsca przejrzy was na wylot.

– Suze! – zawołał Arthur. – Zejdź tutaj!

– Jestem! – oznajmiła Suzy, hałaśliwie wylądowała obok niego i niemal stoczyła się z podłogi, zanim zdołała się czegoś złapać. – Śpieszy się nam, co?

– Tak – potwierdził Arthur, puścił się i zeskoczył na niższy poziom. Z początku zamierzał opaść na biurko, żeby skrócić skok, ale zrezygnował. Zwracanie na siebie uwagi czarnoksiężnika nie miało sensu, zwłaszcza że miejscowi Rezydenci, ukryci pod fioletowymi parasolami, nie zajmowali się pisaniem. Co prawda wpatrywali się z uwagą w lusterka do golenia, czy też raczej urządzenia o wyglądzie zwierciadełek, ale żaden z

nich nic nie zapisywał.

– Dokąd się wybieramy? – zainteresowała się Suzy.

– Na bok i w dół – wyjaśnił Arthur cicho i ruszył przodem przez biuro, omijając Rezydenta, który wysunął krzesło znacznie bardziej niż należało. – Polecimy. Musimy znowu znaleźć Jeżyszczeta i skłonić go, żeby nas zaprowadził tam, dokąd spływa deszczówka.

– Dlaczego po prostu nie spytasz Alyse? Przecież ma ten przewodnik po wszystkim tutaj, i w ogóle.

Arthur zatrzymał się tak gwałtownie, że Suzy wpadła mu na plecy.

– Jaki przewodnik? – spytał.

– Książkowy. Tam jest wszystko: mapy i wskazówki potrzebne brygadzie, żeby dotrzeć tam gdzie należy. Tak w każdym razie mówił Bigby. Trochę to takie jak twój *Atlas*, ale gorsze.

Arthur się odwrócił. Minęli zaledwie sześć segmentów.

– Zwyczajnie chciała się nas pozbyć – wycedził.

– Trudno się dziwić – zauważyła Suzy. – Kto by ją za to winił?

– Ja mógłbym. – Arthur chciał jeszcze coś dodać, ale wtedy chlusnęła woda i Suzy upadła na podłogę.

– Ta plucha to lekka przesada – stęknęła, niezdarnie wstając. – Nie zaszkodziłby czasem promyk słońca albo dwa, jeśli o mnie chodzi.

– Jeśli o nas wszystkich chodzi – przyłączył się Rezydent przy pobliskim biurku, ani na moment nie odrywając wzroku od monitora w lusterku.

– Sądziłam, że nie wolno wam z nami rozmawiać – upomniała go Suzy.

– Bo nie wolno – westchnął. – Ale takie gapienie się w lustro jest straszliwie nudne. Przez cały czas musimy czekać, aż wydarzy się coś godnego uwagi. Co takiego mówiłeś? Że niby ktoś chce się was pozbyć? Nie dosłyszałem przez ten deszcz.

– Nic takiego – zapewnił go Arthur.

– To co zwykle? – Rezydent ponownie westchnął. – Sądziłem, że wy, smarowacze, nie jesteście tacy obarczeni, bo przecież nie liczycie na awans i tak dalej.

– Obarczeni? – zdziwiła się Suzy.

– Obarczeni jarzmem niechęci i zazdrości – uściślił Rezydent. – Weźmy mój

ostatni awans, dla przykładu. Koledzy, z którymi pijałem herbatę przez ostatni tysiąc lat, z którymi podzieliłem się niejednym ciastkiem... cisnęli we mnie działowym srebrnym imbrykiem, kiedy unosiłem się ponad ich głowami.

– Chodź, Suze – odezwał się Arthur. – Musimy wracać.

– Poważnie? A co z Nadzorcą?

– Nadzorca? – pisnął Rezydent. – Odsuńcie się! Muszę skupić się na nauce!

Natychmiast otworzył książkę i zaczął czytać ją półgłosem, jednocześnie obserwując lusterko. W rezultacie jedno jego oko było skierowane w lewą, a drugie w prawą stronę, co wyglądało raczej niepokojąco.

Arthur przez chwilę stał jak wryty, a w końcu zwrócił się z powrotem do unieruchomionego biura.

– A co z Nadzorcą? – powtórzyła Suzy szeptem, gdy zrównała z nim krok.

– Raczej nic nam nie zagrazi, jeśli zachowamy odpowiedni dystans. – Arthur był tak wściekły na Alyse, że nawet nie brał pod uwagę potencjalnego niebezpieczeństwa związanego z dekonspiracją. – Wydobędę od Alyse potrzebne informacje i ponownie wyruszymy.

Czterech smarowaczy naprawiało uszkodzony segment, lecz nie było przy nich ani Alyse, ani Czarnoksiężników Nadliczbowych, jak również żadnych innych Rezydentów. Arthur na wszelki wypadek rozglądał się przez kilka sekund, następnie wdrapał po narożniku konstrukcji i ponownie wszedł do biura.

Whron podniósł wzrok znad demontowanego ogniwa.

– Zdaje się, że Alyse wysłała cię po klamrę do łańcucha!

– Fakt – przyznał Arthur. – Ale najpierw muszę ją o coś spytać. Dokąd poszła? Jest z Czarnoksiężnikiem Nadzorcą?

– Jakim Nadzorcą? – zdumiał się Whron. – Zjawił się Automat Planowniczy, ale on jest jakieś pięć, może cztery kategorie niżej...

– Więc gdzie jest Alyse?

– Nie mam pojęcia. – Whron wzruszył ramionami. – Wszyscy sprawdzają łańcuch piętro wyżej, tylko my zostaliśmy tutaj.

– Jasne. – Arthur ugiął kolana i skoczył na biurko, ustawione pionowo, żeby nie przeszkadzać smarowaczom w pracy. Stamtąd dał zwinnego susa na następny poziom.

– Szpaner – burknęła Suzy i wdrapała się na górę po narożniku konstrukcji.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Alyse odnalazła się na następnym piętrze, w biurze \_ obok szybu. Była zajęta zwijaniem w rulonik kartki papieru, którą zamierzała umieścić w kapsule pocztowej z biurka czarnoksiężnika. Wszyscy pozostali smarowacze zajmowali się kontrolą łańcuchów i kręcili po okolicznych segmentach. W pobliżu nie było nawet śladu automatów ani też Automatu Planowniczego.

Arthur rzucił się ku Alyse, chwycił ją za łokieć i obrócił tak, żeby oboje stali plecami do czarnoksiężnika.

– Usiłowałaś mnie wykiwać! – wyszeptał z wściekłością. – W twoim notatniku są informacje, których potrzebuję.

– Puszczaj – zaprotestowała, ale nie podniosła głosu.

– Nie rób zamieszania – uprzedził ją Arthur i zacisnął palce na jej ręce. – Jeżeli się dowiedzą, kim jestem, wszyscy zostaniecie ukarani, ty i twoja brygada. Może nawet straceni.

– Dobra – zgodziła się niechętnie. – Czego chcesz?

– Szukam dużego rezerwuaru, czy też zbiornika na wodę. Ale najpierw pokażesz mi ten list.

Wyciągnął rękę, porwał pismo, zanim Alyse zdołała je chwycić, i rozprostował palcami.

*Do Starszego Czarnoksiężnika Brygadzysty 61 580*

*Donoszę o pojawieniu się dwojga podejrzanych dzieci Szczurołapa, które fruną do Pokoju Smarowaczy z 27. Brygady Kontroli Łańcuchów i Napędu. Używają imion Ray i Suze.*

– Zdrajczyń! – warknął Arthur.

– Co z tym listem, gotowy czy nie? – odezwał się czarnoksiężnik, który całkiem obojętnie podszedł do oczywistego konfliktu między Arthurem i Alyse. – Nie mam dla

ciebie całego dnia.

– Zaszła omyłka – wyjaśnił Arthur. – Nie ma żadnego listu, dziękujemy.

Popchnął Alyse ku tymczasowemu szybowi i przekazał list Suzy, która przeczytała jego treść i spochmurniała.

– My, dzieci Szczurołapa, zawsze trzymamy ze sobą – wyszeptała. – Zawsze!

– Praca przede wszystkim – podkreśliła Alyse.

– Suzy, popilnuj jej, a ja przejrzę książkę – powiedział Arthur. – Zachowujcie się jakby nigdy nic. Alyse, pamiętaj: jeśli spróbujesz wyciąć jakiś numer, odpowie za to cała brygada, w taki czy inny sposób.

– Jak to: jakby nigdy nic? – spytała Suzy i chwyciła Alyse za rękę.

– Sprawiajcie wrażenie przyjaciółek, zapatrzonych w coś na podłodze – poradził im. Rozpiął kieszeń Alyse i wyjął notatnik.

– Nie dasz rady z niego skorzystać – oświadczyła Alyse. – Jest tylko dla brygadzystów.

– Lepiej, żeby nie robił mi trudności – wycedził Arthur i otworzył książkę. Alyse westchnęła z wrażenia.

– Przecież nie powinieneś być w stanie go otworzyć!

Puścił jej słowa mimo uszu i odczytał napis na stronie tytułowej: *Rejestrowany Przewodnik Kontroli Łańcuchów i Napędu nr 457589*. Następnie zajrzał na koniec książki, gdzie znajdował się skorowidz, sprowadzający się do wypisanych w kolejności alfabetycznej dużych liter od A do Z. Arthur dotknął W, a wtedy kartki samoczynnie przewertowały się na stronę z listą zagadnień, zaczynających się na tę literę. Odczytał je szybko i zatrzymał się na haśle „Woda” z długą listą podhaseł, między innymi „Magazynowanie, ciągle” oraz „Magazynowanie, przejściowe”.

Pod nagłówkiem „Woda, Magazynowanie, ciągle” znajdowało się kilka wpisów, między innymi „Centralny Rezerwuar Deszczowy” oraz „Zbiornik Zasilania Deszczowego w Środkowej Wieży”. Arthur nie musiał nawet dotykać tego ostatniego hasła, wystarczyło, że spojrział na nie odrobinę dłużej niż na inne, a książka sama otworzyła się na stronie z rysunkiem przekroju budowli, mapą i zestawieniem danych technicznych.

– Wyżej znajduje się zbiornik z wodą. Ma powierzchnię około stu segmentów

kwadratowych i jest zainstalowany między poziomem 61 350 a 61 399 – oznajmił Arthur. – To powinno wystarczyć, jest dostatecznie duży.

– Dostatecznie duży na co? – spytała Suzy, która kuciała obok Alyse i obie udawały, że coś przykuło ich uwagę w kratownicy tworzącej podłogę.

– Wyjaśnię ci po drodze. – Arthur ponownie zerknął do notatnika, zamknął go i chciał schować do własnej kieszeni, kiedy książka zatrzęsała mu się w dłoni i zagrzechotała.

– Co to znaczy?

– Zmiana rozkazów – wyjaśniła Alyse. – Mogę spojrzeć?

Arthur się zawahał. Nagle usłyszał dobiegający zewsząd syk i grzechotanie, a sekundę później wystrzał kapsuł, które wypadały z rur poczty pneumatycznej i z donośnym stuknięciem lądowały na biurkach wszystkich Rezydentów w polu widzenia.

Arthur otworzył książkę, która samoczynnie wybrała stronę z dużym czerwonym tekstem:

*Powszechna mobilizacja*

*Wieża osiągnęła punkt docelowy pod spodnią stroną Niezrównanych Ogrodów. Wszystkie brygady inżynieryjne mają się niezwłocznie udać do Pierwszej Zewnętrznej Platformy Windowej na Parterze i podporządkować się rozkazom Sobotniego Południka w celu zabezpieczenia i uniesienia tarana.*

Wszyscy Rezydenci podnosili się z miejsc i zgodnie zdejmowali oraz składali parasole. Ci, którzy już mieli je w rękach, odchodzili od biurków i ustawiali się w długich szeregach, gotowi do wymarszu.

– Czy tędy się idzie do zwykłych wind? – spytał Arthur.

– Tak – potwierdziła Alyse. – Jakie dostaliśmy rozkazy? Musimy je wykonać!

Arthur wręczył jej notatnik, a gdy Alyse czytała, on obserwował otoczenie. Dowódca Czarnoksiężników Nadliczbowych studiował książkę podobną do tej, którą Alyse trzymała w dłoniach. Nadliczbowy podniósł wzrok i zatopił smutne spojrzenie w oczach Arthura, na co chłopiec szybko skierował wzrok w dół, na wypadek gdyby Czarnoksiężnik dysponował dostateczną mocą, aby go rozpoznać.

– Musimy się śpieszyć! – podkreśliła Alyse. – Nadszedł czas, to wielka chwila. Pojedziemy na samą górę!

– O co chodzi z tym taranem? – zainteresował się Arthur.

Alyse wzruszyła ramionami.

– Jest tak wielki, że trzeba go transportować zewnętrzną windą towarową. Wygląda niesamowicie: ma długość stu metrów i nie potrzebuje łańcucha. Jest samobieżny, a obsługuje go dwustu wysokich czarnoksiężników...

– Możemy też pojechać na górę? – spytała Suzy, której udzielił się entuzjazm Alyse.

– Nie – oświadczył Arthur. – Alyse, puszczę cię i brygadę, ale musisz przysiąc, że nikomu o nas nie powiesz i że nas nie zdradzisz.

– Pewnie! Jasne! – zgodziła się Alyse, odrobinę zbyt pośpiesznie.

Arthur się rozejrzał. Rezydenci z okolicznych biur odmaszerowywali. Tylko Czarnoksiężnicy Nadliczbowi nadal kręcili się w pobliżu i obserwowali smarowaczy, którzy w większości jedynie udawali, że sprawdzają łańcuchy. Co chwila zerkali na Alyse, niepewni, co się właściwie dzieje.

– Daj rękę – szepnął Arthur. – I obiecaj mnie, lordowi Arthurowi, Prawowitemu Dziedzicowi Architektki, że nas nie zdradzisz.

Alyse podała mu dłoń.

– Obiecuję ci, lordowi Arthurowi, że was nie zdradzę.

Z palców Arthura spłynęła biała poświata, przenikając rękę Alyse. Brygadzistka krzyknęła, ale Arthur jej nie puścił, dopóki ledwie widoczne światło nie zniknęło.

– Co tu się wyprawia? – spytał ktoś powoli, niskim głosem.

Arthur się odwrócił. Jeden z Czarnoksiężników Nadliczbowych przysunął się bliżej i węszył w powietrzu.

– Coś błyszczącego spadło z góry i potoczyło się po podłodze – wyjaśnił Arthur pośpiesznie. – Ale chyba nie ma czasu na poszukiwania, skoro zarządzono tę powszechną mobilizację. Dobrze mówię, szefowo?

– Dobrze – potwierdziła Alyse i energicznie potrząsnęła głową, opryskując wodą twarz Arthura i Suzy. – Nie ma czasu do stracenia...

– Coś z góry? Coś błyszczącego? – upewnił się Nadliczbowy i natychmiast ukląkł

z nosem przy podłodze. Arthur i reszta odsunęli się od niego.

– Nie ma czasu do stracenia! – krzyknęła Alyse. – Brygada, formuj szyk! Zjeżdżamy na parter, żeby zająć się Zewnętrzną Windą Numer Jeden!

– Numer Jeden? – odezwał się ktoś z przekrzywionego biura w dole. – Zewnętrzna Winda Numer Jeden?

– Tak! – wrzasnęła Alyse. – Ruszać się! Wracamy do Wielkiego Łańcucha!

Nadliczbowy węszył coraz bliżej stóp Arthura, a z okolicy zaczęli się schodzić następni ponurzy Rezydenci, zaintrygowani zachowaniem czarnoksiężnika.

– Pojedziemy łańcuchem w górę, kiedy pierwsza para wyruszy na dół – zapowiedział Arthur, wraz z Suzy pośpiesznie idąc za Alyse. Wszystkie biura świeciły już pustkami, znikli z nich zarówno Rezydenci, jak i parasole. – Dotrzemy do zbiornika wody, zabierzemy Szósty Fragment Woli i wyniesiemy się stąd.

– A co z tym, jak mu tam, taranem i Sobotą, co to niby ma się dostać do Ogrodów i w ogóle? – spytała Suzy.

– Po kolei, najpierw jedno, potem drugie – oznajmił Arthur. Wielki Łańcuch znajdował się w odległości zaledwie dwunastu segmentów. Popatrzył za siebie. Wszyscy Nadliczbowi klęczeli na podłodze biura, w którym przed chwilą przebywał. Przypominali Arthurowi stos wijących się larw rośliniarek, które spadały z drzew w ogrodzie przy jego domu.

„Mam nadzieję, że uda mi się wrócić na czas i dopilnować, aby mój dom nie znikł z powierzchni ziemi – pomyślał. – Inna sprawa, że ludzie są ważniejsi od budynków, a dom stoi chyba dostatecznie daleko, by przetrwać atak atomowy. Ale Liść i cała reszta są zbyt blisko, a ja nawet nie wiem, co zrobiłem, ani na jak długo to wystarczy... Trudno mi o tym myśleć w tej chwili. Muszę się skupić na tym, co mnie teraz czeka...”

– Jakiego koloru parasole są używane powyżej poziomu 61 300? – spytał. – O ile Rezydenci ich nie zabrali.

– W niebiesko-żółtą kratę – wyjaśniła Alyse.

– Będziemy liczyli od tego piętra – postanowił i popatrzył w górę. Widział rzędy wędrujących Rezydentów, ale wszyscy złożyli parasole i nikt nie został przy biurku. – Alyse, możesz jechać na dół. My obejdziemy szyb i skorzystamy z łańcucha wiodącego do góry.

– Nie miej do mnie żalu – powiedziała.

– Mała szansa – odparł.

„Wrócę i potwornie ją ukarzę – pomyślał, lecz natychmiast stłumił chwilowy przyływ wściekłości. – Są ważniejsze rzeczy do zrobienia. O pewnych sprawach lepiej zapomnieć”.

– Uważaj na siebie, Alyse – pożegnała się Suzy. – I nie pchaj palca między drzwi.

Pomachała wesoło, kiedy Alyse wraz z innym smarowaczem weszła na sunące w dół ogniwo łańcucha. Arthur pośpiesznie obszedł studnię i stanął przy łańcuchu pędzącym w górę.

– Łatwizna – oświadczyła Suzy. Arthur wziął ją za rękę. Stali tak przez chwilę, zapatrzeni w gnające ogniwa, próbując ustalić, kiedy wejść na jedno z nich.

– Teraz! – krzyknęła Suzy i oboje zrobili krok naprzód. Albo Suzy nie miała takiej wprawy w ocenianiu prędkości jak Alyse, albo Arthur gorzej dawał sobie radę mimo otwartych oczu, ale nie wybrali idealnego momentu i mechanizm mocno ich szarpnął. Noga Arthura zsunęła się na bok i na chwilę stracił równowagę, ale udało mu się pośpiesznie cofnąć stopę.

– Hopsadynka – skomentowała Suzy. t – Niezła zabawa z tym łańcuchem. Przydałby się taki w starym Niższym Domu.

– Niższy Dom już nie istnieje – przypomniał jej Arthur, pochłonięty liczeniem mijanych ze świstem pięter.

– Racja. Zapomniałam. Ech.

Arthur popatrzył na nią ze zdumieniem. Jak mogła zapomnieć o czymś takim? Czasami nachodziła go refleksja, że dzieci Szczurołapa nie są ani trochę bardziej ludzkie niż Rezydenci, mimo że niegdyś były zwykłymi śmiertelnikami.

Zatopiony w rozmyślaniach, kompletnie zapomniał o rachowaniu pięter.

– Kurczę! Mam nadzieję, że kilka pięter w górę czy w dół to i tak wszystko jedno. Zbiornik Zasilania Deszczowego powinien być gigantyczny, jeśli wierzyć przewodnikowi, którego już niestety nie mam.

– Dlaczego jedziemy do Zbiornika Zasilania Deszczowego?

– Nałap trochę deszczu i przyjrzyj mu się uważnie. – Arthur złożył dłonie w miseczkę, a Suzy poszła za jego przykładem. Oboje pamiętali, żeby nie wystawiać rąk

zbyt daleko poza łańcuch. Mogliby je stracić w razie uderzenia o wystającą część konstrukcji jednego z wyższych poziomów.

– Czego wypatruję? – spytała Suzy, gdy jej dłonie po brzegi wypełniły się czystą wodą.

– Liter i słów.

– Są! Widzę! – uradowała się. – Orlgwxstre... orlgwxstre... hm... brzmi znajomo, ale jakoś nie kojarzę...

– To nie jest konkretne słowo – objaśnił jej Arthur. – Masz przed sobą przypadkowe, chaotycznie zebrane urywki Woli. Jej treść została rozbita i wymieszana z deszczówką. Dlatego muszę znaleźć miejsce, w którym gromadzi się dużo wody, bo tam czeka więcej tekstu, a może nawet prawie cały Szósty Fragment.

– Rozumiem! – Suzy skinęła głową. – Więc zwyczajnie tam wejdiesz, a potem znikamy?

– Myślę, że tak. To chyba najrozsądniejsze, co możemy zrobić, choć chciałbym wiedzieć, dlaczego Sobota tak bardzo chce się dostać do Niezrównanych Ogrodów i czemu nie może zwyczajnie skorzystać z windy. Och, nie!

– Co? – Suzy rozejrzała się niespokojnie.

– Znowu się pomyliłem przy liczeniu. Może zobaczymy ten zbiornik, skoro biura są puste.

Wszystkie segmenty, które mijali, rzeczywiście świeciły pustkami, choć na jednym z pięter Arthur zauważył, że coś się porusza.

– Na tym poziomie byli czarnoksiężnicy, ale nie siedzieli, tylko stali na biurkach.

– Na tym też. Co oni robią?

Piętra migały zbyt szybko, żeby Arthur mógł mieć pewność, ale wydawało mu się, że w mijanych biurach widzi pełno Rezydentów, którzy poruszali się w powolnym, dopracowanym tańcu na brzegach biurek. Tańczyli przy złożonych parasolach, w deszczu, rozpryskując wokół łuki drobnych kropli, kiedy obracali się i podskakiwali.

– Nie mam pojęcia – przyznał Arthur i zmarszczył czoło. – Miałem nadzieję, że wszyscy Rezydenci przeszli do wind i skierowali się tam, gdzie im kazano. Miej oko na wszystko, co może przypominać zbiornik z wodą. Na pewno jesteśmy już niedaleko.

Minęli jeszcze kilka poziomów z czarnoksiężnikami tańczącymi na biurkach,

potem pokonali parę pustych pięter. Tylko w oddali widać było Rezydentów maszerujących w głąb wieży.

– Będziesz patrzyła w tym kierunku, a ja w przeciwnym – oznajmił Arthur. – Straciłem orientację, nie wiem, gdzie jest północ. Szkoda, że nie zabrałem przewodnika. Gdzie ja miałem głowę?

– Pewnie uznałeś, że Alyse będzie go potrzebowała. A niech mnie! To chyba tutaj?

Arthur natychmiast się odwrócił i od razu tego pożałował. Podczas prędkiej jazdy na wewnętrznym ogniwie łańcucha nie należało wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Zachwiał się, prawie stracił równowagę i wpadł na Suzy, która zakołysała się niebezpiecznie i przesunęła na skraj ogniwa. Niewiele brakowało, a wypuściłaby je.

Wyprostowując się, Arthur dostrzegł wznoszącą się blisko środka konstrukcji szklaną ścianę, za którą połyskiwała niebieskawa woda. Bok zbiornika rozciągał się przez całe następne piętro i jeszcze jedno powyżej.

– Jedziemy dalej? – spytała Suzy.

– Na sam szczyt rezerwuaru – odparł Arthur. Teraz z ogromną uwagą liczył poziomy. – Przygotuj się, ma czterdzieści dziewięć pięter wysokości.

Zeszli z łańcucha na czterdziestym dziewiątym poziomie. Spodziewali się ujrzeć opuszczone biura albo zajętych pracą czarnoksiężników, lecz tym razem segmenty nie były wyposażone w biurka. W każdym biurze stała mała kanapa, a obok niej lampa. Kanapy obite były różnymi materiałami, począwszy od czarnej skóry, skończywszy na tkaninach w jaskrawe, kwieciste wzory. Na lampach wisiały abażury do kompletu.

– Terytorium Przemysłnych Markierantów – wyszeptała Suzy.

– Fakt – przytaknął Arthur i powiódł wzrokiem dookoła. – Ale nikogo tu nie ma.

Skierował się prosto do zbiornika. Choć ulewa ograniczała mu pole widzenia, dostrzegł szklaną ścianę na kilku piętrach niżej, a przed sobą jej szczyt oraz smaganą kroplami deszczu tafelę czystej, błękitnej wody. Budowla przypominała monstrualne akwarium. Arthur zastanowił się, czy w środku pływały ryby... albo inne stworzenia.

– Więc co, zwyczajnie wetkniesz rękę do środka, czy jak? – zainteresowała się Suzy, gdy stanęli nad brzegiem gigantycznego zbiornika i popatrzyli na bezmiar wody.

Znajdujemy się na wysokości ponad trzech kilometrów, a ten zbiornik wodny ma



ze sto pięćdziesiąt metrów głębokości, albo więcej, przeszło Arthurowi przez myśl. Na jego powierzchni zmieściłoby się pewnie szesnaście basenów olimpijskich. To dopiero zapas wody!

Pochylił się, zanurzył dłoń w wodzie i natychmiast usłyszał w głowie głos Szóstego Fragmentu Woli.

„Arthurze! Potrzebuję twojej pomocy, żeby się pozbierać. Wejdź do wody! Nie mamy chwili do stracenia!”

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Ona chce, żebym się zanurzył – poinformował Arthur Suzy i popatrzył na rozpryskujący deszcz, a potem ponownie zerknął na puste kanapy z tyłu.

– Więc jednak jest tutaj? – spytała Suzy, również oglądając się za siebie.

– Tak. Chyba nie ma na co czekać. Wskakuję, a ty stój na czatach.

Suzy skinęła głową i dobytego ciężkiego klucza francuskiego, którym postukała w otwartą dłoń.

„Ponad sto pięćdziesiąt metrów głębokości – pomyślał Arthur. – Stanowczo zbyt daleko do dna... Ale przecież muszę zdobyć Wolę”.

Odetchnął głęboko i ze służącej za podłogę żelaznej kratownicy zsunął się do wody. Była zimna, jednak nie aż tak, jak się spodziewał. Sobota najwyraźniej lubiła deszcz, lecz nie zamierzała znosić zimna, naturalnego w takiej odległości od ziemi.

Świetnie, pochwalił go Szósty Fragment Woli. Przeplłyn na środek i tam mnie wezwij.

Arthur przez kilka minut unosił się w wodzie jak korek. Nauczył się tej sztuki podczas zajęć szkoły przetrwania, podobnie jak pływania w ubraniu, nigdy jednak nie próbował robić tego w butach. Bez najmniejszego trudu utrzymywał się na powierzchni – z łatwością oddychał, a w dodatku był znacznie silniejszy i wytrzymalszy niż kiedykolwiek wcześniej.

Skierował się na środek akwenu żabką. Zrezygnował z kraula w przekonaniu, że płynąc żabką, będzie lepiej widział okolicę. W połowie drogi obrócił się na plecy i przez pewien czas spoglądał w stronę Suzy. Pomachała mu, a on jej odmachął.

„Dobra robota, Arthurze! Teraz przywołaj mnie w myślach”.

Arthur jak korek unosił się w wodzie, patrzył na deszcz i wyobrażał sobie drobne cząsteczki Woli w każdej kropli.

„Szósty Fragment Woli Architektki, przybądź do mnie, Arthura, Prawowitego Dziedzica – pomyślał i zmarszczył brwi. – Połącz się w jedną całość i przybywaj!”

Długie nitki tekstu pojaśniały i zaczęły nadpływać zewsząd, wijąc się niczym wąsy fosforyzujących roślin morskich. Deszcz zaświecił samoistnym blaskiem i

skierował się ku Arthurowi, zamiast spadać prosto jak dotąd i przelatywać przez kratownice podłogi. Na wyższych piętrach krople i małe kałuże, uwięzione w zakamarkach, nagle ożyły i zaczęły spływać w stronę najbliższych szczelin, aby pofrunąć ku Arthurowi.

Sześćdziesiąt pięter niżej pewna czarnoksiężniczka ze zdumieniem wpatrywała się w lustro. Po chwili wahania wysunęła małą, starannie zamaskowaną szufladkę pośrodku biurka i wcisnęła zakurzony guzik z brązu.

Dookoła niej rozbłysły zwierciadła. Rezydenci, którzy nie zwracali szczególnej uwagi na zawarte w nich obrazy, zgodnie pochyliли się nad lusterkami, zatrzasnęli książki i puścili pióra. Ponad głowami czarnoksiężników nagle zasyczały i zakrzuszyły się rury poczty pneumatycznej, a na biurka wyleciały czerwone kapsuły.

Roztańczeni czarnoksiężnicy na innych piętrach jednocześnie znieruchomieli, a potem rzucili się do rozkładania parasoli, odsuwania krzeseł i zajmowania miejsc przy biurkach. W tym samym momencie przysunęli lusterka, żeby lepiej widzieć.

Na samym szczycie wieży zadzwonił telefon. Słuchawkę podniosła śnieżnobiała, jedwabście gładka dłoń.

Arthur patrzył, jak nitki liter i słów przeplatają się w wodzie, i przez cały czas cierpliwie przyzywał w myślach Wolę. Paski druku zaczęły się łączyć i nabierać kształtu. Coraz bardziej przypominały wielkiego ptaka, który ciemniał z minuty na minutę, aż stał się kruczoczarny i wystawił ponad wodę dziób, głowę i nastroszoną szyję.

– Doskonale, lordzie Arthurze – zakrakał. Zatrzepotał nad wodą tylko jednym z wypełnionych słowami skrzydeł, bo drugie jeszcze nie istniało. – Jestem prawie kompletny. Niech spadnie jeszcze trochę deszczu, a zbiorę się w całości.

– Arthur!

Odwrócił się do Suzy, która wskazywała coś kluczem francuskim.

– Przemysłni Markieranci! Całe stado!

– Jeszcze tylko kilka minut – zapewnił go kruk. – Nie przestawaj mnie przywoływać, lordzie Arthurze.

Arthur usiłował podskoczyć, żeby zobaczyć to, co dostrzegła Suzy, lecz choć z całej siły kopał wodę, udawało mu się wychylić z niej ledwie odrobinę. To jednak wystarczyło. We wszystkich biurach dookoła zbiornika pełno było Przemysłnych

Markierantów. Wypelzali spod kanap, pod którymi dotąd się kryli, cisi i nieruchomi. Teraz zbliżali się do Suzy, uzbrojeni w zakrzywione miecze z błękitnej stali oraz zatrute Nicością kryształowe sztylety.

Suzy odgarnęła płaszcz przeciwdeszczowy za plecy i uniosła klucz.

– Skup się Arthurze! Przyzywaj mnie! – odezwał się głośno Szósty Fragment.

Arthur rzucił się naprzód i popłynął kraulem, najszybciej jak potrafił.

– Arthurze! Nie ucieknę bez ciebie!

Puścił mimo uszu słowa kruka i jeszcze przyspieszył. Przecinał wodę niczym delfin, ale choć nigdy w życiu nie płynął tak prędko, po kilkunastu wymachach ramion ani odrobinę nie przybliżył się do brzegu. Po następnych kilkunastu poczuł, że coś bardzo mocno ciągnie go do tyłu. Przetoczył się na plecy, a wtedy prąd zaczął go popychać także z boku. Gdy się obracał, niewidoczna siła pochwyciła go za nogi.

Porwał go wir. Woda wypływała ze zbiornika, a on wraz z nią zmierzał do niewidocznego ujścia.

– Suzy! – krzyknął. Wody ubywało tak gwałtownie, że Arthur widział już tylko głowę dziewczyny. – Użyj skrzydeł! Leć...

Ciecz wypełniła mu usta. Arthur młócił rękami jak oszalały, aż z najwyższym trudem wynurzył się spod wody. Potęga zasysania była niewiarygodna, nieprzeliczone tony wody ściekały do odpływu o wysokości ponad trzech kilometrów. Zdesperowany chłopiec nigdzie nie widział Suzy. Wokoło błyskały miecze Przemysłnych Markierantów, a w wypełnionych wodą uszach Arthura zadźwięczał szczeł metalu, krzyki oraz pojedynczy, gwałtownie urwany wrzask.

Potem mógł myśleć wyłącznie o sobie. Tonął, płuca wypełniała mu woda, a siła żywiołu nieuchronnie wciągała go pod powierzchnię. Sprawdzały się jego koszmary o długiej, powolnej śmierci w głębinach. Nerwowo sięgnął do torebki u pasa, wepchnął do niej palce i dotknął Piątego Klucza. Nawet nie próbował go wyciągnąć, bo gdyby to uczynił, z pewnością straciłby klucz na dobre. Wyczuł emanującą z niego moc, znacznie osłabioną przez metalowy materiał ochronny, i skupił się na wykorzystaniu magicznej energii. W tej samej chwili wir szarpnął nim wyjątkowo gwałtownie, wykręcił mu ręce za plecy i odwrócił go do góry nogami. Arthur zmierzał teraz do odpływu głową w dół.

Woda całkowicie wypełniła mu płuca, z jego ust wydobyła się ostatnia, mizerna

bańka powietrza.

„Nie umrę – przemknęło mu przez myśl. – Nie jestem już człowiekiem. Jestem Prawowitym Dziedzicem Architektki. Będę oddychał wodą”.

Rozchylił wargi i nabrał potężny, odświeżający haust wody. Nagle przestał się krztusić, a jego twarz, jeszcze przed chwilą wykrzywiona w grymasie paniki, wygładziła się i niemal rozpromieniła w uśmiechu. Ponownie odetchnął wodą i wykonał obrót, żeby nie płynąć głową w dół. Wolał w normalnej pozycji zmierzać w kierunku gigantycznej rury odpływowej.

„Suzy zapewne trafiła do niewoli – pomyślał sobie. – Wyjdę z tego i ją uratuję. Wszystko będzie dobrze...”

Niosący go nurt nieoczekiwanie zmienił kierunek. Arthur nagle uderzył w coś bardzo mocno i boleśnie. Wrzasnął, lecz z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk, a tylko strumień wody. Ponownie coś nim szarpnęło i cisnęło jeszcze mocniej niż poprzednio, łomotało i szorowało, podczas gdy toń zapadała się w korkociągu i nieuchronnie ciągnęła go ze sobą.

Krzyczący bezgłośnie Arthur zwinął się w kłębek, żeby ochronić ciało, a wir wciągał go bezustannie, niczym bezwolną piłkę, coraz niżej, w głąb szerokiej, potwornie długiej rynny, która wiała się stromo.

Woda przez pół godziny ściekała do ujścia rury. W tym czasie Arthur po wielokroć zderzał się z jej ścianami. Straszliwie bolały go wszystkie mięśnie i kości, ale przeżył. Przetrwał drogę, w której każdy śmiertelnik momentalnie straciłby życie.

Z otworu wylotowego gigantycznej rynny tryskał wodospad, zasilający rozległe, podziemne jezioro, wydrążone w skałach bastionu pod Wyższym Domem. Arthur spadł wraz z kaskadą i pogrążył się w głębinach, gdzie leżał na dnie tak długo, aż osłabł targający nim ból.

Nawet minimalny ruch wywoływał nową falę cierpienia, lecz Arthur zmusił się do wypłynięcia na powierzchnię. Wyłonił się z toni ze strachem, że nie uda mu się odetchnąć powietrzem, lecz nie miał z tym problemu. Czuł się równie komfortowo jak pod wodą.

Wyczerpany, unosił się na powierzchni i przez parę sekund rozglądał. Ujrzał wielką rurę oraz eksplodujący z niej wodospad, ale niewiele więcej. Wszędzie unosiła się

mgła, czy raczej para, która znacznie ograniczała widoczność. Gdy woda wysączyła się z uszu Arthura, zaczęły do niego docierać odgłosy głuchego, rytmicznego dudnienia potężnych silników.

„Znowu jestem pod ziemią – pomyślał. – Pośrodku wielkiego basenu. To na pewno Centralny Rezerwuuar Deszczowy...”

– Szósty Fragmentcie Woli? – wychrypiał Arthur. – Też tutaj jesteś?

Spod wody wynurzył się łeb kruka, już nie tak błyszczący i czarny, a w dodatku nie dokończony – tu i tam na jego powierzchni widniały niezapisane linijki. Ptaszysko otworzyło dziób i zakrakowało:

– Lordzie Arthurze, jest tutaj większa część mnie, lecz jeszcze czekam na niektóre zapisy. Podejrzewam, że kilka akapitów składających się na mój ogon nadal spada w postaci deszczu i przybędzie nie wcześniej niż za godzinę.

– Wątpię, żebyśmy mogli poświęcić godzinę na czekanie – zauważył Arthur. – Byłem zbyt pewny siebie. Scamandros ostrzegwał mnie, że czarnoksiężnicy wytropią moją magię w Wyższym Domu. Nie sądziłem tylko, że wezwanie ciebie również będzie się liczyło.

– Sobota z pewnością skierowała wielką rzeszę Rezydentów do wykrywania czarów – potwierdził Szósty Fragment. – To dziwne, bo przecież jednocześnie gromadzi siły przed atakiem na Niezrównane Ogrody. Jeśli dopisze nam szczęście, bitwa się rozpocznie i odwróci od nas uwagę. Tak czy owak, wpadliśmy głęboko pod powierzchnię ziemi. Słudzy Soboty niechętnie zapuszczają się w te rejony.

– Ale automatyczni łowcy Szczurów nie mają takich oporów – odparł Arthur. – Czy możesz się kompletować w dowolnym miejscu zbiornika?

– Niby tak. Czemu pytasz?

– Wolałbym, żebyś przemieścił się bliżej ładu, bo muszę wyjść z wody. Czuję się tak, jakby stratował mnie mamut. W którą stronę powinniśmy popłynąć, żeby jak najszybciej znaleźć się na brzegu?

– Ruszę przodem – zapowiedziała krucza głowa i zaczęła się oddalać. Wyglądało to dość okropnie, bo po powierzchni wody sunął tylko ptasi łeb z kawałkiem szyi, bez żadnego widzialnego napędu.

Zmordowany Arthur powoli popłynął za Wolą, pogrążony w rozmyślaniach o

Suzy i Liść. Nękało go przekonanie, że porzucił je obie, choć wcale tego nie chciał. Tak się po prostu złożyło.

„To nie jest żadne wytłumaczenie – pomyślał ponuro. – Może Suzy dobrze się miewa, pewnie wzięli ją w niewolę, nic więcej. I może Liść przez cały czas tkwi zawieszona w czasie. Chyba zachowuję się strasznie tchórzliwie, skoro czekam na Wolę i zamierzam potem zabrać ją do Cytadeli... Ale co innego mi pozostało?”

Chmury pary się rozstały, odsłaniając długi, kamienny pomost, czy też platformę, która znajdowała się tuż ponad powierzchnią wody. Arthur wdrapał się na nią i legł nieruchomo. Szósty Fragment Woli obserwował go z wody, jednocześnie rozprostowując zaczątki lewego skrzydła.

Arthur nie miał wiele czasu na odpoczynek. Wkrótce usłyszał dźwięk inny od jednostajnego szumu i szcęknięcia silników parowych. Był dyskretniejszy, przypominał szelest zamiatania podłogi, a towarzyszył mu ledwie słyszalny tupot nóg i ciche pogwizdywanie...

Usiadł i powiódł wzrokiem wzdłuż nabrzeża. Gwizd był bardzo delikatny, ale Arthur wiedział prawie na pewno, co to oznacza. Jego podejrzenia wkrótce się potwierdziły – z parującej mgielki wyłonił się Jeżyszczet, trzymając w jednej łapie małą kuszę, a w drugiej siatkę z nieokreśloną zawartością.

– Jeżyszczet! – zawołał Arthur.

Szczur w Wyproście podskoczył, puścił siatkę i obie łapy zacisnął na kuszy, którą wycelował w chłopca.

– Lordzie Arthurze! Co pan tutaj robi?

– Woda splukała mnie rurą odpływową. Ale cieszę się, że pana widzę. Potrzebuję wskazówek. Co pan wyprawia?

Jeżyszczet nadal celował w niego z kuszy i jednocześnie kręcił głową. Arthur z upiorną fascynacją wpatrywał się w bełt. Grot, wykonany z Niematerialnego Szkła, był niczym zapieczętowana butelka, w której wił się maleńki okruch Nicości.

– Proszę o wybaczenie, lordzie Arthurze. Szkoda, że pan się tutaj zjawił, mam jasne rozkazy...

– Niecee! – rozległo się rozpaczliwe wołanie Arthura.

Jeżyszczet pociągnął za spust i zatruty Nicością bełt wystrzelił prosto w kierunku

piersi Arthura.



## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Arthur nie miał czasu na to, żeby pomyśleć albo przykucnąć. Odruchowo się odchylił i chwycił przelatujący belt. Zacisnął palce idealnie pośrodku strzały, dzięki czemu fiolka z Nicością na grocie pozostała nietknięta.

Odwrócił belt, żeby wykorzystać go jako broń ręczną, i natarł na Jeżyszczeta, który pośpiesznie napinał kuszę korbą, aby przygotować ją do następnego strzału.

– Jasne rozkazy – wydyszał Szczur. – Zabić każdego, kto może przeszkadzać. Nie chcę tego, ale muszę!

Arthur znieruchomiał. Jakiś przedmiot, a właściwie cała grupa przedmiotów, wyłaniała się z kłębow pary. Sześć automatycznych łowców Szczurów podążało wzdłuż nabrzeża, długimi mackami badając przestrzeń przed sobą.

Jeżyszczet dostrzegł minę Arthura i odwrócił się w chwili, gdy zaatakował go najbliższy łowca. Szczur odrzucił kuszę, podniósł siatkę i cisnął ją do wody. Usiłował dobyć długiego noża, ale pozbywając się siatki, stracił bezcenne sekundy. Lewe szcypce łowcy chwyciły go za gardło i zacisnęły się na nim z trzaskiem. Natychmiast zbliżył się drugi automat, owinął Szczura mackami ostrymi jak brzytwa i zaczął miażdżyć i ciąć jednocześnie.

Maszyna popełniła błąd. Jeżyszczet niemal na pewno był już martwy, ale pod naciskiem pękły fiolki z Nicością, przechowywane w specjalnym, drewnianym pudełku, które Szczur trzymał na plecach. Nicość eksplodowała i macki łowcy momentalnie się rozpuściły. Urządzenia zabrzęczały i pisnęły niespokojnie, kiedy Nicość niczym rtęć potoczyła się po ich kleszczach oraz cielskach, dematerializując wszystko, co miało z nią styczność.

Wystarczyło kilka sekund, żeby po Jeżyszczecie i automatycznych łowcach nie pozostał nawet ślad. Nicość zbrzyliła się w formie kałuży ciemności i zaczęła przeżerać skalny fundament umocnień. Wkrótce pozostał po niej tylko głęboki szyb, wypalony we wzmocnionym materiale konstrukcyjnym, na którym opierał się Wyższy Dom.

Arthur z uwagą zerkał na pozostałych czterech łowców i przygotowywał się do ich ataku, lecz oni nie natarli. Zakołysali wokoło mackami, ich środkowe, czerwone oczy

pojaśniały, a następnie cała czwórka odwróciła się i ponownie znikła w ciepłych oparach.

– Zorientowali się, że nie jesteś Szczurem – wyjaśnił Szósty Fragment Woli, który odzyskał już dwa skrzydła i skakał po powierzchni akwenu. Wciąż brakowało mu szponów oraz ogona. – Na szczęście. Chyba nie najlepiej sobie radzą z rozpoznawaniem przeciwnika.

– Biedny Jeżyszczet – westchnął Arthur. – Co takiego wrzucił do wody?

– Zerknę – zaproponował ptak. Pomknął po powierzchni i chwycił dziobem dryfującą siatkę. Przeciągnął ją do Arthura, który tymczasem usiadł na brzegu i bezmyślnie kołysał nogami w wodzie. Podczas upadku zgubił buty, a kombinezon poniżej kolan i łokci podarł mu się na strzępy. Nie stracił za to pasa i teraz poklepał jedną z saszetek, aby się upewnić, że w środku jest torebka z Kluczem, medalem Żeglarza oraz Słoniem.

– To magiczne przedmioty – oznajmiła Wola, upuściwszy siatkę obok Arthura. – Nie wiem, do czego służą.

Arthur podniósł wyłowioną siatkę i uważnie przyjrzał się trzem dużym, okrągłym pływakom ze szkła, jeden był czerwony, drugi niebieski, a trzeci zielony. Wyglądało na to, że zrobiono je z tego samego szkła co symultaniczne butle.

– Cisnął je do wody, choć przez to stracił czas na dobyte broni – zauważył Arthur. – To musiało być dla niego niesłychanie ważne.

– Powinniśmy zatem pozostawić kule w wodzie – zdecydował kruk. – Żeby uszanować jego życzenie w obliczu śmierci.

– Co mówisz? – osłupiał Arthur. Żaden znany mu fragment Woli nie zasugerowałby takiego rozwiązania.

– Należałoby wrzucić kule z powrotem do wody – powtórzył Szósty Fragment. – Z szacunku dla zmarłego. Och, właśnie spadł tekst do jednego z moich piór na ogonie. Zaraz wracam.

Zostawił go z siatką w dłoni i ruszył pośpiesznie w kierunku wodospadu z rury odpływowej. Arthur uniósł czerwony pływak i przyjrzał mu się z bliska.

Jeszcze przez chwilę trzymał siatkę i rozmyślał o tym, co powiedziała jego mama, kiedy tłumaczyła coś siostrze Arthura, Michaeli, i nie wiedziała, że on słucha. „Nie istnieją jedyne, absolutnie słuszne rozwiązania. Dlatego pozostaje nam tylko przestrzegać

zasad, w które wierzymy, godzić się z konsekwencjami własnych poczynań i cokolwiek się zdarzy, robić z tego jak najlepszy użytek”.

– Idę o zakład, że tego pożałuję – powiedział głośno i wrzucił pływaki do wody. Zakołysały się u jego stóp i nieśpiesznie odpłynęły. Przemieszczały się tak wolno, że nie potrafił stwierdzić, czy porwał je łagodny prąd, czy też kieruje nimi jakiś napęd.

Patrzył, jak chwiejnie unoszą się coraz dalej, i usiłował wymyślić, co robić. Ciągle cierpiał, i to nie tylko fizycznie – doskwierało mu także ogromne poczucie winy.

„Żałuję, że nie skłoniłem Suzy do popłynięcia ze mną – westchnął w duchu. – Nie zastanowiłem się, byłem zbyt pewny siebie. Dość, muszę przestać się gryźć. Stało się, teraz powinienem się zastanowić, jak ją uratować. I tak stawię czoło Sobocie, aby odebrać jej Klucz. Problem w tym, że Sobota ma zbyt wielu czarnoksiężników, dlatego najlepiej będzie, jeśli wrócę po Armię, a także Pierwszą Damę, czy też Czwartą, albo wszystko jedno po którą. A przynajmniej po pozostałe Klucze. Jeżeli jednak to zrobię, mogę stracić zbyt wiele czasu...”

Kilka minut później Szósty Fragment przyszybował z powrotem, muskając wodę jednym szponem.

– Prawie gotowa! – zakrakał ptak. – Muszę tylko dokończyć część szpona i brakuje mi pióra na ogonie!

– Świetnie – odparł Arthur. – Gdy tylko będziesz cały, powinniśmy powrócić do Cytadeli...

Nagle umilkł i przechylił głowę.

– Co jest? – spytał Szósty Fragment Woli, zajęty czesaniem skrzydła dziobem.

– Silniki parowe – odpowiedział Arthur. – Zbliżają się.

Wstał i rozejrzał się wokół siebie.

– Są coraz bliżej i nadciągają z różnych stron.

Kruk przerwał toaletę i popatrzył na wodę czarnymi jak paciorki oczami.

– Statek parowy – dodał Arthur. – A raczej statki. Słyszę je wyraźnie.

– Widzę! – zawołał kruk. – Patrz, jest ich osiem.

Arthur patrzył w dal. Nad jeziorem unosiło się tyle pary i dymu, że nie był w stanie nic dojrzeć, ale słyszał rytmiczny huk silników oraz plusk przeszywanej przez statki wody. W końcu z mgły wyłonił się ostro zakończony dziób jednostki, w której

Arthur rozpoznał przód parowca Szczurów w Wyproście. Na jego pokładzie stały szeregi wyprężonych jak struny Neoniconi.

„Szczurołap! – domyślił się Arthur. – Musimy stąd zniknąć”.

– Tyle magii jednocześnie – zauważył Szósty Fragment. – Sobota zareaguje lada moment.

– Chyba już to zrobiła. – Arthur wskazał ręką unoszące się nad nimi kłęby dymu. Ponad statkami zaczął się tworzyć gigantyczny pierścień ognia. Z pierścienia zaczęły spadać płomienie, początkowo małe, niczym ognisty deszcz, potem większe i z pewnością znacznie gorętsze, bo zmieniły kolor z żółtoczerwonego na jasnoblękitny.

Statki przyspieszyły. Podążały prosto ku nabrzeżu, na którym stał Arthur, a z ich kominów buchał gęsty dym. Widać było, że silniki pracują pełną parą.

– Wylądują dokładnie tutaj! – oznajmił Arthur. – Jesteś już cały?

– Niezupełnie – zaprzeczył Szósty Fragment spokojnie. – Pozostał mi jeszcze tylko jeden krótki, acz kluczowy akapit do skompletowania lotki...

– Pośpiesz się – ponaglił go Arthur. Parowce się zbliżały, a wraz z nimi sunął pierścień ognia. Nawałnica płomieni przybierała na sile.

Arthur zorientował się, że na statkach nie szaleje pożar, a neoniconscy żołnierze na pokładach są cali i zdrowi. Ognista burza spływała po niewidzialnej barierze, rozciągniętej od wierzchołków masztów do krawędzi burt. Magiczna tarcza dotychczas skutecznie chroniła jednostki przed atakiem Soboty.

„Nas nie chroni żadna osłona – uświadomił sobie Arthur. – A ogień jest już stanowczo zbyt blisko...”

Wyczuwał na twarzy palący żar pożogi z nieba. Krople były tak gorące, że zanurzały się głęboko pod wodę i dopiero wtedy gasły. Ogień płonął nienaturalnie długo.

– Jesteś gotowy? – niecierpliwił się Arthur. – Musimy uciekać!

– Już, już prawie, jeszcze trochę – zakrakał Fragment.

Ognista ulewa syczała w zetknięciu z wodą w odległości zaledwie kilku metrów od chłopca. Prujące całą naprzód parowce znajdowały się kilkaset metrów dalej. Grupa żołnierzy wskazała Arthura i nagle w powietrzu świsnęły strzały, które pofrunęły celnie, lecz nie przedarły się przez ogniową zaporę.

– Zrobione – oznajmił kruk, a następnie podleciał i przysiadł Arthurowi na

ramieniu. – Wszystko gotowe. Jestem Szóstym Fragmentem Woli...

Arthur nie czekał na dalszy ciąg. Odwrócił się i ile sił w nogach popędził po nabrzeżu. Tuż za nim płomień rozpryskiwały się na kamieniach, a okolica rozbrzmiewała dźwiękiem parowych gwizdków i wojennymi okrzykami Neoniconi, które doskonale pamiętał z bitew w Wielkim Labiryncie.

Przez zgiełk, przez dudnienie silników, wycie gwizdków, syczenie i ryk burzy ognia, a także przez krzyki Neoniconi przebijał się inny dźwięk, wyraźny i charakterystyczny, piękny i straszny zarazem.

Szczurołap wygrywał na flecie swoją melodię.

– Ach – westchnął kruk. – Kłopotliwy ten trzeci syn Architektki.

– Kłopotliwy? – prychnął Arthur. – On jest nie do wytrzymania!

Nabrzeże kończyło się jednolitą, skalną ścianą, bez widocznego wejścia. Arthur wpatrywał się w nią przez sekundę, a następnie zabrał się do poszukiwania wypukłości albo wystających kamieni, które sprawiały wrażenie celowo doczepionych do skały. Wkrótce odkrył nietypowo wyglądający guz, nacisnął go i wbiegł do środka, gdy grube, kamienne drzwi uchyliły się ze zgrzytem.

Zamaskowana jaskinia pełniła rolę magazynu narzędzi do obróbki metalu. Na ścianach wisiały półki pełne najrozmaitszych przyborów, które w innych okolicznościach wzbudziłyby zainteresowanie Arthura. Teraz, z Armią Szczurołapa na karku, ledwie rzucił na nie okiem.

– Jak mam zamknąć drzwi? – spytał Wolę, upewniwszy się, że w magazynie znajduje się inne wyjście.

– Nie mam pojęcia – wyznała.

– Tkwisz tutaj od dziesięciu tysięcy lat i niczego się nie dowiedziałeś o tym miejscu?

– Miałem dość ograniczone pole widzenia – przypomniał mu kruk. – Nie wspomnę, że na dodatek szalenie fragmentaryczne.

Arthur chwycił kilka długich, żelaznych sztab, wsparł nimi wrota i dla pewności kopnął każdą kilka razy z góry, aby dobrze się zaklinowała.

– To ich zatrzyma na parę minut – powiedział. – Szybko!

– Dokąd idziemy? – zainteresował się Szósty Fragment.

– Na dobry początek jak najdalej stąd. – Arthur uchylił przeciwległe drzwi i popatrzył w górę kręconych schodów, wykonanych z kutego czerwonego żelaza, o balustradach i stopniach udekorowanych połączanymi rozetami. – Szczurołap potrzebuje nieco czasu na przeprowadzenie całego wojska na ląd, ale z pewnością pierwsi zejść zwiadowcy. Zakładam, że Sobota przyśle tutaj własne oddziały, więc musimy trzymać się z dala od jednych i od drugich.

– Sobota może mieć ręce pełne roboty wysoko na górze – zauważył kruk. – Jej wieża osiągnęła fundamenty Niezrównanych Ogrodów, a drażyliowce przestały rosnąć.

Arthur ruszył biegiem po schodach, pokonując po trzy stopnie naraz. Kruk pofrunął za nim, ale od czasu do czasu lądował mu na głowie.

– Dlaczego tak bardzo zależy jej na tym, żeby się dostać do Niezrównanych Ogrodów? – spytał Arthur, nie przerywając wspinaczki.

– Ponieważ Niezrównane Ogrody są pierwszym miejscem stworzonym przez Architektkę i właśnie dlatego będzie ostatnim, które zostanie zniszczone – zakrakał ptak. – Poza tym Sobota jest przekonana, że zawsze powinna była nimi rządzić. Zazdrości Niedzieli i pragnie zająć jego miejsce.

– Nawet za cenę zniszczenia Domu? – zdumiał się Arthur. Schody wiły się między chodnikami podobnymi do tego, który on i Suzy przeszli po opuszczeniu symultanicznego nabuchodonzora.

„Najłatwiej byłoby wejść teraz na Niebawale Schody – pomyślał. – Bez trudu mógłbym je sobie wyobrazić, skoro i tak idę na górę...”

– Sobota jest przekonana, że Niezrównane Ogrody przetrwają nawet wówczas, gdy reszta Domu runie w Nicość. Niewykluczone, że to prawda. Jedynym sposobem powstrzymania wzrostu drażyliowców było całkowite zniszczenie niższych części Domu.

– Więc ona tam wejdzie? Czy Lord Niedziela nie potrafi jej powstrzymać?

– Nic nie wiem na temat obecnych mocy Niedzieli – oznajmił Szósty Fragment Woli. – Nie znam również jego zamiarów. Musimy odnaleźć i uwolnić Siódmy Fragment, żeby skorzystać z jego pomocy. Ale przede wszystkim powinniśmy odebrać Szósty Klucz Sobocie, tej samozwańczej Najwyższej Czarnoksiężnicze.

– Wiem – westchnął Arthur. – Ale jak mam tego dokonać?

– Gdy jest Wola, nie brakuje też...

– Zamknij się – przerwał Arthur. – Niedobrze mi się robi, kiedy ktoś mi to powtarza.

– Doprawdy? – zdziwił się kruk. – Słyszałeś to wcześniej? Najmocniej przepraszam.

– A może zaproponujesz coś odrobinę konkretniejszego – zasugerował Arthur. – Dajmy na to plan. Naprawdę nie możesz dla odmiany udzielić jakiejś inteligentnej rady?

– Hm... – zastanowił się kruk. – Jak rozumiem, moje niższe fragmenty nie zaskarbiły sobie twojego szacunku?

– Niespecjalnie, chociaż niektóre są lepsze od pozostałych. Jak wysokie są te schody?

– Właściwie mam pewien plan – wyjął Szósty Fragment Woli po kolejnych pięćdziesięciu stopniach.

– Dobrze. Na czym on polega? – Arthurowi nie doskwierała nawet najmniejsza zadyszka, choć biegł już długo i pokonał spory kawałek drogi pod górę. Nadal nie mógł w to uwierzyć.

– Twoja przyjaciółka, dziecko Szczurołapa... Czy nosisz się z zamiarem jej uwolnienia?

– Owszem – potwierdził.

„O ile jeszcze żyje”, dopowiedział w myślach.

Zatrzymał się, a kruk niemal zderzył się z jego twarzą. W ostatniej chwili udało mu się wylądować na ramieniu Arthura.

– Czy na pewno jesteś fragmentem Woli? – Arthur musiał zadać to pytanie. – Reszta ciebie zwykle nie przejmuje się zbytnio nikim. Niestety.

– To część mojego planu – zapewnił go ptak. – Kiedy byłem rozproszony w deszczu, udało mi się odwiedzić wiele zakątków, do których rzadko dociera ktokolwiek inny. Widziałem między innymi wiszące klatki dla więźniów.

– Wiszące klatki? – Arthurowi nie spodobało się to, co usłyszał.

– Tak jest – przytaknął kruk z zapalem. – Na południu i na zachodzie wieży znajduje się wielkie urządzenie dźwigowe oraz inne tego typu maszyny. Strona północna jest stroma i nienaruszona, sam nie wiem dlaczego. Ale za to na wschodzie roi się od małych dobudówek, platform, balkonów, dźwigów i tym podobnych. Niedaleko szczytu,

około poziomu 61 620, Wewnętrzni Audytorzy mają przybudówkę, która odstaje od konstrukcji na kilkanaście metrów. Zwieszają z niej klatki dla więźniów, a w jednej z nich prawdopodobnie przebywa twoja przyjaciółka. Chyba że Przemysłni Markieranci zabili ją od razu, czego nie da się wykluczyć. To paskudne istoty, a te ich zatrute Nicością sztylety...

– Założmy, że żyje – przerwał krukowi Arthur i dodał po krótkim wahaniu: – Chcę ją oswobodzić, ale nie wiem, jak dostać się do tych klatek i nie zwrócić uwagi Wewnętrznych Audytorów. Zapowiada się bitwa, może nawet dwie bitwy...

– Zamęt będzie nam sprzyjał – przyznał Szósty Fragment Woli. – Poza tym dostaniemy się na miejsce bez większego trudu. Wystarczy, że przebierzemy się za Pracownika Łaziebnego.

– My obaj? – zdziwił się Arthur. – Za jednego Łaziebnego?

– Tak jest – zakrakał kruk wesoło. – Jesteś prawie tak wysoki, żeby udawać niskiego Łaziebnego, a ja zmienię się w maskę.

– Ale dlaczego Pracownik Łaziebny miałby jechać tak wysoko?

Arthur zadrżał na wspomnienie ukrytych za maskami z brązu twarzy Łaziebnych, którzy sprawili mu pranie między uszami i na pewien czas pozbawili go wspomnień.

– Bo są Wewnętrznymi Audytorami – wyjaśniła Wola. – Wszyscy Pracownicy Łaziebni są Wewnętrznymi Audytorami, ale nie wszyscy Wewnętrzni Audytorzy są Pracownikami Łaziebnymi.

– Chcesz powiedzieć, że są na usługach Soboty? To ona zamierza wyczyścić umysły dzieciom Szczurołapa?

– Właśnie tak – potwierdził kruk. – Chodzi o to, żeby opóźnić pojawienie się Prawowitego Dziedzica, czyli ciebie albo twojego następcy, gdybyś został wyeliminowany, i następcy następcy.

– Więc przebierzemy się za Pracownika Łaziebnego, wdrzemy się do biur Wewnętrznych Audytorów i uwolnimy Suzy z wiszącej klatki. Ale jak to pogodzić z odebraniem Klucza Sobocie? Czy to w ogóle ma sens?

– Zakładam, że nie napotkamy żadnych Wewnętrznych Audytorów. To najlepsi żołnierze Soboty, więc będą przebywali na szczycie wieży, gotowi wyruszyć na podbój Niezrównanych Ogrodów. Jak już wspomniałem, mówimy o wschodniej stronie, więc



będzie tam panował spokój. Oswobodzimy twoją przyjaciółkę, przyjrzymy się bitwie oddziałów Szczurołapa z siłami Soboty, a w odpowiednim momencie otworzysz szyb windy do Cytadeli i wprowadzisz własne wojsko.

– Nie wiem, jak otworzyć szyb windy – wyznał Arthur.

– Poradzisz sobie z łatwością. Kiedy zabierzesz się do roboty, wszyscy czarnoksiężnicy Soboty odpowiedzialni za blokowanie wind będą rozkojarzeni. A jeśli nie, użyjesz Piątego Klucza do wyprowadzenia nas, następnie się przegrupujemy i wrócimy tą samą drogą. Co ty na to?

– Ryzykowne – zawahał się Arthur. – Ale numer z przebraniem ma szansę wypalić. Jeśli mogę uratować Suzy i wszyscy troje jesteśmy w stanie wydostać się stąd, to na razie nie oczekuję więcej. Poza tym muszę wrócić na Ziemię. Mam tam ważną sprawę...

– Mniejsza z Ziemią – wtrącił kruk. – Ziemi nic nie grozi. Teraz musimy się przejmować Domem.

– Przecież to na jedno wychodzi. Jeżeli przepadnie Dom, przepadnie wszystko.

– Skąd – zaprzeczył kruk. – Od kogo to słyszałeś?

– No... od wszystkich... – wykrztusił Arthur. – Architektka stworzyła Dom oraz Poślednie Królestwa...

– Rezydenci naopowiadali ci głupstw – oświadczył kruk. – Architektka zbudowała większość Domu po tym, jak stworzyła Wszechświat. Idę o zakład, że to Sobota wymyśliła tę historię z Poślednimi Królestwami, przebiegła lisica. Architektka wzniosła Dom po to, żeby obserwować i rejestrować to, co się dzieje we Wszechświecie, bo to jest interesujące, nie na odwrót.

– Większość Domu – powtórzył Arthur czujnie. – Powiedziałeś: „większość Domu”.

– No tak, bo Niezrównane Ogrody pierwsze wyłoniły się z Otchłani.

– Zatem to one są epicentrum Wszechświata? Co się stanie, jeżeli Niezrównane Ogrody zostaną zniszczone?

– Wszystko diabli wezmą, skończy się świat, koniec pieśni.

– Zatem to, co mówią wszyscy, jest prawdą – podsumował Arthur. – Jeśli przetrwa ostatni fragment, a raczej pierwszy fragment Domu, wówczas przetrwa cały

Wszechświat.

– Tak to wygląda – przytaknął kruk. – W teorii. Czy to drzwi?

Podleciał w górę środkiem kręconych schodów. Arthur ruszył za nim wolno, pogrążony w rozmyślaniach.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Czekaj! Nie otwieraj! – krzyknął Arthur, ale było już za późno. Kruk skoczył na klamkę, nacisnął ją całym – ciężarem ciała i odepchnął się dziobem od framugi. Słyszając głos chłopca, odwrócił się i popatrzył na niego sprzed lekko uchylonych drzwi.

– Tak?

Arthur stanął na progu i ostrożnie wyjrzał. Za drzwiami rozciągał się wybrukowany plac u podnóża wieży, a w pobliżu wejścia stało dwóch Czarnoksiężników Nadliczbowych, na szczęście odwróconych plecami do drzwi. W głębi placu roiło się od Rezydentów. Tłum z pewnością liczył co najmniej dwa tysiące osób, wśród których znajdowało się kilkuset Nadliczbowych i wielu więcej pełnoprawnych czarnoksiężników rozmaitych szczebli. Pomimo deszczu żaden z nich nie rozłożył parasola.

Wszyscy Rezydenci stali plecami do Arthura i patrzyli na ogromną, żelazną platformę u stóp budowli, szerokością i długością dorównującą boisku piłkarskiemu, a wysoką na kilka metrów. Konstrukcja, którą wykonano z tysięcy znitowanych płyt, wyglądała jak pokład bardzo starego pancernika z odciętym kadłubem i nadbudówkami.

Masywna platforma stała na dwunastu wysokich kołach z brązu, zainstalowanych wzdłuż dwóch boków. W każdym rogu sterczały otwarte, niezadaszone wieżyczki pełne czarnoksiężników.

Rezydenci na placu nie interesowali się jednak platformą, tylko konstrukcją, którą na niej osadzono. Był to przypominający monstrualną kulę karabinową cylinder o wysokości ponad stu metrów, z dolną połową z litego brązu, a górną z brązowych prętów, kojarzących się z barokową klatką dla ptaków. Zakratowana połowa była podzielona na osiem poziomów, rozdzielonych podłogami z plecionej wikliny, podobnych do tych stosowanych w koszach pod balonami na ogrzane powietrze. Podłogi były ze sobą połączone ażurowymi drabinami z metalu, ciągnącymi się przez całą wysokość cylindra, począwszy od jednolitej, spodniej części naboju, a skończywszy na wierzchołku otwartej, górnej połowy.

Na szczycie obiektu podobnego do rakiety przysiadło dwanaście podobnych do ośmiornic automatów budowlanych i każdy z nich prężył macki. W powietrzu unosiło się

pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu smarowaczy, energicznie trzepocząc skrzydłami. Większość ścisnęła w dłoniach błyszczące, metalowe przedmioty.

Podobnie jak Rezydenci smarowacze zadzierali głowy do góry. Arthur mimowolnie powiódł wzrokiem za ich spojrzeniami, ale jednocześnie lekko przymknął drzwi, żeby trudniej go było dostrzec.

Zamrugał, kiedy kropla deszczu wpadła mu do oka, ale od razu ujrzał kształt o tak ciemnej barwie, że musiał być wykonany z Nicości. Obiekt powoli opadał w strumieniach deszczu prosto na cylinder z brązowych prętów. Zniżał się tak powoli, że na pierwszy rzut oka zdawał się samoistnie kwitować. Dopiero po chwili Arthur oswoił się z mrokiem Nicości i zauważył, że do jej powierzchni docierają ledwie widoczne, jasne pasma światła. Były to Niematerialne Liny, na których kilkuset latających Rezydentów przenosiło Nicość na raketę z brązu.

Liny lśniły jasnością, lecz Arthura rozboleły oczy po tym, jak spojrzął na ciemny kształt. Od razu się zorientował, że to zespolona w magiczny sposób Nicość, podobna do tej, którą Szczurołap wykorzystał do zatrzymania ruchu Wielkiego Labiryntu. Tym razem bryła wydawała się znacznie dłuższa i smuklejsza, Arthur ocenił jej wysokość na kilkadziesiąt metrów. Wierzchołek miała niewiarygodnie cienki i ostry.

Latający Rezydenci przesunęli kolec bezpośrednio nad cylinder z brązowych prętów, następnie jeden z nich donośnym głosem wydał rozkaz i wszyscy zgodnie puścili liny. Zbrylona Nicość nieco się osunęła i została przechwycona przez automaty, których macki były pokryte czymś w rodzaju ochronnej powłoki, roziskrzanej i lśniącej przy zetknięciu ze złowrogą masą. Maszyny obróciły kolec, ustawiły go w optymalnej pozycji i opuściły na miejsce. Smarowacze niezwłocznie wkroczyli do akcji i zabrali się do mocowania kołnierza z migotliwego, przezroczystego materiału, zapewne Niematerialnego Szkła, którego zadaniem było przytrzymywanie Nicości nieruchomo na wierzchołku cylindra.

– Oto sposób Soboty na przedziurawienie spodniej części Niezrównanych Ogrodów – powiedział ptak, niedostatecznie cicho jak na gust Arthura, który ostrożnie zamknął drzwi i popatrzył na kruka.

– Musisz zachowywać się ciszej i ostrożniej – wyszeptał. – Tam się zebrały tysiące Rezydentów.

– Sądziłem, że jestem cicho – zapewnił go Szósty Fragment, tylko odrobinę ściszywszy głos. – Od wieków nie bytem taki cielesny Trudno jest się oswoić z faktem posiadania gardła... i dzioba.

– Tak czy owak, bardziej się postaraj – upomniał go Arthur.

– Bardzo proszę – zakrakał kruk tak dyskretnie, że Arthur z trudem zrozumiał jego słowa. – Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli ten pojazd posłuży Sobocie do przedziurawienia Ogrodów, to zapewne wszyscy zebrani przy nim Rezydenci wejdą do środka, a kiedy znajdą się na pokładzie, my będziemy mogli ruszyć dalej.

– To z pewnością taran, wspomniany w rozkazach przesłanych Alyse i ustawiony na Zewnętrznej Windzie Numer Jeden, czy jakoś tak.

– Wszystko jedno, jak się nazywa, ważne, czy jest sprawny. Im szybciej Sobota zaatakuje Niedzielę, tym wygodniej przekradniemy się na przeciwną stronę wieży.

– W porządku. – Arthur krytycznie przyjrzał się swojemu wystrzępionemu kombinezonowi i bosym stopom. – Potrzebuję jakiegoś ubrania.

– Nie ma sprawy! – oświadczył Szósty Fragment Woli i zanim Arthur zdołał go powstrzymać, podskoczył do drzwi, otworzył je bezceremonialnie i dał susa za próg, jednocześnie przeobrażając się w małego, koszmarnie obdartego smarowacza.

Arthur usłyszał, jak mówi coś do najbliższego Rezydenta, który odpowiedział tak donośnie, że jego głos dotarł nie tylko do uszu Arthura, lecz również wszystkich Rezydentów w najbliższej okolicy.

– Na pewno? Pytał o mnie, z nazwiska? O Woxrotha?

– Tak – potwierdził Szósty Fragment. – Właśnie tak. O Woxrotha. No idź tam.

Arthur przywarł plecami do ściany, żałując, że nie ustalił sztywniejszych reguł postępowania z Wolą. Nie miał przy sobie nawet klucza francuskiego i zastanawiał się, czy powinien udusić Rezydenta, czy też jedynie zdzielić go pięścią, kiedy wszedł Nadliczbowy, a zaraz za nim Szósty Fragment, który szybko zamknął drzwi.

Nadliczbowy popatrzył na Arthura, na co chłopiec uniósł obie ręce i zacisnął dłoń w pięść. Rezydent wpatrywał się w niego ze smutną miną, więc Arthur opuścił ręce.

– Potrzebuję twojego płaszcza, kapelusza i butów – odezwał się. – Oddaj mi je.

– Co? – spytał Rezydent. – Nie masz dla mnie listu?

– Nie – przyznał Arthur. Czuł, jak ponownie narasta w nim gniew wywołany

frustracją, ogarniającą go zawsze, gdy istoty niższego rzędu sprzeciwiały się jego woli. – Jestem Arthur! Daj mi...

Zabrzmiało donośne łupnięcie i Rezydent nagle zwałił się na ziemię. Kruk zeskoczył z tyłu jego głowy i puścił kamień, którego przed chwilą użył.

– Po co z nim rozmawiałeś? – zdziwił się. – Trzeba było od razu mu przygrzmocić.

– Zamierzałem. – Arthur pochylił się, żeby ściągnąć płaszcz z nieprzytomnego Rezydenta. – Ale wyglądał tak smutno i żałośnie.

Płaszcz i buty automatycznie się dostosowały, gdy tylko Arthur je przymierzył, ale i tak od samego początku wydawały się dobre. Arthur przyjrzał się sobie i zastanowił, czy urósł jeszcze bardziej, na przykład przez ostatnie minuty, bo musiał przypominać Rezydenta. Skoro Szósty Fragment Woli uważał, że Arthur mógłby uchodzić za Łaziebnego, to z pewnością chłopiec liczył sobie już ze dwa metry. Innymi słowy, był niemal tak wysoki jak jego starszy brat Eric, gwiazda koszykówki. W tej samej chwili Arthur poczuł tęsknotę za domem.

Niewykluczone, że Eric już nie żyje, przemknęło mu przez myśl. Mógł zginąć, jeśli szpital został zbombardowany, a wraz z nim całe miasto. Nie powinienem być taki wysoki jeszcze przez kilka lat. Mam wrażenie, że moja dawna tożsamość zanika... coraz szybciej... i już nigdy nie będę zwyczajny.

Ubrał się do końca, przełożył beczenną torebkę do kieszeni płaszcza i właśnie podnosił czarny parasol, kiedy drzwi otworzyły się nieoczekiwanie. Szósty Fragment, szybki jak błyskawica, przemienił się w koc i przykrył nieprzytomnego Rezydenta.

Do środka zajrzała czarnoksiężniczka z żółtym parasolem.

– Szybciej, gamoniu! – wydarła się na Arthura. – Wchodzimy na taran! Na co czekasz?

Zaczekała, aż Arthur opuści rondo kapelusza, żeby zasłonić twarz oraz oczy, ale gdy potem znieruchomiał i myślał, co robić dalej, skrzywiła się i machnęła parasolem.

– Nie będziemy tu stali w nieskończoność! Zaraz złożę na ciebie raport. Woxroth, zgadza się?

– Przepraszam – powiedział cicho i ruszył w jej kierunku. Przyszło mu do głowy, że mógłby wciągnąć ją do środka i zamknąć drzwi, a wtedy Szósty Fragment ogłuszyłby

ją kamieniem. Za czarnoksiężniczką ustawili się jednak inni Rezydenci, zaintrygowani jej krzykami, więc Arthur chwiejnym krokiem wyszedł. Gdy zamykał za sobą drzwi, coś mignęło mu przed oczami. Wzdrygnął się, czując, że do rękawa wpelzł mu Szósty Fragment Woli pod postacią istoty podobnej do karalucha.

Oczekujący Rezydenci nie stali już w bezładnym tłumie, zapatrzonym w rakiety z brązu. Ustawili się w długą kolejkę, która zygzakiem ciągnęła się przez plac, przy czym jej czoło znajdowało się przy taranie, a Rezydenci wdrapywali się po zewnętrznych drabinach, opartych o lity brąz i ustawiali się w szeregach na różnych piętrach.

Arthur zatrzymał się na końcu długiego ogonka. Rezydentka przed nim, inna Czarnoksiężniczka Nadliczbowa odwróciła się na moment, lecz tylko posępnie westchnęła i posnuła się dalej przed siebie. Arthur postanowił naśladować jej pozę, więc tak samo pociągał nogami i zwiesił głowę tak nisko, że brodą niemal dotykał klatki piersiowej. Rondo kapelusza skutecznie zasłaniało mu twarz.

Minęła długa chwila, zanim dotarł do rakiety, dlatego miał wystarczająco dużo czasu, żeby oszacować, ilu było wsiadających do tarana czarnoksiężników. Doliczył się ich łącznie około pięciu tysięcy, przy czym większość była pełnoprawnymi czarnoksiężnikami. Niektórzy nieśli parasole ze złota i srebra, co oznaczało że zjechali z wyższych poziomów wieży, nie widzianych przez Arthura. Na samym szczycie przebywało kilkadziesiąt istot w lśniących, atlasowych cylindrach Wewnętrznych Auditorów. Takich właśnie Rezydentów zabił Szczurołap w kryjówce Pani Piątek w Środkowym Domu. Na jednym ze środkowych pięter rakiety znalazł się oddział Przemysłnych Markierantów, którzy rozsiedli się na skraju piętra i kołysali nogami wystawionymi za pręty.

Zbliżając się do podstawy tarana, Arthur zauważył, że przy drabinie stoi czarnoksiężnik z tęczowym parasolem i sprawdza, czy mijający go Rezydenci znajdują się na liście. Co gorsza, u jego boku czuwał wyniosły Rezydent w nieskazitelnym srebrnym fraku, kruczoczarnych spodniach i wypolerowanych butach. Na ramionach nosił gołębioszary płaszcz z siedmiu peleryn, a każda kropla deszczu, która znalazła się w pobliżu jego osoby, wyparowywała z sykiem.

„To z pewnością Sobotni Zmierznik – uznał Arthur. – Z miejsca się zorientuje, kim jestem... a wówczas wykończy mnie pięć tysięcy czarnoksiężników”.

Pozornie obojętnym gestem uniósł dłoń do twarzy, podrapał się po nosie i jednocześnie częściowo zasłonił usta.

– Wola! – syknął.

Karaluch-albinos z czerwonym napisem „Wola” na grzbiecie wdrapał się Arhurowi na nadgarstek, a stamtąd popęłznął do dłoni.

„Myśl do mnie – zasugerowała Wola bezgłośnie. – Nie musisz mówić”.

„No tak – zorientował się Arthur. – Zapomniałem. Przed nami Sobotni Zmierchnik. Chyba musisz odwrócić jego uwagę. Może przybierz postać Szczura w Wyproście i rzuć się do ucieczki, a następnie pobiegnij ratować Suzy, bo ja nie będę miał okazji...”

„Wcale tego nie wiesz – zauważył Szósty Fragment. – Poza tym wątpię, żeby Sobotni Zmierchnik cię rozpoznał, otacza go zbyt dużo magii, żeby cię wywęszył. Ten obiekt z brązu niemal ocieka czarnoksięską mocą, nie wspominając o platformie, na której stoi. Dwustu pięćdziesięciu czarnoksiężników szczebla wykonawczego przygotowuje się do podniesienia konstrukcji. Wystarczy, że pochyłisz głowę”.

„Mimo to chcę, żebyś wyruszył na ratunek Suzy! – upierał się Arthur. – Najlepiej od razu, póki jeszcze jest sposobność”.

„Nie – oświadczył Szósty Fragment w jego umyśle. – Moim zadaniem jest znalezienie Prawowitego Dziedzica, a skoro mi się to udało, zamierzam przy nim, czyli przy tobie, pozostać. Kto wie, może nam się uda zdobyć Klucz. W takiej sytuacji wszystko jest możliwe, skoro od dołu naciera Armia Szczurołapa, a od góry grożą nam owady Niedzieli”.

„Życzę sobie, żebyś poszedł uwolnić Suzy! To rozkaz!”

– Nazwisko? – spytał czarnoksiężnik ze złotym parasolem.

Arthur opuścił rękę, a Szósty Fragment Woli wpęłził mu do rękawa.

– Ehem, Woxroth – wymamrotał.

– Jak zwykle na szarym końcu – podsumował czarnoksiężnik. – Jazda po drabinie, zajmij miejsce.

Gdy Arthur się wspinał, czarnoksiężnik popatrzył na Sobotniego Zmierchnika, który założył monokl na prawe oko i wbił wzrok w bruk.

– Załadunek niemal zakończony, sir.



– Nareszcie – skomentował Zmierzchnik. – Nie mamy czasu do stracenia. Siły Szczurołapa wylądowały i posuwają się w górę. Wszystko jedno, mogą zająć Podnóże. Nie zdołają wspiąć się wysoko na wieżę, a my wkrótce będziemy w Ogrodach.

– Czy one naprawdę są tak piękne i cudowne, jak się uważa? – spytał Południk i zaczął się wspinać za nim. Znajdował się w odległości kilku metrów od Arthura, który doskonale słyszał każde jego słowo.

– Wkrótce się przekonamy – zapowiedział Zmierzchnik. – Chyba pora zaczynać.

Jedną ręką przytrzymał się drabiny a drugą zwinął w trąbkę przy ustach i odwrócił się do innego czarnoksiężnika ze złotym parasolem, stojącego w najbliższej, narożnej wieżyczce na platformie.

– W górę! – wrzasnął. – Na sam szczyt!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Czarnoksiężnicy Nadliczbowi stali na najniższym poziomie rakiety, bezpośrednio ponad podstawą z litego brązu. W szczelinach wiklinowej podłogi Arthur wyraźnie dostrzegał połyskujący metal. Nawet nie chciał myśleć o tym, co mogło się znajdować w jego wnętrzu. Zakładał, że umieszczono tam jakiś materiał napędzający raketę. Było jasne, że taran zostanie wystrzelony w kierunku fundamentów Niezrównanych Ogrodów, a najbardziej prawdopodobnym miejscem odpalenia konstrukcji był szczyt wieży.

Arthur miał szczęście i ostatni wszedł na pokład, dzięki czemu stanął tuż przy zewnętrznych prętach. Rezydenci byli poupychani jeden przy drugim, ale Arthurowi udało się odwrócić i wyjrzeć.

Czarnoksiężnicy wokół niego milczeli. Arthur spojrzał na Rezydentów w jednej z narożnych wieżyczek na platformie, zajętych wsuwaniem złoto-srebrnych parasoli w otwory w metalowej konstrukcji. Gdy parasole były już osadzone, czarnoksiężnicy obrócili ich uchwyty bokiem, żeby zrobić z nich coś w rodzaju pulpitu, na których położyli otwarte książki i zaczęli pisać pawimi piórami.

Arthur nie znał treści kreślonego przez nich tekstu, lecz doskonale wyczuł bijącą od niego moc, od której zrobiło mu się trochę słabo i wszystko go zaczęło swędzieć. Czarnoksiężnicy pisali, aż wreszcie platforma cicho oderwała się od podłogi i uniosła przy ścianie wieży.

W tej samej chwili Nadliczbowi nie wytrzymali nerwowo i zaczęli szeptem wymieniać uwagi:

- Wszyscy umrzemy.
- Ja pierwszy, idę o zakład.
- Umrzemy wszyscy razem.
- Może nie. Może tylko odniesiemy potworne rany i znowu nas zdegradują.
- Niepoprawny z ciebie optymista, Athelbert.
- Gdzie tam. Tak naprawdę myślę, że wybiją nas do nogi.
- Załadowali nas nisko, to dziwne. Byłem pewien, że pierwsi pójdziemy na rzeź.
- E tam, po co mieliby tracić czas i pakować nas na front? Przecież te wielkie

żuki czy inne robactwo momentalnie poszatkowałoby nas na strzępy.

– Jakie żuki i robactwo?

– Cisza! – ryknął władcym tonem ktoś z głębi gromady.

Arthur zadrżał, kiedy przeszła go następna fala magii, wyzwalanej przez zajętych pisaniem Rezydentów w wieżyczkach. Platforma wyraźnie przyspieszyła. Chłopiec stał przy ścianie odległej od budowli, więc nie potrafił dokładnie określić, jak wysoko już się wzbili, ale patrząc w dół, domyślał się, że pokonali od dwustu do trzystu pięter.

– Woxroth, jak to możliwe, że się trochę skurczyłeś? – spytał Rezydent za plecami Arthura.

– To dodatkowa forma degradacji – burknął Arthur.

Jego odpowiedź przyjęto w trwożliwym milczeniu.

– A ja myślałem, że ze mną źle – powiedział ktoś w końcu. – Najpierw degradacja, potem śmierć w paszczy żuka, a wszystko to jednego dnia.

„Pogodne towarzystwo, nie ma co”, przemówił Szósty Fragment Woli w umyśle Arthura.

„Może trzeźwo oceniają sytuację – odparł Arthur w duchu. – Co teraz mi zaproponujesz?”

„Nie śpiesz się i czekaj na dogodną sposobność, a potem z niej skorzystaj”.

„Dzięki za pomoc”.

– Czarnoksiężnicy z dobrym widokiem na okolicę, gotujcie się! – rozkazał głos ze środka, a polecenie zostało powtórzone na wyższych piętrach.

Rezydenci po obu stronach Arthura zaszurali nogami i wsunęli złożone parasole między pręty. Poszedł za ich przykładem, choć nie wiedział, dlaczego to robią.

– Docieramy do 61 600, najwyższy punkt jest na 61 850. Przygotujcie się na kontratak. Gdy zobaczycie coś zielonego i fosforyzującego, strzelajcie!

– Ej, Woxroth – wyszeptał Rezydent z lewej strony Arthura. – Do promieniującej anihilacji materii trzeba najpierw zwizualizować sobie rozżarzony węgielek czy wierzchołek płomienia świecy? Jakoś nie pamiętam...

– Hm, sam nie wiem... – bąknął Arthur. Usiłował mówić cicho i żałośliwie, jak prawdziwy Woxroth.

– Węgielek, rzecz jasna – oświadczył Czarnoksiężnik Nadliczbowy z prawej strony Arthura. – Zawaliłeś wszystko, co się dało?

– Prawie wszystko – westchnął Nadliczbowy z lewej. – Oho, co to? Rozżarzony węgielek, rozżarzony węgielek...

– Wstrzymaj się – burknął Rezydent z prawej. – To nasi. Przynajmniej z tej strony.

Arthur popatrzył zza prętów. Platforma dźwigała raketę prędeją, niż się spodziewał. Pędzili w górę szybciej niż łańcuch, którym wcześniej podróżował. Chłopcu trudno było cokolwiek dostrzec, kiedy między prętami świstało powietrze, rakietę lekko się kołysała, a wszyscy Rezydenci bezustannie obijali się o siebie.

Nad nimi rozpościerało się niebo, pocięte pasmami dymu i rozświetlane gwałtownymi eksplozjami iskier, które rozkwitały niczym bezgłośnie, wielobarwne fajerwerki. Arthur słyszał tylko ciche oddechy otaczających go Rezydentów, a także szum sunącej w górę platformy.

Iskry były wystrzeliwane przez tysiące latających Rezydentów, którzy ustawili się wokół wieży, w odległości kilkuset metrów od niej. Z początku Arthur nie mógł się zorientować, do czego celują, gdyż połyskujące niebo zasnuwane było dymem. W pewnej chwili dostrzegł jednak zielony wąż, gruby i niezmiernie długi. Macka nieoczekiwanie wyłoniła się z chmury i zaatakowała pechowca, który ośmielił się podfrunąć zbyt wysoko. Wąż strzelił jak z bata, a Arthur i wszyscy Rezydenci wzdrygnęli się pod wpływem nieoczekiwanego hałasu oraz widoku przecinanych skrzydeł lotnika. Cios musiał dosięgnąć także czarnoksiężnika, gdyż, dramatycznie okaleczony, runął w dół jak kamień.

– Zielsko poszatkuje nas na wióry, tak to będzie wyglądało – zauważył jeden z sąsiadów Arthura.

– Gdzie tam – odezwał się inny. – Jest dobre pół kilometra stąd. Wystrzelą nas ze szczytu wieży, spoza zasięgu rażenia tego chwastu, i przetniemy te jego wasy jak gorący nóż maślane ciastko. Rzecz jasna, zaraz potem staniemy się łatwym łupem dla żuków.

– Nigdy nie widziałem maślanego ciastka.

Arthur jednym uchem słuchał utyskiwań za plecami i obok siebie, zapatrzony w wąż, który strzelił ponownie. Chłopiec znowu drgnął, choć doskonale wiedział, czego się

spodziewać. Rezydent utrzymujący, że nie zbliżą się do morderczej rośliny, miał rację. Platforma znacznie zwolniła i teraz sunęła w bok. Arthur czuł, że Rezydenci w wieżyczkach emitują znacznie mniejsze ilości magicznej energii.

W pewnej chwili widok na zewnątrz zaczął się zmieniać, z czego Arthur wywnioskował, że rakieta się obraca. W jego polu widzenia pojawił się narożnik wieży, a po nim cała boczna ściana. Zatrzymali się na wysokości wierzchołka budowli, stąd nie było już nawet widać Ziemi.

Wieża na szczycie była nieporównanie węższa niż na poziomach widzianych przez Arthura. Najwyższe okazało się ostatnich piętnaście pięter, złożonych z zaledwie pięciu biur na jednym boku. Na samym wierzchołku, idealnie pośrodku, znajdował się jeden, niezwykle przestronny gabinet o rozmiarach czterech zwykłych sześciątów. Choć miał żelazną ramę, ściany i sufit wykonano z przejrzystego kryształu.

W kryształowym biurze przebywała jakaś osoba, wpatrzona w platformę oraz powoli zbliżającą się raketę. Była to kobieta, z całą pewnością Dostojna Sobota. Wydawała się bardzo wysoka, ale Arthur nie potrafił powiedzieć, czy ma lśniące, jasne włosy, czy też nosi metaliczny hełm. Niewątpliwie miała na sobie zbroję, napierśnik z czerwonego złota, które lśniło niczym słońce o zachodzie, a także nagolenice oraz naramienniki, wykonane z płyt w różnych odcieniach przedwieczornego blasku.

Platforma obróciła się w taki sposób, że drzwi na najniższym poziomie rakiety znajdowały się na wprost gabinetu. Arthur znalazł się tuż przy biurze Dostojnej Soboty, która najwyraźniej zamierzała wejść do rakiety, tuż obok niego...

– Rozstąpić się! Zrobić przejście! – rozległ się władczy głos. Rezydenci napanarli na Arthura i odepchnęli go od drzwi. Wszyscy stłoczyli się jeszcze bardziej, żeby powstała ścieżka od wejścia do wewnętrznej drabiny, prowadzącej na wyższy poziom pocisku.

Jeden z Rezydentów niemal zgniótł Arthurowi czaszkę, ale chłopiec nawet nie zaprotestował. Przesunął się odrobinę w prawo i wyjrzał przez lukę między ramionami czarnoksiężników z przodu.

Dostojna Sobota dotknęła ściany biura i kryształ nagle rozpadł się na chmurę drobin światła. Jasne okruchy zatańczyły w powietrzu i ułożyły się w dwa lśniące skrzydła, które opadły na ramiona Soboty. Dwukrotnie nimi załopotała, wzbiła się w

powietrze i skierowała do pustego miejsca między prętami z brązu, służącego Rezydentom jako wejście na pokład. Wylądowała z gracją baletnicy, po czym, zapatrzona przed siebie, ruszyła między czarnoksiężnikami, którzy pochylili się w ukłonie, nie zważając na ciasnotę i bolesne obijanie się głowami.

„Patrz, co ma w ręce! – zawołał Szósty Fragment. – Klucz. Możesz do niego przemówić. Chociaż może lepiej jeszcze nie...”

„Z całą pewnością nie”, podkreślił Arthur. Wspiał się na palce i wyciągnął szyję, żeby sprawdzić, co takiego Sobota trzyma w dłoni. Nie był to parasol, ani nawet przedmiot wielkości noża, tylko coś wąskiego i krótkiego...

„Pióro – zorientował się. – Ptasie pióro do pisania”.

Stracił je z oczu, gdy Sobota wspięła się po drabinie. Platforma uniosła się jeszcze, a następnie podryfowała ponad środek wieży. Pawie pióra zakołysały się energicznie i cała machina osiadła na zwieńczeniu konstrukcji, przy wtórze zgrzytu i chrobotania metalu napierającego na metal. Minutę później dziesiątki automatów wdrapało się na platformę, a z dołu nadlecieli smarowacze, żeby zabrać się do mocowania wehikułu do budynku.

Arthur zerknął w górę. Trudno mu było ocenić, jak wysoko są chmury, lecz uznał, że znajdują się w odległości mniejszej niż trzysta metrów od rakiety. Wąsy które nadal strzelały w przestworzach, miały zasięg około stu metrów. Innymi słowy, bezpieczny dystans do nich wynosił jeszcze mniej więcej dwieście metrów. Taran musiał zostać ustawiony tak blisko, żeby udało mu się przebić przez fundament Niezrównanych Ogrodów.

Daleko w dole ktoś krzyknął. Arthur opuścił wzrok i zorientował się, że smarowacze oraz automaty znikają pod platformą.

– Przygotować się do odpalenia! – zawołał władczy głos wewnątrz rakiety.

Rezydenci wokół Arthura chwycili się prętów, a czarnoksiężnicy w głębi pocisku złapali się jeden drugiego. Arthur mocno zacisnął ręce na najbliższym pręcie i ugiął kolana.

– Podpalić niebieski lont! – krzyknął głos.

Arthur nie widział dokładnie, co się zdarzyło potem, ale gdzieś w górze, pośrodku pocisku, nastąpił nieoczekiwany wybuch. W powietrze pionowo wystrzelił strumień

białych, palących iskier, które sięgnęły do wiklinowej podłogi powyżej, lecz jej nie zapaliły.

– Pięć... cztery... trzy... dwa... jeden! – odliczył głos. – Ognia!

Rozległ się syk, ale nic się nie zdarzyło.

– Ognia – powtórzył głos nieco mniej władczo.

– Co się dzieje tam w dole? – spytał czysty, zimny głos kobiety, a Arthura przeszedł dreszcz. – Czy wszystko muszę robić sama?

– Nie, jaśnie pani – odparł pierwszy głos, który teraz brzmiał błagalnie. – Mamy jeszcze drugi lont. Podpalę go osobiście.

Minutę później eksplodował następny gwałtowny strumień iskier.

– Pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... hm...

Potężna siła szarpnęła rakieta i wszyscy Rezydenci padli na kolana. Arturem zaczęło rzucać na boki, obijał się mocno o sąsiednich czarnoksiężników, a rączki ich parasoli łomotały go po żebrach i udach.

W górę i na boki buchnęły ogromne kłęby dymu, rakietę błyskawicznie oderwała się od platformy i poleciała w górę. Arthur jeszcze nigdy dotąd nie doświadczył tak gwałtownego przyspieszenia.

Kilka sekund później zabrzmiał straszliwy trzask atakującego węża, a po nim jeszcze kilka następnych.

Trach! Trach! Trach!

Przy każdym ciosie rakietę drżała, a pręty z brązu dźwięczały jak dzwony. Taran nie zboczył z kursu i konsekwentnie podążał w kierunku spodniej części Niezrównanych Ogrodów.

– Gotuj się! Gotuj się na uderzenie!

Do większości Rezydentów ostrzeżenie dotarło zbyt późno. Bardzo nieliczni jeszcze stali na nogach, podłoga wokół Arthura wydawała się wypełniona osobami, które uczestniczyły w wyjątkowo szalonej grze w twistera.

Kiedy taran dotarł do celu, wszyscy rąbnęli w sufit, odbili się od niego i opadli z powrotem. Gdyby Arthur nadal był człowiekiem, z pewnością wylądowałby z połamanymi kośćmi i jeszcze kilkoma ranami kłutymi.

Nie uważał się jednak za istotę ludzką i do pewnego stopnia czuł z tego powodu

zadowolenie, gdyż umysł człowieka byłby w równie fatalnej kondycji co ciało. Kiedy pocisk przebijał się przez podstawę Niezrównanych Ogrodów, wewnątrz rakiety pograżyło się w mroku. Kilku mniej sponiewieranych Rezydentów w magiczny sposób pozapalało parasole na różne kolory i wtedy oczom wszystkich ukazała się żyzna, czarna ziemia, która wciskała się między pręty, wlewała do wnętrza wehikułu niczym woda, jakby chciała utopić i zadławić pasażerów.

– Pilnować bocznych ścian! – krzyknął ktoś. Czarnoksiężnicy pośpiesznie pootwierali parasole i zabrali się do wypowiedania zaklęć. Moc ich słów raptownie przeszywała czoło Arthura, choć tego, co czuł, nie mógłby nazwać bólem.

Otwarte parasole i zaklęcia powstrzymały napływ ziemi. Rakieta zaczęła zwalniać, a zaniepokojeni Rezydenci w dole usłyszeli wiwaty i krzyki towarzyszy z góry. Po chwili pojazd znieruchomiał całkowicie, cały czas zatopiony w urodzajnej ziemi.

– Pułap przebity! – wrzasnął jeden z Rezydentów z góry. – Przeszyliśmy podłogę na wylot!

– Naprzód! – ryknął inny. – Do drabin! Po zwycięstwo!

Arthur nieporadnie dźwignął się na nogi i zacisnął dłoń na parasolu. Ledwie udało mu się wyprostować, kiedy ponownie padł na podłogę, obalony przez wrzeszczącą jak opętana Rezydentkę. Czarnoksiężniczka z trudem przytrzymywała gigantyczną dżdżownicę o zębatej paszczy, atakującą zza prętów. Istota była co najmniej w części Niconiem, gdyż pomiędzy jej rozwartymi szczękami nie było widać mięsistej gardzieli, tylko ciemność Nicości.

Arthur dźgnął robaka końcem parasola.

„Giń! – pomyślał z furją. – Rozżarzony węgielek... płomyk świecy... wszystko jedno, tylko giń!”



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Robaka poraził płomień białego, intensywnego ognia i przeszył na całej długości, nie dotykając Rezydentki, którą potwór usiłował pożreć. Przez ułamek sekundy trzymała spopielone szczątki, a gdy same się rozpadły, klasnęła w dłonie.

– Ho, ho! – skomentowała.

– A więc jednak nie zawałęś rażenia na poziomie zaawansowanym – dodał ktoś inny. – Mimo to coś cię tutaj zatrzymało, z jakiegoś powodu jesteś taki jak my... Uch, następny!

Płomienie, strzelające iskry i mroźne pioruny wypaliły z wielu parasoli, kiedy pomiędzy prętami ukazały się uzębione paszczyki innych monstrualnych robali. Rezydenci krzyczeli, miotali się i walczyli. Wielu z nich padło od skażonych Nicością ugryzień, niejeden został uduszony przez robaki, a niektórzy ginęli od nieprecyzyjnie rzucanych zaklęć towarzyszy.

– Na górę! Na górę! – ryknął ktoś. – Musimy się stąd wynosić! To nie jest bitwa!

– Prawie dałem się nabrać – burknął jeden z Rezydentów tuż obok Arthura i rozsadził następnego robala, posyłając go z powrotem do ziemi.

– Na górę!

Arthur posłusznie wycofał się rakiem do wewnętrznej drabiny Rezydenci za nim oraz Czarnoksiężnicy Nadliczbowi u jego boku mogli swobodnie się odwrócić, ale przez cały czas stawiali czoło zastępom nowych robaków. Coraz mniej liczny krąg Rezydentów bezustannie raził stwory magią, gdyż tylko ona powstrzymywała je przed ostatecznym atakiem.

U podstawy drabiny ostatecznie pozostał tylko Arthur i czterech innych Rezydentów, którzy desperacko przypalali płomieniami wijące się kłębowisko robali, spiętrzone i przewalające się coraz bliżej.

– Nie damy rady się wspiąć! – krzyknął jeden z Rezydentów. – Gdy tylko jeden z nas się wycofa, pozostali zginą! Wiedziałem, że tak skończę...

– Zamknij się! – warknął Arthur. Robaków było zbyt dużo, a miotane przez niego płomienie zabijały tylko po kilka naraz.

„Tyle wokoło magii – pomyślał. – Z pewnością nikt nie zauważy, jeśli dołożę trochę mocy”.

Lewą ręką sięgnął do kieszeni płaszcza, a prawą tłukł jakiegoś robala parasolem, który chwilowo zmienił się w zwykły przedmiot z metalu i materiału. Otworzył torebkę z Piątym Kluczem i wepchnął do środka dwa palce, a po chwili dotknął nimi zimnej, gładkiej powierzchni zwierciadła.

– Na potęgę Piątego Klucza – wyszeptał tak cicho, że nie słyszał samego siebie wśród odrażających odgłosów skwierczenia przypiekanych robali. – Zniszcz wszystkie otaczające mnie robaki. Niech znikną bez śladu!

Rozbłysło oślepiające światło, zabrzmiała jedna, czysta nuta wyjątkowo pięknej muzyki i wszystkie robale znikły. Zdematerializował się nawet popiół i spalone szczątki trupów, zupełnie jakby nigdy nie istniały.

– I już! – oświadczył Arthur. Z wyższej części rakiety dobiegały krzyki, odgłosy wybuchów oraz syk zakłęb wyzwalających ogień i siejących zniszczenie. – Na górę!

Pozostali Rezydenci popatrzyli na niego, a potem się odwrócili i wdrapali po drabinie z prędkością, która znalazłaby uznanie w oczach Alyse.

„Bardziej się boją ciebie niż robaków” – zachichotał Szósty Fragment i wyfrunął Arthurowi z rękawa jako miniaturowy kruk. Normalny rozmiar przybrał dopiero po wylądowaniu na ramieniu chłopca. – Na twoim miejscu zaczekałbym chwilę z wchodzeniem na górę. Ona już wie, że tutaj jesteś.

– Jak to? – zdziwił się Arthur. – Myślałem, że przy takiej ilości czarów wszędzie dookoła...

– Użyłeś magii Klucza, niemożliwej do powtórzenia bez jego użycia. Ale to był dobry moment. Sobota jest otoczona przez obrońców Niedzieli, więc zaatakujemy ją, kiedy oni zrobią swoje. Najlepiej poczekać tutaj, aż walka się rozstrzygnie.

– Tutaj? – Jakby w odpowiedzi na jego pytanie, cała rakieta zadrżała, gwałtownie opadła o kilka metrów i przechyliła się na bok.

– Może jednak nie – zdecydował kruk. – Szybko! Na górę!

Arthur wbiegł po trzech kolejnych drabinach z taką prędkością, że poczuł się niemal jak rakieta. Musiał jednak zwolnić, gdy znalazł się na końcu kolejki Rezydentów, którzy również wspinali się pośpiesznie, zaniepokojeni drżeniem i osuwaniem się rakiety.

Opuścił wzrok na piętra ciągle jeszcze rozświetlone blaskiem parasoli martwych Rezydentów i zorientował się, że taran częściowo rozpadł się na kawałki... albo został rozerwany.

– Prędej! – krzyknęła Rezydentka poprzedzająca Arthura. – Taran się rozsypuje! A właściwie spada! – dodała pośpiesznie, rzuciwszy okiem w dół.

Niższe poziomy rakiety znikły, a w ich miejscu powstała wielka dziura o średnicy zbliżonej do szerokości rakiety. W głębi otworu kłębiły się chmury, pod którymi widać było niewyraźny zarys wierzchołka wieży.

– Prędej! – wrzasnęła Rezydentka ponownie, a wszyscy momentalnie przyśpieszyli. Pod nimi spadały coraz to nowe fragmenty pojazdu, które zapewne uderzały o budynek, choć mogły pokonywać znacznie dłuższą drogę, około siedmiu tysięcy metrów do Ziemi.

Arthur w końcu dostał się na najwyższy poziom tarana.. Kolec z Nicości znikł – zużył się podczas przebijania przez podłoże Niezrównanych Ogrodów.

Pocisk jednak nie przebił się całkiem i w rezultacie spora część rakiety pozostała zagrzebana w ziemi. Wierzchołek tarana znajdował się na głębokości kilku metrów pod krawędzią dołu wrytego przez kolec. Rezydenci oderwali kilka wewnętrznych drabin i oparli je o grunt. Z krzyków i ogólnego harmidru Arthur wywnioskował, że wszyscy opuścili wehikuł.

Podłoga zapadła się pod nogami Arthura i osunęła. Podbiegł do drabiny, skoczył i wylądował na jej środku, więc pognął do góry, pokonując po cztery szczeble naraz, a trzy drążki przed szczytem rzucił się na górę z energią i skupieniem olimpijskiego skoczka wzwyż. Pomógł mu kruk, który chwycił go za głowę i mocno zatrzepotał skrzydłami.

Arthurowi ledwie się udało wylądować na skraju dołu, ale jego nogi zawisły w powietrzu. Wbił palce w miękką zieloną murawę, która niebezpiecznie się naddarła, lecz utrzymała jego ciężar. Pośpiesznie wygramolił się na ziemię, a w tej samej chwili taran oraz dwunastu pechowych Rezydentów runęło w przepaść.

Zanim Arthur się pozbierał, gigantyczne, długie szczęki niemal przecięły go na pół. Desperacko przetoczył się na bok i pchnął parasolem wielkiego, opalizującego zielonego żuka, który zbliżał się do niego.

Monstrualny owad pochwycił parasol i zaczął miażdżyć go na drobne kawałki.

Arthur skorzystał z okazji i wyciągnął z torebki Piąty Klucz. Uniósł go, skupił na nim myśli, a wtedy żuk przeobraził się w lustrzany obraz samego siebie i skurczył do postaci świetlnej kropki.

W okolicy znajdowało się jeszcze wiele żuków, ale żaden z nich nie był na tyle blisko, żeby zagrozić Arthurowi, więc miał czas przez kilka sekund rozejrzeć się wokół siebie.

Stał na cudownie zielonej murawie doskonałej jakości. Zajmujący dużą powierzchnię owalny trawnik był otoczony niskim obrzeżem wrzosów oraz polnych kwiatów, nad którymi piętrzyła się ściana majestatycznych, czerwonozłotych jesiennych drzew, zasłaniających dalszy widok.

Nieco dalej Arthur zauważył ustawione w koło srebrne bramki do krokieta, wśród których Sobota i niedobitki jej czarnoksiężników bronili się przed naporem długoszczękich żuków. Od dziury w ziemi za plecami Arthura do pierścienia bramek prowadził długi szereg ciał Rezydentów, w większości bezgłowych. Tuż obok piętrzył się pokaźny stos zwłok, więc chłopiec podbiegł do niego i przykucnął za osłoną tej prowizorycznej barykady. Żaden z żuków nie zwrócił na niego uwagi.

– Nic ci nie jest! – odezwał się głos w okolicy kolana Arthura, który wzdrygnął się ze zgrozą, gdy napotkał groźne spojrzenie głowy Rezydenta odciętej od tułowia. – Jakże by inaczej. Innym zawsze dopisuje szczęście, dostają awans i w ogóle. A ja mogę tylko życzyć sobie, żebyśmy wygrali. Zwyciężamy?

– Sam nie wiem – odparł Arthur. Trudno było powiedzieć, co się dzieje. Bój toczyło jeszcze co najmniej tysiąc czarnoksiężników oraz Sobota. Stworzyli coś w rodzaju długiej tarczy ochronnej z otwartych parasoli, spoza której rzucali zaklęcia ognia i zniszczenia, wybuchów i implozji, atomizacji i przeobrażenia. Na obrońców napierało jednak co najmniej tyle samo żuków, które wrywały czarnoksiężników zza tarczy i szatkowały długimi szczękami.

– W tej rundzie ona jest górą – zauważył Szósty Fragment. – Razi ich mocą Klucza oraz zwykłą magią. Patrz.

Sobota górowała ponad oddziałami, a u jej boku stało dwóch prawie równie wysokich Rezydentów. Niemal nonszalancko trzymała Szósty Klucz i kołysała nim równie swobodnie jak dyrygent batutą. W pewnej chwili Arthur się zorientował, że

Sobota wypisuje coś w powietrzu. Linijka pochyłych, jaśniejących liter spłynęła z pióra, tworząc w powietrzu płynącą wstęgę. Gdy Sobota nakreśliła ostatni znak i strzepnęła pióro, wstęga słów popłynęła ponad głowami czarnoksiężników i przeszła pierwszego żuka, potem drugiego i kolejne, jak nawleczona na igłę nitka w rękach zręcznej krawcowej. Bez względu na to, czy przeszła przez głowę, kończynę, czy też pancerz, żuk padał na ziemię i już się, nie ruszał.

– Chyba teraz jest dobra sposobność – odezwał się Szósty Fragment Woli. – Przejmij Klucz. Trafi w twoje ręce, kiedy go przywołasz.

– Ale ona nadal ma mnóstwo czarnoksiężników, a żuki padają... jak muchy – Widzę, ale co innego proponujesz? – spytał kruk. – Powiedziałem ci, że marny ze mnie taktyk, poza tym lada sekunda Sobota nas zauważy.

– Muszę pomyśleć – odparł Arthur i uważnie się rozejrzał.

Dokąd miał uciec po przejęciu Klucza? Drzewa rosły zbyt daleko, a wśród nich zapewne gnieździły się inne potworne owady. Nie wiedział też, co się kryje za kręgiem lasu, i nie orientował się, czy Lord Niedziela interweniuje, a jeśli tak, to po czyjej stronie stanie.

Szósty Klucz w kilka sekund przechylił szalę zwycięstwa na stronę Soboty. Wokół muru parasoli leżała co najmniej połowa nieżywych lub unieruchomionych żuków Niedzieli, a następne padały ku hałaśliwej radości czarnoksiężników.

– Zauważyła nas – zorientował się Szósty Fragment Woli. – Przykro mi. Chyba zbyt gwałtownie poruszyłem skrzydłami.

Sobota wbiła wzrok w Arthura, podobnie jak jej asystenci, Południk i Zmierchnik.

Arthur obejrzał się za siebie i podjął decyzję. Płynnym ruchem przerzucił Piąty Klucz do lewej ręki, uniósł prawą dłoń i zawołał najgłośniejszym głosem, jak potrafił:

– Ja, Arthur, namaszczony na Diedzica Królestwa, przejmuję Szósty Klucz...

Z dłoni Soboty wystrzeliła błyskawica, rozdzieliła się i dotarła do Południka oraz Zmierchnika, następnie ponownie się rozszczepiła na najbliższych czarnoksiężników, a potem jeszcze raz, docierając do kolejnej grupy Rezydentów. Wystarczyła sekunda, żeby piorun składał się ze stu odgałęzień, a po chwili już z tysiąca. W ten sposób czar rzucony przez Sobotę raptownie zwielokrotnił moc. Kiedy odgałęzienia przeszły ostatni,

zewewnętrzny szereg czarnoksiężników, błyskawica ponownie zbiła się w całość i powstał piorun znacznie potężniejszy od najgroźniejszych naturalnych gromów.

Gigantyczne wyładowanie wystrzeliło prosto na Arthura, który uniósł zwierciadło, chcąc skierować zagrożenie w inną stronę lub odbić piorun, lecz połączona moc czarnoksiężników okazała się zbyt wielka. Potężnie uderzony chłopiec oderwał się od ziemi i przefrunął kilka metrów, z kraczącym i skrzeczącym Szóstym Fragmentem Woli u boku.

Wyładował na samym skraju studni po rakiecie i przez krótką chwilę chwiał się nad otchłanią. Kapelusz spadł mu z głowy. Szósty Fragment chwycił go za rękę tak mocno, że złocista krew Arthura zebrała się pod szponami ptaka, który gwałtownie bił powietrze skrzydłami.

– A wraz z nim władzę nad Wyższym Domem – wychrypiał Arthur, gdy w końcu odzyskał równowagę. – Przejmuję ją krwią i kością, w turnieju...

Upadł, lecz nim dotknął ciałem murawy, jego słowa dotarły do Soboty i jej czarnoksiężników.

– Z prawdy, z testamentu i wbrew wszelkim przeciwnościom!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Liść z trudem przewiozła zaledwie dwadzieścia osób, kiedy Martine zjawiała się ponownie. Niczego nie wyjaśniała, nie była też skora do rozmowy. Po prostu \_ podeszła do Liść, która usiłowała przenieść jednego ze śpiących na łóżko, i jej pomogła. Liść była jej za to wdzięczna – teraz podnosiła ludzi za nogi, Martine zaś brała ich pod pachy i w ten sposób przez godzinę przetransportowały pół setki śpiących do kompleksu sal operacyjnych. W Liść zatliła się nadzieja, że mają szansę na ewakuację wszystkich. Nawet iskierka nadziei była lepsza niż upiorna rezygnacja, która wcześniej ciążyła jej na sercu niczym zimny kamień.

Przewoziły pięćdziesiątego pierwszego, drugiego i trzeciego człowieka, kiedy zegar ponownie drgnął.

– Och, nie! – wyrwało się Liść. Wyświetlacz urządzenia przełączył się z jedenastej pięćdziesiąt osiem na jedenastą pięćdziesiąt dziewięć. – Nadal płynie wolniej. Czas. Mija wolniej niż normalnie. Mamy więcej niż minutę. Może będzie upływał naprawdę wolno, więc zdołamy wrócić na górę...

Martine pchnęła łóżko gwałtownie i znacznie mocniej niż dotąd, wręcz niebezpiecznie. Pojechało korytarzem i z wielką siłą gruchnęło o przeciwległą ścianę. Martine popchnęła też Liść, która przez moment się wahała, czy może jednak powinna wrócić i spróbować uratować jeszcze kilku śpiących, choćby małą ich garstkę...

Wyświetlacz zegara pokazał godzinę dwunastą.

Liść i Martine rzuciły się w pogoń za łóżkiem.

– Arthur, musisz natychmiast wrócić i powstrzymać to, co się zaraz stanie! – krzyknęła Liść do sufitu. – Nie wolno ci do tego dopuścić!

Martine złapała łóżko i obróciła je ku sali operacyjnej. Liść zdławiła szloch, przełykając ślinę, żeby nie wybuchnąć płaczem, i również popchnęła łóżko.

Znajdowały się w połowie korytarza, kiedy zatrzęsła się ziemia i wszystkie światła zgasły. Wstrząs trwał ponad minutę, a towarzyszyło mu dramatyczne grzechotanie oraz łoskot spadających przedmiotów, między innymi piankowych płytek izolacyjnych na suficie, które uderzyły Liść w głowę.

W końcu ziemia ponownie znieruchomiała. Liść przykucnęła w ciemności, tuż przy łóżku, i kurczowo zacisnęła palce na dłoni Martine. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić.

– Nie wierzę, że to zrobili – jęknęła. – A Arthur nie wrócił na czas. A my uratowałyśmy... uratowałyśmy tak niewielu... To straszne, ledwie ci ludzie uciekli tej Piątek, a od razu zginęli we śnie...

– Nie wiemy, co się zdarzyło – odparła Martine chrapliwym i nienaturalnym głosem. – Musimy się dowiedzieć.

Liść zachichotała histerycznie ze strachu i niepokoju, który z najwyższym trudem udało się jej opanować. Gdy stłumiła chorobliwy śmiech, zamigotały zielone lampy awaryjne, oświetlając twarz Martine pochylonej nad Liść.

– Przepraszam, że uciekłam – powiedziała cicho Martine. – Jesteś po prostu odważniejsza ode mnie.

– Naprawdę? – zdziwiła się Liść i z trudem przełknęła łzy. – Wróciłaś.

– Tak – potwierdziła Martine. – Moim zdaniem Arthur również się zjawi.

– Lepiej, żeby się pośpieszył! – prychnęła Liść. Wstała i popatrzyła na trzech śpiących. Nic im się nie stało, poza tym, że byli przyprószeni cienką warstwą pyłu, a na ich ciałach leżało kilka kawałków połamanej izolacji.

– Słyszałeś, Arthur!? – Liść spojrzała na obnażone druty nad swoją głową. – Musisz wrócić i wszystko naprawić! Koniecznie musisz wrócić!